

Biblioteka
U.M.K.
Toruń

344355

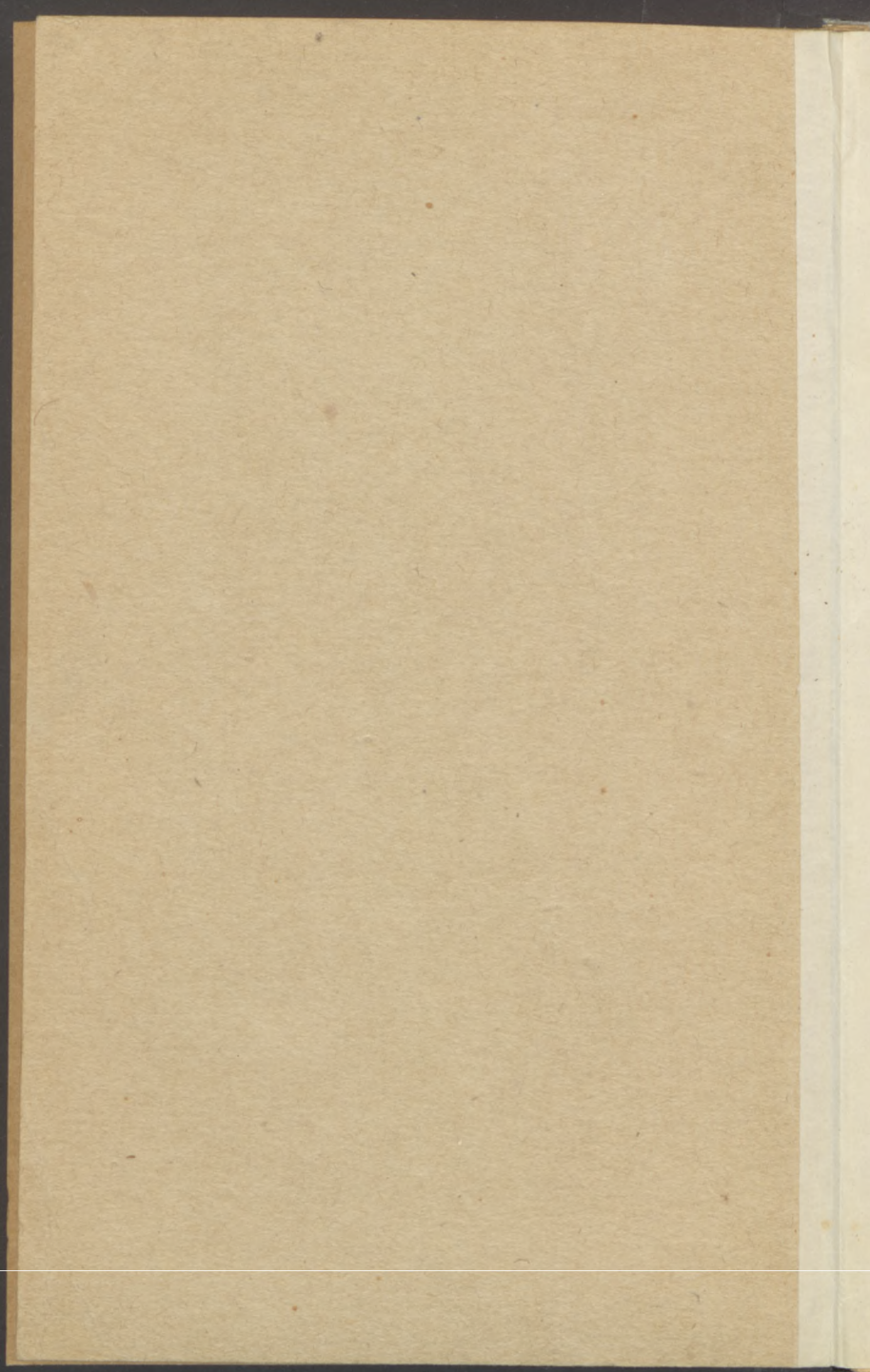
22

MARCELI PREVOST



DÓŁ-DZIEWICE

LWÓW - WARSZAWA - POZNAŃ
WYDAWNICTWO // KULTURA I SZTUKA //



Rej. No 3569

PÓŁ-DZIEWICE

1307

1307

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.
COPYRIGHT BY WYDAWNICTWO »KULTURA I SZTUKA«
LWÓW (POLAND)

40-

MARCELI PREVOST

PÓŁ-DZIEWICE

TEUMACZYŃ

MARJAN ZBARASKI



LWÓW · WARSZAWA · POZNAŃ
WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA“
LWÓW, KSIĘGARNIA AKADEMICKA — NEW-YORK, POLISH
BOOK IMPORTING CO. INC.

K 2601/671



344355

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.

Maud usiadła przed biurkiem i szybko kreśliła swoją depeszę — matka jej, pani Rouvre cierpiąca na reumatyzm siedziała na fotelu wygodnym i czytała powieść.

Biurko — za niskie, na wysmukłą postawę Maud'y — należało do mebli dziwacznych, któremi Londyn zarzuca miasta europejskie. Całe umeblowanie, zarówno w saloniku, jak i w sąsiednim pokoju, przesiąkło smakiem z za Kanału, smakiem nieco sztucznym, w którym lubuje się wytworność dzisiejsza. Pseudo japońskie krzesła, na giętych kijach, pokostowane biało lub zielono; mahoniowe fotele neo-barokowe, złożone, bogate, ale ze zwyczajnymi safianowemi a nie jedwabnymi poduszkami; ciężkie jednostajne, wolno puszczone portyery fałdami spadały ku ziemi, lekkie firanki krepowe w duże kwiaty pomarańczowe, malwowe, modre; pilśniowy kobierzec strzyżony, żółtawo-zielony, niby trawnik parku angielskiego.

Mieszkanie to zajmuje drugie piętro jednego z tych olbrzymich gmachów, które niedawno pewien budowniczy paryski rozsiał po wszystkich ulicach przytykających do l'Arc de Triomphe. Gmach ów z mieszkaniem pani Rouvre leży na ulicy Kleber, tuż przy placu d'Etoile: piętnaście okien frontowych. Każda z pań, pani Rouvre, rozwódka, owdowiała mieszka z dwiema cór-

kami (Maud'a i Jakóbiną), ma swoje pokoje, połączone galeryą, równoległą do ulicy.

Nie psuła Maud tej harmonii nowoczesności, która cechowała styl urzędzenia.

Wysmukła mimo swoje biodra rozrośnięte, mimo rozwinęty biust, robiła wrażenie szczupłej dziewczyny, może przez swoje ramiona spadziste, i główkę małą, zdobną włosami barwy... jakiej barwy? Trudno określić ten koloryt osmalonej, cieniuchnej smugi złota, co jednak prześwieca z pod wierzchniej warstwy rudawym połyskiem metalu. Te ciężkie kasztanowate włosy, wzniesione do góry na sposób japoński otaczały szerokie czoło podkreślone brwią tak równą, jak najcieńsze pociągnięcie pędzla. Oczy duże, nieporównanego niebieskiego blasku i wreszcie nos piękny, cieniutki, rozszerzony w nozdrzach i z niewielkiem wzniesieniem u szczytu, nadający twarzy znamię wyniosłej energii. Usta tylko psuły nieco ten idealny ład rysów: małe, więcej okrągłe niż pociągłe, z wargami, na których lekarz, badający oznaki zwyrodnień, zauważyłby ledwie dostrzegalne fałdy pionowe. Zapewne zdołałby skonstatować i budowę ucha maleńkiego, szczelnie przymocowanego do czaszki.

A zresztą kto wie? Może te lekkie dysonanse, mączące monotonię szablonowej piękności kobiecej podnoszą jej wartość, uświęcają tę tajemniczą przynętę, co tylu kobietom daje przywilej najniebezpieczniejszej potęgi w miłości.

Skromna jej szara sukienka, długie dłonie, zdobne pierścionkami; kameliowa świeżość cery, jakiś niepewny rysunek ramion i osady szyi — wszystko to cechowało u niej dziewiczość nie podlotka — ale dwudziestoletniej dziewczyny; szerokie zaś biodra, rozrost piersi, śmiałe spojrzenie oczu, zmarszczka na czole, zapewne od wysiłku myśli nad doborem słów depešy — nadawały jej znowu jakąś dojrzałość i stanowczość. I mimowoli

nasuwało się pytanie: „czy to już kobieta?“ W istocie w sklepach, magazynach, na ulicy nieraz tytułowano ją „panią“.

Nie można sobie wyobrazić większego kontrastu nad ów, jaki tworzyły Maud i jej schorowana matka, która siedzi, w swym fotelu z twarzą wybladłą, pomarszczoną w duże podłużne bruzdy. Ulubiony jej „Tauchnitz“ wypadł jej z ręki na dywan i nie ma sił sięgnąć po swą książkę. A jednak Elwira Hernandez była kiedyś pięknoscią — świadczą o tem miniatury z jej młodych lat, z tego czasu, kiedy Franciszek de Rouvre, zubożały magnat z nad Girond'y porzucił swoje strony i wylądował w wstępnym bojem ropoczął szczęśliwie pogoń za złotem, wstępnym bojem ropoczął szczęśliwie pogoń za złotem, po które wyruszył za morze.

Z tej piękności nie zostało dziś ani śladu, ani w ciele zniszczonem artretyzmem, ani na twarzy niesłychanie pomarszczonej. Zachowała jednak w swem usposobieniu mimo wszystkie cierpienia, jakąś płochość, jakiś optymizm młodzieńczy, wraz z zamięłowaniem do jaskrawych ubiorów, do gałganków świecących, do biżuterji, barwnych kamieni, — trzeba było całego despotyzmu Maud'y, aby ją powstrzymywać od strojenia się na przechadzki w jakieś papuzie kostjумы. Dziś naprzykład, że to wtorek, dzień jej przyjęć, włożyła stary wizytowy kostjum, z koronkami hawańskimi, nieco wyszarżały — policzki starannie wybieliła pudrem.

Maud skończyła pisanie, położyła datę — 4 luty 1893, następnie zakleiła kopertę i zaadresowała.

— Do kogo piszesz? — zapytała matka.

— Do Aarona. Całe popołudniu przesiaduje u siebie w biurze — pošlę kartkę do katolickiego magazynu.

Pani de Rouvre poruszyła się, utyskując:

— Czegóż ty chcesz od tego obrzydliwego prostaka?

— Chcę łożyć na jutrzejszą premierę w operze. Piszę, aby przyniósł bilet dziś wieczorem. Zeszłego wtorku

przyjęłam go tak chłodno — że nie śmiałyby inaczej pokazać się tutaj — moja karteczka naprawi wszystko i o piątej zobaczymy go znowu u siebie.

Maud patrzyła jeszcze chwilę na depeszę, kręcąc nią od niechcenia.

Dyrektor magazynu katolickiego — to będzie dobrze brzmiało wobec Chantel'ów.

Pani de Rouvre aż krzyknęła:

— Wobec Chantel'ów. Chyba nie będziemy zmuszone przedstawiać im tej osobistości, tego fałszywego Alzatzczyka, fałszywego katolika, co wyzyskuje księży, zakonnice, stowarzyszenia religijne, i który pozwala sobie na rozsiewanie wiadomości, że jest zakochany w tobie tak jakby panna de Rouvre była stworzona dla miłości jakiegoś lichwiarza z Frankfurtu, a może jeszcze do małżeństwa z nim!

Maud pozwoliła wygadać się matce z uśmiechem na pół smutnym, na pół ironicznym.

— Zadużo mamy tych ministerjalnych figur, tych gości „z zasady“. Attache gabinetowy, jak np. Lestrangle, sekretarz poselski, jak Julian, trochę bajczarzów z kółka ojczulka i nasze znajomości z kąpiel — to wszystko za mało, aby wywrzeć wrażenie na takich ludzi jak Maksymilian i jego matka.

— A pani Ucelli?

— Och — ta!

— Jakże? Przyjaciółka księżnej de la Spezzia.

— Istotnie, — przerwała dziewczyna, to coś znaczy. Ale przy Chantel'ach zdaje się zamilczy o tej przyjaźni i o księżnej de la Spezzia.

— Przypomnij sobie, że mamy jeszcze dwóch Le Tes sier'ów — dodała matka po chwili.

— Paweł niepewny. Dziś w senacie rozprawa nad przywilejem Banku Francuskiego — ma mówić. Hektor ... Hektor przyjdzie z pewnością.

— No więc, przypuszczam, że skoro Maksymilian i jego matka spotkają tutaj takiego senatora, w przyszości ministra, jak Paweł, rodzaj księżny jak pani Ucelli...

— Dyrektora potężnej, katolickiej instytucji finansowej, jak Aaron, dorzuciła ironicznie Maud.

— I takiego gentelmana od nóg do czuba, jak Hektor.

— Nie będą się chyba czuli niezadowolonymi — zakończyła córka: co daj Boże!...

— A jakbym ja chciała choć raz tam być u nich na wsi, w Vezeris, — westchnęła matka.

Maud podniosła się i nacisnęła guzik dzwonka elektrycznego.

— Oh! Nie wiem kogo przyjmują u siebie Chantel'owie w Vezeris, może to osoby nawet i śmieszne, bez pozycji, ale jestem pewna, że to muszą być ludzie najwykwintniejsi, z całej prowincyi.

Pani de Rouvre odpowiedziała:

— Ba! Nieznałam osoby szerszej od pani de Chantel. Przypomnij sobie nasze lato w Saint-Amand... kąpiele błotne. — Nasze beziki popołudniowe. Nasze wycieczki w karetach po wybrzeżu...

— Tak jest — wyrzekła Maud w zamyśleniu — dobra z was była para.

Zaczęła w myśli szukać tych nici, które mogły tak ściśle związać w zaciszu północnej stacji morskiej tak odmienne dwie natury: starą, próżną osobę, jaką jest jej matka i chodzącą surowość prowincjonalną, rodzaj katolickiej purytanki i magnatki, jaką była matka Maksymiliana de Chantel.

— Obiedwie są nabożne i w nabożności obie przesadzają — cierpią na jednakową chorobę mimo odmienne symptomy i każda z nich ma się za zdrowszą w porównaniu z drugą. A jednak to wszystko zagadkowe. Dlaczego jam się podobała Maksymilianowi?

Staneła przy kominku, zwołała wspomnienie tych czterech dni, które Maksymilian de Chantel przepędził w Saint-Amand u matki i podczas których zauważyła, jak począł mimowoli Ignąć do niej, jak zaczynała pannaować nad nim, nawet bez wielkich starań ze swej strony. Nagle wyjechał. Umknął do swojego zacisza w Vezeris. Upływały tygodnie, miesiące, nie miała żadnych wiadomości oprócz tych, które przynosiły listy pani de Chantel do pani de Rouvre. I oto teraz przyjeżdża towarzysząc matce w podróży do sławnego, lekarza.

— Panienka życzy sobie?

Zjawiała się pokojowa, zwołana dzwonieniem Maud'y. — Betty, proszę kazać zanieść to na telegraf. Oświecić duży salon, ale przedtem proszę zamknąć kaloryfery, jest za ciepło.

— Dobrze, proszę panienki.

— O pół do piątej proszę udać się do panny Jakóbiny i poprosić, aby zaraz się zebrała i przyszła mi pomagać przy herbacie w salonie.

— Słucham, panienko ... czy już?

— Już... Ah! proszę jeszcze zaczekać. Koło trzeciej przyjdzie pewna osoba... Młoda panienka... z interesem do mnie. Proszę ją tutaj przyprowadzić wprost — nie przez duży salon — a mnie trzeba uprzedzić...

— Nawet gdyby goście byli.

Nawet gdyby byli goście. Zresztą o tej godzinie nie będzie nikogo.

Kogo masz przyjąć? — zapytała pani de Rouvre, podnosząc się z trudnością ze swego siedzenia.

— Nie zna jej mama. Moja przyjaciółka z klasztoru, której nie widziałam od czasu opuszczenia Picpus.

— Czegoż ona chce?

— Nie wiem — odparła Maud niecierpliwie. — Wiem tylko to, że chce się ze mną zobaczyć.

— Jak się nazywa?

- Duroy... Etiennetta Duroy.
- Pani de Rouvre zamyśliła się.
- Etiennetta Duroy... niepamiętam.
- Mama nigdy nic nie pamięta — rzuciła Maud.

Potem podeszła do okna, aby podnieść firankę, popatrzyła na ulicę, lekko przypruszona śniegiem lśniącym w jasnym słońcu. Na ulicy ruch, karety z podniesionymi oknami, otuleni przechodnie, idący szybko.

Pokojowa jeszcze raz z progu małego saloniku zapytała:

- Panienska już mnie nie potrzebuje?
- Nie — odpowiedziała Maud.
- Tylko mnie jeszcze, moje dziecko, niech przeprowadzi do pokoju — zawołała pani de Rouvre, usiłując podźwignąć się. — Powiedz jej Maud.

- Nie potrzebuję się spieszyć nieprawda?
- Nie. Może mama zostać w swoim pokoju, dopóki nie przyjdzie pani de Chantel. Wtedy zawiadomię mamę.
- Dobrze. No Betty... daj rękę...

Wolno zaczęła sunąć przez duży salon, zwieszona na pokojowej, włócząc ciężko lewą nogą. Przed wyjściem obróciła się:

- Maud!
- Słucham?

Spojrzała na pani de Rouvre, usiłując zwalczyć zderowanie. Chora zaś szukała słów, nie wiedząc od czego zacząć.

— To ubranie na głowę — zaczęła — wiesz, z imitacją brylantu stylowego, cośmy kiedyś widziały w „Vieux Japon...”

- No... więc?
- Więc... Zapomniałam ci powiedzieć: kupiłam je. Przyniosą je wieczorem.

Maud pokraśniała naraz. Rysa na czole wgłębiła się, pociemniały jej oczy.

— Ależ to nonsens... Mamo — dorzuciła — czy to potrzebne?

— Potrzebne? Nie, naturalnie — odpowiedziała pani de Rouvre, — sprawi mi to jednak przyjemność. Ja tak mało mam rozrywek... no nie? Chyba nie potrzebujemy się liczyć z wydatkiem trzystufrankowym, prawda?

Maud nic nie odpowiedziała. Podczas gdy matka, wsparta na Betty oddalała się, powróciła do saloniku. Bezwiednie sięgnęła ręką po pióro drewniane na biurku, nadzwyczaj cieniuchne — pamiątka z wybrzeża — palce tak jej drżały, że pióro pękło. Rzuciła kawałki w komin. Betty pojawiła się znowu.

— Panienko?

Czy przyszła ta pani?

— Nie panienko, pan Julian.

— Maud uderzyła ręką o marmur kominka.

— Odzwyczaj się Betty raz na zawsze mówić tak sobie: „pan Julian“. Należy powiedzieć: Pan de Suberceaux. Zwłaszcza przy obcych to śmieszne. Dlaczego nie wchodzi pan de Suberceaux?

— Józef otwierał mu. Nie wiedział, gdzie jest panienka... Więc pan Jul... Pan de Suberceaux bez zameldowania poszedł do pokoju panienki.

Betty mówiła to najzwyczajniej w świecie.

— Dobrze. Proszę go zawiadomić, że tutaj czekam — rzekła Maud.

Zostawszy sama, przyjrzała się w tafli kominkowej, bez zalotności, ot poprostu z nałogu światowego, jakby uczyniła każda kobieta pierwszy raz dzisiaj przyjmując mężczyznę, choćby to był brat, stary przyjaciel — wszystko jedno.

Julian de Suberceaux ukazał się na progu saloniku: mężczyzna zaledwie trzydziestoletni, z nadzwyczajną starannością ubrany, na wzór mody z roku 1830. Wysoki, muskularny, dość chudy; twarz koścista i matowa, jaką

mają Baskowie, prawie bez wąsów, za to włosy precudownie ciemne, trochę zapuszczone na dół. Szeroka broda, zacięte wargi, prosty nos, czyniły z niego człowieka, prawie surowego, bez pogody spojrzenia w oczach jasnych niebieskich, jak kwiat Iniany, w oczach delikatnych i — jak oczy kobiety.

Maud obróciła się i zatrzymała na nim spojrzenie wymowne, to spojrzenie zachwycone od miłości, którem się wita jedynie człowieka ukochanego.

Wziął ją za rękę, ścisnął ceremonjalnie.

— Dobry wieczór pani. Jak się pani czuje?

Jednym rzutem oka objął pokój i sąsiedni salon.

— Nie... Nikogo... — wyrzekła Maud półgłosem.

Wtedy przyciągnął ją do siebie, ścisnął, pieścił swe wargi pocałunkami po piersiach, po ramionach, po szyi, oczach, policzkach. Wyszukała ustami jego ust — zamknęli się w pocałunku.

Rozłączyli się drżąc.

Maud nieco zaróżowiona, znowu podeszła do zwierciadła-kominka i kilkoma ruchami palców uporządkowała włosy na głowie i zmięte fałdy na biuście. Suberceaux upadł na krzesło obok mahoniowego biurka i patrzył na nią.

Stała nad nim wprost, opierając się o ramię fotelu.

— Maud! Maud, moja ty... droga — szeptał młody człowiek.

Spojrzała na niego całą głębią oczu. Głosem niskim, wyraźnym, ale prawie nie otwierając warg, wyszeptała.

— Kocham cię!

Z rysów jej, z twarzy, z całej postawy znikła gdzieś aureola chwiejności dziewczęcej. Wyłoniła się kobieta, z tym żarem ognia w oczach, z tą śmiałością w układzie, co zawsze zdradza dziewczęta, któreby choć raz już mdlały w objęciach.

Julian odpowiedział:

— Pragnąłem cię słyszeć. Takie przykre chwile przeżyłem od naszego ostatniego rozstania u Reversier'ów.

Usiadła na fotelu. Zapytała go:

— Znowu karty!

— Oh, nie! Naodwrót. Patrz, oto przez noc. Zanurzył rękę w wewnętrznej kieszeni i wyjął zwartą plikę banknotów, aby pokazać Maud.

— Rue Royale? — zapytała.

— Nie. W Deux Mondes, od Aarona.

— Od Aarona, tem bardziej, zawiniłeś. Przyrzekłeś... Suberceaux machnął ręką obojętnie.

— Ba! Cóż to szkodzi. Nigdy ze mną nie było gorzej, jak teraz. Muszę się ożywiać? — A przecież to zabija myśl...

Wzięła go za rękę z uśmiechem.

— O kim chcesz przestać myśleć, o mnie?

— A tak... chciałbym — odrzekł młodzieniec, wyciągając szorstko dłoń z jej rąk.

Ale równocześnie:

— Wybacz. Jestem skołatany i smutny. Tyś mi tyle smutku zadała.

Maud zapytała go wzrokiem — on powtórzył:

— Tyleś mi smutku zadała. Nie byłaś już u mnie. Nie oddychałem już tobą u siebie...

Bez słowa, niemym ruchem oczu pokazała mu to miejsce, gdzie przed chwilą splatali się uściskiem; Julian zadrżał dreszczem wspomnienia.

— Zawsze wyrzuty, ciągle. A przecież robię co mogę, zaręczam ci.

Suberceaux ułagodzony i uspokoiony trochę opuścił głowę na dół.

— Tak to już dawno — szemrał — już tak dawno nie byłaś!

Wymawiał te słowa niesłuchanie cicho, jakby w obawie, żeby nawet ona ich nie dosłyszała. I w samej rzeczy Maud wstała naraz, poczerniały jej oczy, czoło przecięły zmarszczki, twarz zlodowaciała, jak przed chwilą, gdy mówiła z matką o tym brylancie sztucznym.

Julian już był przy niej, błagając:

— Nie gniewaj się na mnie, Maud. Wiem, że cię to uraża, gdy o tem wspominam... Ale całym mojem życiem, to wspomnienie... te dwa razy. Przysięgam, mówiłem sobie: „Niech choć raz przyjdzie, niech choć ją przez godzinę mam u siebie, samą, samą jedną, ze mną, jak te dwa razy, a potem niech mnie zabiją, niech mnie zastrzela, zgoda, będę błogosławił tych, co mnie zabiją... Bo kocham, kocham cię!

Oparła się o płytę kominka, słuchała co on mówi. Ciągnął dalej rwanym głosem:

— Zwłaszcza ostatni raz... ostatni raz, kiedy byłaś... trzeciego stycznia... Oh! jakaś ty piękna Maud... nie mam słów. Został zapach twoich włosów, ramion... na łóżku. Nie chciałem potem odkrywać kołdry... nie kładłem się, dopóki ten zapach nie znikł do szczętu. A ty już więcej nie chciałaś...

Odwróciła się powoli.

— Jak niesprawiedliwym jesteś! Czy nie przyjmuję cię tutaj, ile tylko chcesz? Przedwczoraj? Czy bronie ci zostawać w moim pokoju. Matka przyjmuje to jako zwykłą rzecz a służba wytresowana.

— Nie! — odrzekł Suberceaux. — To zgoła co innego, to nie to, co widzieć cię u siebie, w domu. Mówisz o wytresowaniu służby. Nie jestem bojaźliwy; prawda? Drwię sobie z kuli i ostrza szpady, a jednak drzę gdy tu idę pod spojrzeniami tego Józefa i tej Betty. Matka twoja... no matka, tak jak bez oczu, nigdy nic nie widzi: a najwięcej męczy mnie to „dzieńdobry“. Daleko swo-

bodniej mi przychodzić, gdy wiem, że jej niema. A Jakóbina...

— Oh, Jakóbina!... Dziecko.

— Dziecko, które wszystko widzi i które może zrozumieć to, co widzi.

Maud zbliżyła się do twarzy Juliana, podała mu swoje usta, które on ucałował.

— Kocham cię. I to ci powinno wystarczyć. Czy chcesz mieszkańskich wygód w miłości z młodą dziewczyną. Przypatrz mi się: czy już nie warto trochę pocierpieć dla mnie!

Julian szemrał:

— Nie miałem cię nigdy.

— Nie mów tego. To jest niewdzięczność i brak miłości. Daję ci wszystko, co dać mogę.

Zaczął znowu błagać.

— Powiedz mi chociaż, kiedy przyjdiesz?

— Dokąd:

— Ulica de la Baume. Do mnie...

Zniecierpliwiła się.

— Wciąż. Mówiłam ci już, że jestem szpiegowaną, śledzoną. Ta nieszczęśliwa Ucelli, której ty nie chciałeś, nienawidzi mnie, wiedząc, że mnie kochasz. Jestem pewna, że mnie śledzi swoją włoską policją, tą rajfurką książęcą. Śmiejesz się. Wiesz, że nie jestem dziewczynką, nie boję się malowanego stracha. O tych dwóch razach, kiedy przychodziłam na ulicę de la Baume, wiedziała na pewno.

— Zmienię mieszkanie.

— Nie. Wierzaj mi. Nie wymagaj niemożliwości. Ufaj mi przecie, żebym chciała jaknajczęściej widywać się z tobą. Ale nie dręcz mnie. W tej chwili więcej niż kiedykolwiek, muszę uważać na siebie.

Julian zaskoczony zapytał:

— Więcej niż kiedykolwiek? Czy...?

— Być może — odpowiedziała Maud.

Zbladł, zamilkł na chwilę. Następnie usiłując zdobyć się na spokój:

— Czy pani... czy możesz mi powiedzieć... o co chodzi?

— Mogę — odpowiedziała Maud wolno, patrząc mu prosto w oczy. — Opowiem panu wszystko, jeśli pan chce być... — Nawet mam prawo wymagać, aby pan był...

Julian udawał zasluchanie. Jakby bez wysiłku, przyjęli ton ludzi światowych, obojętnych dla siebie.

— Więc — zaczęła Maud — w dwóch słowach. W lipcu roku zeszłego (widzi pan, jak to dawno) w kąpielach w Saint-Amand poznałyśmy pewną damę z prowincyi, panią de Chantel. Była tam ze swoją córeczką Joanną, piętnastoletniem dzieckiem. W ostatnich dniach pobytu przyjechał do niej syn Maksymilian...

Przerwała.

Dzwonią, zdaje się?

— Tak — rzekł Suberceaux — słyszałem dzwonek Otworzą. Już wizyty?

— Nie, to pewna osóbką. Ale prawda, powinienes ją pan znać... to młoda Duroy, Etiennetta Duroy...

— Córnka Matyldy Duroy?

— A siostra Zuzanny Duroy, pańskiej dawnej miłości.

— Oh! miłości!

— Nie?

Choć mi wszystko jedno — to jeżeli pani pozwoli, wołę nie widzieć się ze siostrą. Po co do licha pani ją przyjmuje?

— Była razem ze mną w Picpus i mówią, że bardzo uczciwie żyje razem ze swoją matką. Zresztą chce czegoś odemnie... nie wiem. Byłyśmy przyjaciółkami i sprawi mi przyjemność jej wizyta.

Twarz Józefa wyłoniła się z dużego salonu.

Proszę panienki! To ta panienka...

— Pożegnam panią — odezwał się Suberceaux.

— Przejdź pan przez duży salon. Dziś wieczór...
prawda. Proszę przyjść koło pół do szóstej. Mama
przyjdzie. Józefie, proszę przeprowadzić pannę Duroy
wprost tutaj przez galerję.

I przeprowadzając aż do drzwi salonu zamyślnego
Suberceaux, rzuciła mu na odchodnem:

— Przyjdź... On będzie... Chcę, żebyś przyszedł!

A gdy już przestąpił próg, zawołała za nim przez
uchylone drzwi:

— Kocham cię!

II.

Do małego saloniku wprowadzono tymczasem gościa: drobna, pulchniutką blondynkę, o lnianych włosach, szarych oczach, o drobnych, delikatnych rysach, wtuloną w swoje futerko, czapczkę i zarekawek, jak przepiórka.

Widząc naprzeciw siebie Maud, taką wysoką, wyniosłą taką „dame“, szepnęła trwożliwie:

— Dzień dobry pani... przyszedłam.

Ale Maud uściśnieła ją radośnie.

— Pani! Pani! Porzuć te ceremonje i mów Tienetto, jak dawniej, na pensji.

Etienetta z rozróżwionymi policzkami od radości od-dawała jej całusy.

— Oh! to będzie doskonale — rzekła. — A ja tak się wahałam, czy przyjść. Wyobraż sobie, bałam się, abys mnie źle nie przyjęła.

— A to dlaczego? — odpowiedziała Maud, sadowiac na krzesle przyjaciółkę i siadając tuż koło niej.

— Dlaczego?... Mój Boże... Klasztor to już stare wspomnienie... Przeszło cztery lata! To ludziom wystarczy do zapomnienia... A potem — zniżyła głos — przypuszczałam, że znając moją pozycję obecną...

Maud uśmiechnęła się.

— Czy myślisz, że w klasztorze nie wiedziałam o tem, o tej „pozycji“, jak mówisz?

Wiedziałaś? Skąd? Mówiono ci? Kto taki?

— No... Tessier'owie. Starszy, Paweł, ten, który zeszłego roku został senatorem, żył z tym deputowanym z l'Aude, z panem — jakże się nazywa?

— Pan Asquin? — zapytała Etiennetta.

I na potwierdzający gest Maud, dodała, rumieniąc się lekko, ale bez zakłopotania:

— Był moim ojcem. Straciliśmy go dwa lata temu.

— Ah; To był ojciec twój... Tak, nie wiedziałam. Wiedziałaam tylko, że przychodził do twojej matki z obydwoma Tessierami i panem de Suberceaux.

— Pan de Suberceaux był sekretarzem ojca. On...

Urwała nagle, pokonana nieśmiałością. Maud de Rouvre wzięła ją za rękę.

— Tienetto, miej do mnie trochę zaufania. Mówię ci, żem wtajemniczona we wszystko — tak, we wszystko. Nawet znam historję Juliana i twoj siostry Zuzanny.

— Oh! myślę — odrzekła Etiennetta, — o tem wie cały Paryż. Moja siostra istna warjatka. Przecież ona tak się afiszowała ze Suberceaux, jak od pewnego czasu afiszuje się z tyloma innymi. Co prawda, — zaczęła po niej jakim czasie — to Julian nie wyszedł z nami dobrze. Ojciec tak go kochał, mama przyjmowała go jak naszego brata. Mógł zostawić Zuzannę w spokoju. A od czasu zerwania z nią, myślisz, że przyszedł kiedy do nas? A wie przecież, że mama jest chora — taka dobra była dla niego. Co do mnie, to go nie lubię.

Panna de Rouvre odpowiedziała poważnie:

— Nie mów o nim źle Tienetko. Julian jest naszym przyjacielem.

Etiennetta rzuciła jej się na szyję tym ruchem pieszczotliwym i ciepłym, który ją czynił taką ponętą, i prawie na kolanach zawołała:

— Przebacz-że mi. Nie wiedziałam nic. To twój przyjaciel. No patrz. Pierwszy raz jestem i urządzam ci przykrość. Nie będziesz się gniewała?

— Nie będę się gniewała — odpowiedziała Maud, całując ją w czoło. No, a teraz powiedz mi, co cię tu sprowadza. Przypuszczam, że mam ci czemś służyć.

Etiennetta lekko pokraśniała.

— Tak. Istotnie musi być potrzeba i do tego wielka, jeżeli się odważyłam. Tyle już zniosłam upokorzeń przez mamę i Zuzannę!... Nareszcie natrafiłam na ciebie — na kogoś, kto jest dobry; dzięki ci. Ot, co mnie sprowadza. Nie jestem starą, ale znam świat o tyle, że doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak straszna jest dla kobiety zależność od mężczyzny. A przecie i ja jestem przedmiotem... umizgów, naturalnie w swojej sferze.

— Wierzę bardzo. Tak piękna, jak ty. Wiesz, że możesz wzbudzać miłość?

Podziękowała uśmiechem, ale pochlebstwa nie wywodziły jej widocznie z obojętności.

— A zwłaszcza jeden z nich. Znacie go (nie powtarzaj tylko — mówię tylko dla ciebie) pan Le Tessier.

— Hektor?

— Nie, jego brat, senator, vice-dyrektor Banku Francuskiego. Bywał często u nas za życia ojca i lubił mnie wtedy dość, jak się lubi smarkacza. Potem urosłam... Zdaje mi się, że mu się podobam.

— No, więc niech się żeni.

Etiennetta roześmiała się smutnie.

— Oh, to niemożliwe.

— Ze względu na stan majątkowy?

— Nie. Przypuszczam, że ta przeszkoda nie wstrzymywałaby go... Ale tu wszystko poza tem... to mój wieczny smutek... rozumiesz? Paweł Le Tessier nie może prawdopodobnie być szwagrem Zuzanny Duroy.

„I zięciem Matyldy Duroy, masz rację — pomyślała Maud, a głośno rzekła:

— Biednaś ty, moja droga!

— Co mi pozostaje? — ciągnęła dalej Etiennetta tym samym tonem smutnej rezygnacji. Zostać chyba jego...

nazwijmy to... kochanką. Jego najwięcej lubię z tych wszystkich, którzy się kręcą koło mnie. Dobrym jest, nieco egoista, ale oni wszyscy egoiści. Ale on jest dobry. Cudze cierpienie wzbudza w nim ból. Ale... widzisz... zdziwię cię swoją głupotą... Widzisz, nie mogę się zdecydować na ten krok. Czym się już urodziła z taką naturą drobnomieszczańską — nie wiem. Nikogo nie obwiniam i nikogo nie sędzę. Czuję jednak, że nie mogłabym skończyć zupełnie uczciwie. To nie tak łatwo wytrwać. Weź pod uwagę — skąd ja tutaj przychodzę? z jakiego domu? A wreszcie chcę żyć niezależnie, pokosztować tego życia, choćby tylko swój pokój i swoje łóżko, ale swoje, to mi wystarczy.

Zatrzymała się na chwile, jakby wyczekując potakującego spojrzenia Maud'y.

— Mów dalej — rzekła tamtą. — To, co mówisz, jest co najmniej zajmującym.

— Otóż — ciągnęła Etiennetta — skończyłam konserwatorium po Picpus. Dostałam list pochwalny za śpiew i dwie pierwsze nagrody za fortepian i teorię. Dawać lekcje fortepjanu — to przynosi za mało. Nauczyłam się więc grać na gitarze. Przynosi mi to dość, tyle, ile nie wiem jakiemu artyście w Paryżu, przypuszczam. Głos mam mały, ale przyjemny. Przeszłam cały repertuar z 1830 roku. Myślę, że to się może podobać.

— Oczywiście, że się to spodoba — zawołała Maud, uderzona zaraz artystyczną stroną projektu. — Ty jesteś tak piękna. Musisz mieć cudowną szyjkę. Ubrać cię tylko podług sztychu Dony Johanot, z fryzurą à l'anglaise, rękawy à gigot, krynolina. Rozrywano by cię.

Etiennetta roześmiała się szczerym śmiechem.

— Oh! to nie tak łatwo. Trzeba mieć stosunki, ludzi światowych, takich, jacy was otaczają. Tak... mam Tessier'ów. Paweł marzył o takiej uczcie wiejskiej w Chamblais, w tej ich posiadłości cudownej. Ale być

wprowadzaną w świat przez kawalera, to trochę pachnie kokotą.

— Boże ty mój — zauważyła panna De Rouvre ze śmiechem — co za namiętność do przyzwoitości.

— W tych rzeczach albo wóz, albo przewóz, takie moje zdanie. A to nie jest wygodne. Od dziecka w domu widywałam tylko mężczyzn. Albo takie kobiety, które — no niech tam! Myślałam więc o tobie. Jesteś bogata, masz wyśmienite stosunki.

Maud przerwała jej:

— Przedewszystkiem nie jestem bogatą. Co do naszych stosunków... dużo ludzi znamy, ale to nie tacy, jakich pragnę mieć. Po powrocie do Francji w 84 roku została nam część majątku. Tatko, jako potomek świetnej arystokracji, miał sposobność wprowadzić nas w najlepsze koła, ale wolał tracić pieniądze na karty, lub siać złotem u „panienek“. No, a my ciągniemy za to kulę u nogi nawet po rozwodzie i po jego śmierci... Znamy cały zbiór rozmaitych ludzi, cudzoziemek, znajomości ze stacyj i miast kąpielowych. Wszystko się zmieni po mojem zameściu. Tak samo, jak ty, mam dość już tego świata, w którym żyję. I jeżeli wyjdę, za mąż to za człowieka ze starem nazwiskiem, z dużą posiadłością ziemską, z rodziną bez zarzutu i o stosunkach niewątpliwych. — Jeżeli jednak chcesz, to tymi stosunkami, które mam, służę ci. Są to ludzie bogaci i lubią się bawić — nie będą nam bezużyteczni.

Twarz Etiennetty rozjaśniła się pensjonarską radością.

— Dziękuję — wyrzekła. — Jakaś ty dobra!

— Zakrzątniemy się koło czegokolwiek — ciągnęła Maud. — Jakaś uroczystość tu... Mamy hallę ruchomą, dużą, jak salony w Continental.

Możesz na mnie polegać, pomyślę. Ty już w Picpus miałaś ładny głosik. Teraz musisz mieć ustawiony doskonałe.

— Tak jest! — odpowiedziała Etiennetta. — Dość przyjemny. Jeżeli chcesz, możemy spróbować. Nie masz jakiej staroświeckiej ballady?

Pianino było tuż obok. Zagłębiły się w nutach obydwie.

— Zaczekaj! — zawołała Etiennetta — to jest nowe, ale ja to zaśpiewam.

Była to aria Chaminade, zatytułowana „L'anneau d'argent“.

Możesz mi zaakompaniować?

— Dobrze! — odpowiedziała Maud.

Usiadła przy pianinie i rozpoczęła, podczas gdy Etiennetta oparta jedną ręką o pulpit śpiewała:

„Le cher anneau d'argent, que vous m'avez donné,

„Garde en son cercle étroit vos promesses encloses“.

Głos miała słaby, ale czysty jak kryształ. Gdy skończyła drugą strofę, usłyszała za sobą poklask, a następnie potężny kobiecy głos wykrzykujący z domieszką włoskiego djalektu:

— Brava, brava. Doskonale.

— Ah, pani Ucelli! — zawołała Maud.

Tęga kobieta, romańskich rysów i czarnych oczu, nie harmonizujących z wybitnie blond włosami, otworzyła ramiona pannie de Róuvre i nadzwyczaj mocno ucałowała ją w szyję. Pani de Ucelli nie przyszła sama jednak. Towarzyszyła jej młoda panienka, czy młoda kobieta, szatynka, szczupła, odstraszej brzydoty.

— Panna Cecylia Ambre, dobra przyjaciółka moja i księżny. Czy nie sciasciona mia? — dorzuciła uderzając przyjacielsko po policzkach dziewczyny. Od kilku tygodni bawi u mnie w Paryżu. Z finezją śpiewa piosenki ostatniego dnia. Na Spezzia sprawiała kompletną radość księżnie i jej cortina.

Maud wyciągnęła rękę.

— Bardzo mi przyjemnie!

— Ale ty, moja piękna, — odezwała się pani Ucelli — odkrywasz mi w sobie wielką artystkę. Tak pani — w dalszym ciągu mówiła, zwracając się do Etiennetty. — Pani ma najczystszy sopran w głosie, głos naszych dawniejszych kastratów. E quanto, è carina! Nie prawda Cecyljo?

Panna Ambre odpowiedziała cieniutko:

— Tak proszę pani, ona jest bardzo ładna i śpiewa bardzo ładnie.

Maud przedstawiała:

— Panna Etiennetta Duroy, moja przyjaciółka z pensyi.

Pani jest w teatrze?

— Nie pani... jeszcze...

— Damy ją poznać, prawda proszę pani — odpowiedziała Maud. — Cudownie śpiewa przy gitarze.

— Oh! cara! Gitara! Ja tak lubię. Ależ to zaraz trzeba się wziąć do tego: koncert, olbrzymi koncert... Ja zaśpiewam i ty Cecyljo także, prawda? Kiedyż damy, Maud?

— Musimy pomyśleć — odrzekła Maud z uśmiechem. — Albo w marcu, albo na początku kwietnia. Poświęcimy koncertem naszą hallę; wie pani, tę hallę ruchomą.

— Znam, znam. Cudowna halla, Cecyljo, jak pół La Scali. Winda dźwiga. To jest dopiero mieszkanie, niesłychane, cudowne, patrz Cecyljo... E comme è ben accomodato! Gosto inglese...

Zaczęły mówić po włosku. Pani Ucelli zmuszała swoją towarzyszkę do zachwytów nad gustem wyjątkowym, zupełnie nowoczesnym, nad obiciami, nad meblami. Maud półgłosem informowała Etiennette.

— Ona ma wstręt do mnie, nienawidzi mnie za Juliana! Tak moja droga. To jest prawdziwy temperament. Ona mnie nienawidzi. Ona psuje mi służbę, każąc nas szpiegować. Już kilka razy zaszłam ją tutaj na

konszachtach z Betty albo Józefem. Ale mimo to, jeżeli zechce śpiewać na tym wieczorze, to będzie atrakcyą dla gości. Podobałaś jej się, boś ładniutka. Ale nie bój się, poróżnicie się prędko.

— Ty jesteś same serce! — odpowiedziała Etiennetta. — Dziękuję. Odchodzę taka uszczęśliwiona... Dziękuję ci, z głębi serca dziękuję. Jaka to szkoda, że ci się niczem nie mogę odplącić.

Panie w dużym salonie oglądały jedwab na firankach.

— Przychodź często do mnie, to będzie najlepszy sposób odwdzięczenia się. Ja nie mam ludzi bliskich, a tak mi czasem pusto na sercu. Ot! — A potem dodała po chwili namysłu. — Być może, że cię poproszę o coś. Czy możesz mi pożyczyć w swoim mieszkaniu... w mieszkaniu matki od czasu do czasu... pokoju?

Ale cały lokal, jeżeli chcesz, moja droga. Ze względu, że mama jest cierpiąca i nie wstaje zupełnie ze swego fotelu; — reumatyzm serca, wiesz, jestem istotną gospodynią, teraz wszystkim się zajmuję.

— Bo... — rozpoczęła na nowo Maud, opanowując wahanie, będę potrzebowała ze swej strony przyjąć...

— Juliana?

— Czy cię to będzie może kompromitowało?

— Kompromitowało? mnie? — odrzekła smutnie Etiennetta. — Czy mnie może co skompromitować? mnie? Czyń co ci się podoba. Całe mieszkanie na twoje rozkazy.

— Dziękuję ci. Licz na mnie. Prawda, zawieramy teraz rodzaj traktatu przyjaznego. Zobaczysz, że nie jestem złą przyjaciółką.

Pani Ucelli i panna Ambre wracały trzymając się za ręce.

— Panie mi wybaczą — zwróciła się do nich Maud — ale panna Duroy na odchodnem dawała mi pewne zlecenia.

— Pani ucieka? — rzekła pani Ucelli. — Bardzo mi było przyjemnie... Pani może zajdzie do mnie, ulica de Lisbonne 21, wieczory czwartkowe. Oddamy się muzyce.

Etiennetta podziękowała i pożegnała ją.

— A propos! — zatrzymała ją Włoszka — Zobaczmy się jutro na „Walkyrjach?”

Etiennetta odpowiedziała:

— Boże mój! Zkąd bym ja się wzięła na premierze, proszę pani.

— Oh! tybyś nie poszła, ty cara! — odpowiedziała włoszka, chwytając ją za ręce, jak stara przyjaciółka. — Taka artystka... i tak cudowna... Che peccato. Przyjdiesz do mojej łoży, parter 15. Będzie panna Ambre, hrabia Rustoli. Któż jeszcze? Może pan Luc Lestrangle, przyjaciel pani de Rouvre.

Drzwi dużego salonu otworzyły się. Bez anonsowania wszedł mężczyzną trzydziestopięcioletni, blondyn, pięknej figury, trochę przywidły i zniszczony, bardzo dystygowany. Zbliżał się z uśmiechem:

— Usłyszałem swoje nazwisko. Wolno wiedzieć, o czym mowa?

Witał panie ucałowaniem rąk. Pani de Ucelli zawołała:

— Ah! Signore Lucca! O to mi się podoba. Istotnie mówimy o panu, pan się zjawia, jak widziadło.

Etiennetta pożegnała się i wychodziła przeprowadzana przez Maud'ę. Po jej powrocie obsiedli wszyscy kominek, w którym lekko żarzyły się polana.

Prawie w tej samej chwili w drzwiach salonu ukazała się jakaś dama w podeszłym wieku, a z nią dwie dziewczynki, jednakowo ubrane, dość ładne, ale anemiczne: Marta i Magdalena. Magdalena była żywsza, weselsza; Marta cichsza, często roztargniona, oczy wystraszone, zawsze zaczerwieniona. Podobały się jednak. Maud przedstawiała:

— Pan Luc Lestrangle, szef gabinetu ministra spraw wewnętrznych; pani de Reversier, panny de Reversier. Ale prawdopodobnie to państwo się znacie.

— Alboż to pan Lestrangle nie zna wszystkich pańien w Paryżu? — zauważyła ze śmiechem pani de Ucelli.

— Nie! — półgłosem odpowiedział Lestrangle. — Tylko pewne kategorie.

— Jakże się miewa mateczka? — zapytała pani de Reversier, siadając.

— Trochę cierpiąca. Ale przypuszczam, że przyjdzie na chwilę koło piątej.

— A Jakóbina?

— Jakóbina na swojej lekcyi literatury. O czwartej wraca i naturalnie przyjdzie tutaj.

Pani de Ucelli przerwała rozmowę z Lestrangle'em.

— Co to za lekcje, Maud? Czy to te na ulicy Saint-Honoré, gdzie pewien trydziestoletni młody człowiek wpaja moralność pannom?

— Pannom i mężczyznom, droga pani! — zaznaczyła Maud. — Wykłady dla obojga płci.

— Mieszane?

— Mieszane. Lekcje wspólne.

— No, no, — odezwał się Lestrangle — muszę się zapisać na kilka wykładów moralności.

— Nie puszczaj cię tam birbante. Masz zanadto kiepską reputację u matek... psujesz panny.

— Upewniam panią, że to one mnie psują, a nie ja je. Maud zmieniła temat.

— Kto z państwa jutro idzie na „Walkyrje?”

— Mam krzesło! — odpowiedział Lestrangle.

Pani de Reversier zwróciła się do Maud.

— Mogę pani zaofiarować u mnie miejsce. „Walkyrje“ nie zupełnie stosowne dla moich pańienek.

Zawiązała się dyskusja. Pani de Reversier podnosiła niecenzuralność drugiego aktu. Pani de Ucelli broniła

hałaśliwie w imieniu sztuki. Panienki także zaznaczyły swoje przekonania.

— No dobrze, — zapytał Lestrangle Magdaleny — jeżeli pani doskonale zna libretto, jak widzę, to cóżby było dla pani nieprzyzwoitego w samym widowisku!

— Nieprzyzwoite, bo publiczne, proszę pana.

— Wszyscy mogą widzieć, że słuchamy. Niechże się pan odważy mówić przy mnie, przy siostrze, przy Jakóbinie, no przy wszystkich nas, jak jesteśmy, cokolwiek z repertuaru kawalerskiego? No, proszę-ż odpowiedzieć? Cóż się pan tak patrzy na mnie.

— Patrę na usteczka pani, — odpowiedział Lestrangle — a myślę o tych kawalerskich anegdotach, które mam zamiar opowiadać pani.

Magdalena de Reversier zaśmiała się:

— Dobrze. Ale proszę się wstrzymać chwilę. Mało jeszcze słuchaczy. Mama widzi. A mama nie dowierza panu, pan wie.

— Oh! mama pani jest bardzo rozsądna — odpowiedział Lestrangle. — Zresztą, ot i nowi słuchacze.

— Nie, to herbata!

Lokaj otworzył drzwi, niosąc tacę ze samowarem, filiżanki, ciastka. Za nim Jakóbina de Rouvre. Zaczęły się przywitania. Panie obcałowywały ją; podała rękę Lestrangle'owi. Była to mała osóbką, otyła, ruda, zupełne przeciwieństwo Maud', a najzupełniejszy portret matki, nieco delikatniejszy, wytworniejszy, więcej paryski. Jedwabista cera, modre oczy na pół przymknięte, ociężałe, rozkosznie wydłużone rzęsy. Kształty miała już dojrzałe, piersi i biodra jak u mężatki, w talii dziecko. Wszystko to razem wzięte wraz z kapryśną dziecinnością w ruchu, mowie i ubraniu, wraz z krótką sukienką, która odkrywała łydki toczone, okrągłe, wreszcie coś niezwykłego i niespokojnego w całości, działało odpowiednio na mężczyzn i rozpałało im namiętność w oczach i

we krwi. Kiedy już siadła między Luc LeStrange'em i panią de Reversier, ta ostatnia żartobliwie zapytała:

— Mówiono o waszych lekcjach moralności. O czemże dzisiaj wykladał ten młody nauczyciel?

Jakóbina spuściła powieki i z jakimś humorystycznym odcieniem niewinności odpowiedziała:

— O miłości w małżeństwie, proszę pani.

— Śliczny temat. I cóż mówił?

— Zdam pani sprawę z każdego słowa.

Wstała szybko, wskoczyła na krzeszło ze zręcznością pastereczki i ze stosowną mimiką i dykcją rozpoczęła:

— Miłość małżeńska, szanowne panie i panowie składa się z dwóch pierwiastków, tak samo szczelnie połączonych jak tlen z wodorem. Te pierwiastki, to przywiązanie i miłość. Wszyscy wiecie, co to jest przywiązanie: ognisko domowe, pieszczoty matki (etc. etc. — długa tyrada; opuszczam). Zostaje miłość...

— Jakóbino przestajesz być skromną! — przerwała Maud.

— Zupełnie nie. Tylko to co na lekcji. Powtarzam: Miłość, panie i panowie, nie daje się tak łatwo zdefiniować, zwłaszcza wobec naszego audytorjum. zadowolnijmy się określeniem utartem: dążeniem ogólnoludzkim do piękności, pociąganiem oczu do formy. — Ktoś mu tu przerwał: A u ślepych? Młody nasz profesor udał, że nie słyszy. Julka Avrezac, moja sąsiadka powiedziała mi do ucha: „Ślepi mają dotyk pysznie rozwinięty“.

Wszyscy się naśmiewali, nawet pani i panny de Reversier, które jakby zapomniały o swoich surowych zasadach z przed kilku minut. Pani Ucelli naturalnie uściskała Jakóbinę.

— E un fiore — péro un fiore!

Maud powiedziała zupełnie poważnie.

— No dość już Jakóbino tych głupstw. Lepiej zajmij się herbata. Magdalena z Martą pomogą ci.

Dwie szatynki i mała ruda główka zaprzętnęły się koło roboty, otoczyły stół i z miłutkim ukłonem podawały każdemu z gości filiżankę. Herbatę przygotowywano do każdej filiżanki z osobna w kubeczku z małym porcelanowym siteczkiem na górze. Wszyscy podziwiali serwis.

— Czy to pani, panno Maud, wyszukała ten garnitur.

— Nie, to pan Aaron zamówił dla nas w Londynie. Był przepełniony prezentami.

— Pani ma szczęście — odezwała się naiwnie pani de Reversier. — Moje córki nic mi nigdy nie wyflirtowały.

— Ah! — zawołała naraz Maud — są przecie, obydwaj! Doskonale.

Tak serdecznie przyjęci goście byli to dwaj mężczyźni, jeden młody, drugi siwiejący lekko.

Pani de Ucelli wyciągając do nich rękę, powtórzyła:

Obadwaj. Mimo sesję Senatu. Ah! pan Paweł le Tessier dla mnie nie łaskaw... Peccato! Tylko Maud ma ten przywilej.

— Ale za to spodziewałem się panią tu zastać, szanowna pani! odpowiedział Paweł le Tessier. — Kolega nasz Briard umarł tej nocy; no a przytem ministerstwo nie było przygotowane na moją interpelację, więc zawieszono posiedzenie.

— Mówił głosem, równym, przypatrując się spokojnie swojej słuchaczce. Cała jego postawa krzepka, trochę otyła, świeża twarz, blond broda kwadratowa, poprzecinana gdzieniegdzie lekką siwizną, oczy piwne, czyniły z niego człowieka poważnego, pewnego siebie.

Podobnym był i brat jego, chociaż bez brody, z gęstymi włosami, szczuplejszy i żywszy. Miał takie same piwne oczy, ale gdzieś w głębi przebijał w nich wyraz ironji, sceptycyzmu.

— Co do pana Hektora — zauważyła pani de Reversier — to pozostaje wiernym wtorkom u pani de Rouvre.

— Tak jest, — przerwała Jakóbina. — Lubi młode dziewczęta, a wie, że tu prawdziwy zbiór naiwności.

— Wiem, że tu się znajdzie i sprytu trochę, panno Jakóbino — półgłosem odciął się Hektor, podchodząc do niej.

Lestrangle odosobnił w kącie obie małe Reversier'ówny i ztamtąd dolatywał ich nieco nerwowy śmiech. Cichaczem wtajemniczał ich w coś zabawnego. Pani de Ucelli podniosła się.

— Będę się musiała wyrzec przyjemności widzenia pani de Rouvre.

— Pani będzie łaskawą zostać jeszcze — prosiła Maud. — Mama zaraz zejdzie. Przykro by jej było.

Ale włoszka miała jeszcze na mieście sprawy i wizyty. Maud nie nalegała, zadowolona, że odchodzi przed przyjazdem de Chantel'ów.

— Skądże ona wzięła tę piękną mumię? — zapytał Paweł le Tessier po wyjściu pań.

— To Niceanka — odpowiedziała — Maud — dama dworu księżny de la Spezzia.

— Piękna rekomendacja.

— Otoczyli kominek. Uczuli się jakoś swobodniejszymi. Ale rozmowy dwójkami trwały wciąż. Pani de Reversier polecała Pawłowi jakiś czyn dobroczynny, z którym chciała się zwrócić do rządu, Jakóbina kokietowała Lestrangle'a, by go odciągnąć od małych Reversier. Hektor gawędził półgłosem z Maud'.

— Dlaczegoż mieliśmy na dziś specjalne zaproszenie? — zapytał.

— Oczekujemy pierwszej wizyty pewnych osób, z którymi chcemy nawiązać stosunki. Wasza obecność potrzebna mi była do uświetnienia salonu. Oto wszystko.

—Boże, jak mi to pochlebia. A kogoż panie oczekujecie?

Maud uśmiechnęła się, Hektor uprzedził:

— Konkurent?

Nie odpowiedziała wprost na pytanie. Dopiero po chwili:

— Czy pan jesteś moim przyjacielem, panie Hektorze?

Młodego człowieka zastanowił poważny ton pytania.

— Oczywiście, moje dziecko — odrzekł. — Mój brat był nawet przyjacielem ojca pani. A ja znam panią od dziecka.

Zauważył, że go zaczynają rozrzewniać wspomnienia, zapanował więc nad sobą i rzucił:

— Wie pani dobrze, że się miałem ku pani, gdyś była podlotkiem.

— Nie żartuj pan, proszę — odpowiedziała Maud. — Nigdy tego nie było — i nawet bym tego nie chciała. Mam pana jednak za niedzdołnego do zrobienia mi krzywdy.

Zaprzeczył ruchem.

— Wiem o tem. Proszę to sobie zapamiętać; może być, że będę pana potrzebowała.

Łoskot śmiechu przerwał im rozmowę. Słuchali, co mówi Jakóbina:

— Stare damy, które go nazywają: „pan doktor Krauss“, podlegają u niego hydropatji melancholijnej, prysznicuje je z obowiązku, odwracając głowę; woda pada, gdzie chce. Młodym mężatkom prawi komplimenty, rzuca dwuznaczniki, bawi się ich bojaźnią, krzykiem, podrażnieniem. A dla młodych dziewcząt ma specjalną hydropatję: „dziewicza“, wstydliwą. Dotyka lekko, ledwo — ledwo, ani jednego słowa lekkiego, żadnej brutalności. Będzie wam mówił o muzyce, o literaturze, o balach — i to wszystko do pacjentki obnażonej, tak poprostu, gołej. Niema nic komiczniejszego.

Naraz przerwała.

— Pst! Mliczenie... dzwonią...

Nim zdołano otworzyć drzwi — już siedziała przy stole z herbatą, poważna i dobrze ułożona jak pensjonarka pod okiem przełożonej.

Tym razem służący meldował:

— Vice-hrabina de Chantel, panna de Chantel, pan Maksymilian de Chantel.

Nieco ceremonialnie, cicho, z całym przepisem dystynkcji odbyła się wzajemna prezentacja gości. Jakóbina rzuciła w ucho Marcie.

— Pachną prowincją. Mamusia, synalek i panna. Patrz!...

Istotnie, wejście Chantel'ów do tego salonu nad-nowoczesnego, z ludźmi eleganckimi, z kobietami postrojonemi, ubranemi u Ducet'a, Reboux'a wywołało pewien dość rażący kontrast. Wszyscy Chantel'owie byli ubrani czarno, zapewne wskutek żałoby, która po prowincjonalnych dworach trwa z roku na rok to po kuzynie, to po kuzynce. Źle skrojony strój karykaturował panie, dodawał lat Maksymilianowi.

— Wszystko jedno — odpowiedziała Marta de Reversier, Jakóbinie na nich znać ród.

I ta miała rajcę. Przyodziani po prowincjonalnemu, robili wrażenie prowincjonalnej arystokracji, ale prawdziwej, rasowej, magnaterji rdzennej, bez domieszki krwi obcej. Pani de Chantel, chuda, mała i sucha, miała twarz ascetyczną, białą jak opłatek, duży kapelusz, prawie przykrywał jej siwiejące włosy, ale czarne jej oczy jaśniały jakąś słodyczą niepodrabianą, zupełnie jak oczy jej córki Joanny, która zupełnie była do niej podobna. Joanna miała obfite włosy, czarne, lśniące jak szkło na guzikach jej stanika, wyższa od matki, mniej zawiedła, przy każdym słowie musiała się rumienić — nieśmiałość miażdżyła ją. I Maksymilian w swoim prowincjonalnym tużurku, w swoich spodniach po naddziadach, w swojej krawatce cienutkiej zeszytej

w literę X, Maksymilian suchy i tęgi, o myślących rysach, gorejącem spojrzeniu, jak matka i siostra, przypominał oficera, ale oficera-szlachcica.

— Idź powiedz mamie, że przyszli — szepnęła Maud na ucho Jakóbinie. — Niech włoży czarną suknię grenadynową. Nie żółtą, ani zieloną. I niech sznurówkę nałoży...

— Dobrze. Sama ją zasznurowę, jeżeli trzeba — odzwała mała, umykając.

Dość chłodne milczenie zapanowało w salonie po przyjsciu państwa de Chantel. Maud zajęła się wyłącznie panią de Chantel. Obsypywały się ceremonialnie komplementami. Joanna obok matki, nie otwierała ust i nie podnosiła oczu z podłogi. Maksymilian, siedzący naprzeciw Maud, między panią de Reversier a Hektorem le Tessier, blade, pokręcał lewego węża (familijne przyzwyczajenie). Usiłował patrzeć na meble, obicia, urządzenie, a ciągle patrzył na Maud, która mu dość niedbale podała rękę na przywitanie, ani razu nań nie spojrzała, a tak pięknie wyglądała. I nie mógł sobie wytłomaczyć, jak tam w zaciszu wsi, mógł roić o dobijaniu się o jej serce, jak mógł odgrzebywać ziarna wspomnień, pozwalać im kielkować, rósć, rozkwitać w najniebezpieczniejsze kwiaty miłości.

Hektor le Tessier obserwował nowo przybyłego. Badał go wzrokiem. Przenikliwy paryżanin, znający na wylot świat, odrazu wyczuł, że tutaj dzierżga się węzeł intrygi, tu w tym salonie, naokoło tego kominka i tego samowaru; z zamiłowaniem dyletanta obliczał dane, co będzie: dramat, czy komedja? Panie de Rouvre nie mają ani grosza poza całym parawanem przepychu. Maud ma po uszy tego życia, którem żyje — zdecydowałyby się grać to życie o jedną oktawę niżej, ale w poważnem małżeństwie.. Szlachcic rozkochany — każdej chwili gotów... Tak, ale Suberceaux. On zakochany, ona zakochana. Niezły temat na sztukę. Szczęście, że

jestem tylko obojętnym widzem. Ucieszył się tą przyobiecana przed chwilą Maud neutralnością.

Maksymilian tymczasem najzupełniej się zapomniał i nie odwracał oczu z Maud, która znowu ani spojrziała w jego stronę.

— To dziwne — myślał Hektor. — Znajoma mi ta twarz.

Pani de Rouvre weszła. Ubrana była w czarną grenadyne — i ten czarny strój odmładzał ją, odświeżał. Na gorsie jednak jaśniała brosza ze sztucznego brylantu.

— Dłaczegoś mamie pozwoliła to brać? — zapytała Maud cicho Jakóbinę, idącą z matką.

— Ah, próbowałam, ale czy myślisz, że to tak łatwo?

Zobaczywszy panią de Rouvre, pani de Chantel powstała, różjaśniona prawdziwą radością, uścisnęły się i zaczęły odrazu rozpowiadać o swoich chorobach — zagadały się.

— Kochana pani, jakże z panią? jakże kolano?

— Ach! znowu mnie napadło. Przeleżałam wczoraj cały dzień w łóżku. A pani, jakże ramię?

— Znacznie, znacznie lepiej. Niech pani sobie pomyśli, wyszukałam lekarstwo: pigułki doktora Leverta.

Usiadły w kącie, zupełnie pochłonięte rozmową, nikogo już nie słuchając, całe w wynurzaniach, w skargach na chorobę.

Hektor przybliżył się do Maud.

— Jak oni się właściwie nazywają? — zapytał — nie dostałem nazwiska.

— Chantel. Vice-hrabina de Chantel.

— A więc zgoda. Znam Maksymiliana de Chantel.

Maud żywo zapytała:

— Rzeczywiście? Skąd?

Z pułku, ośm lat temu. Był moim podporucznikiem w Chalons, gdy byłem ochotnikiem przy dragonach.

— W samej rzeczy, on skończył Saint-Cyr i przez trzy lata był oficerem. Musiał się potem podać do dy-

misji po śmierci ojca, aby się zająć gospodarstwem w Poitou. Ogromne dobra. Nie poznał pana?

— No naturalnie. Nie byłem takim wydatnym dragonem. Czy mam mu się przypomnieć?

Maud rozważała przez chwilę.

— Nie zapomniał pan obietnicy?

— Nie. Jeżeli tylko mogę w czemkolwiek być, pani pomocnym...

— O! i bardzo. Proszę mu przypomnieć, gdzie go pan widział. Oswój go pan. To dzikus, jak Pan widzi.

— Jak w tej chwili — odpowiedział Hektor — to zdaje się, miałby ochotę zapakować mnie do kozy na jakie 15 dni, jak za dawnych czasów. Proszę pani, spojrzeć...

W istocie Maksymilian był zupełnie zgnębiony, patrząc na swobodny stosunek Hektora z Maud.

— Pójdę go uspokoić.

Skorzystał z zamętu, jaki powstał wskutek wejścia malarza Valbelle, atletycznego drągała, opalonego i szpakowatego. Podszedł do Maksymiliana.

— Czy pan pozwoli powołać się na moje dawne wspomnienia. Miałem zaszczyt służyć w Chalons pod rozkazami pańskimi. Jestem Hektor le Tessier.

Maksymilian nie odczuł lekkiej ironji jaką przypruszył Hektor zewnętrzną powłokę swej uniżoności. Wyprostował się — twarz mu się rozjaśniła, ścisnął rękę Hektora.

— Ah, jakże mi przyjemnie. Doskonale sobie przypominam... Le Tessier... Koło 84 roku, prawda?

— 83, poprawił Hektor.

— 83... Pan z Deux-Sèvres?

— Tak panie, z Partenay; zadziwiająca pamięć pańska utwierdza mnie tylko w mojem przekonaniu, jakie miałem o panu, jako o idealnym oficerze.

— Lubilem bardzo to zajęcie — wyrzekł Maksymilian głosem nieco smutnym.

Przybliżył się do nich Paweł le Tessier, następnie pani de Chantel i pani de Rouvre, zwabione dziwnym zjawiskiem towarzyskiem: odszukaniem wzajemnym dwóch ludzi, których los złączył przypadkiem kiedyś, przed dziesięcioma laty.

— Nic w tem niema romantycznego — objaśniał Paweł le Tessier. — Pan de Chantel był oficerem przez trzy lata, więc znał prawie dwa tysiące szeregowców.

— Oh, szkaradny matematyk, powiedziała pani de Rouvre. Wiecznie cyfry i dowody, że to, co się stało, stać się musiało. Powtarzam kategorycznie, że to spotkanie jest nadzwyczajne i wróży zaprzyjaźnienie obu panów.

— Chętnie podlegam wyroczni pani, zdecydował Hektor. I jeżeli pan de Chantel zostaje na pewien czas w Paryżu, to spodziewam się że skorzysta ze mnie i z brata, jako z prawdziwych paryżaninów, choć z Parthenay rodem. A na początek nie odmówi nam pan obiadu w klubie.

Maksymilian zgodził się; gawędzili dalej w tonie serdecznej koleżeńskości, obydwoj mówiąc o przeszłości, ożywiali wspomnieniami niepowrotnej młodości lekki ciężar trzydziestki z górą. Goście przybywali tymczasem: pani Duclerc, żona modnego pastelisty, którego nigdy nie można było z nią zobaczyć; kobiecy powieściopisarz, Henri Espiens, obrośnięty południowiec, tęgi i gadatliwy; pani Avrezac z córką Julią, obie brunetki, chude, przystojne, wyglądające jak dwie siostry, wreszcie kuzynka Maud, Dora Calvell, mała kreolka z policzkami jasnej cytryny, granatowymi włosami, z płomiennem okiem. Weszła sama; panna służąca została w przedpokoju.

Maud odciągnęła Jakóbinę na stronę.

— Dobrze idzie, prawda?

— Dobrze, ale nie należy dopuszczać do wielkiej za-

żyłości z Tessier'ami. Ty wiesz, kilku mężczyzn, razem wziętych, to jeden wielki nieprzyjaciel kobiety.

— O Hektora jestem spokojna.

— A Paweł?

— Masz rację. Paweł. Muszę go...

Małym ruchem palca przyzwała go do siebie.

— Piękny senatorze — zaczęła poufałym tonem — ominałeś pan sposobność zobaczenia dziś napięknieszej z gości.

Paweł roześmiał się.

— Wiem. Sam ją tu przysłałem.

— Patrzcie... Mała intrygantka. Nic mi nie wspominała o tem.

— Nie miała odwagi tu przyjść. Musiałem jej zaręczyć, że z pani dobra koleżanka — przynajmniej dla tych, które ci w drogę nie wchodzą — dodał z uśmiechem.

— A co do mnie, to obiecałam jej urządzić występ i ściągnąć cały Paryż na debiut. Czy pan wie o tem, że ona jest śliczna .. no i że pan jesteś najszcześliwszym z senatorów?

— Oh! — zastrzegł się Paweł le Tessier — jak mówią królowie w operetce, jestem tylko ojcem dla tej dziewczki.

— Który chce zrobić kieknny początek — dorzuciła Jakóbina przez zęby. — A moja siostra dobrą by była córką dla pana, co?

— W nagrodę — ciągnęła dalej Maud, zniżając głos — będę pana prosiła o sojusz dla pewnych planów, które mi bardzo leżą na sercu.

Paweł wskazał spojrzeniem na Maksymiliana.

— On?

— Tak. Hektor jest moim sprzymierzeńcem. A pan?

— I ja, naturalnie. Zresztą tu będzie sposobność pobawienia się tym żołnierzem-rolnikiem. Oo! Aaron z Julianem.

Suberceaux, swobodny, wytworny, wszedł w towarzystwie człowieka małego, okrągłego, okrytego krostami, z pokaźnym brzuszkiem i widocznie pocącego się, z obejściem właściciela lombardu — mimo angielski krój ubrania, i różową gardenię przy surducie, mimo lśniący blask kapelusza i lakierok. Przedstawiono go uroczyście:

— Baron Aaron, dyrektor związku Katolickiego.

Tłusta osoba kłaniała się na lewo i na prawo, ścisnęła ręce, biegła po posadzce salonu, jak potoczona kula.

— Pani bełkotał, przybliżając się do Maud i wyciągając jakąś kopertę z kieszeni — oto łoża na jutro... na operę.

Ah, dziękuję — krótko załatwiła się Maud i położyła kopertę na konsoli.

Towarzystwo rozbiegło się po salonach gromadkami. Espiens wyciągnął panią Avrezac do buduaru Maud, nie zobaczyli ich już; jedynie od czasu do czasu biegł stamtąd zduszony śmiech i bezpośrednio po nim dwa, trzy akordy lekkie na pianinie. Julka Avrezac na uboczu ze Suberceaux mówiła mu coś cicho, z ruchami gwałtownymi, nerwowymi, wyglądało to na jakieś wyrzuty osobiste; słuchał ją obojętnie, zapatrzony w najnowszy podarek Aarona: szkic Turnera, świeżo zawieszony na ścianie. Naokoło stolika z herbatą Valbelle i Lestrangle bawili Dorę Calvell, Jakóbinę, Martę i Magdalenę. Małej kreolce co chwila nabiegały policzki brunatną krwią, gruchała, jak dziki gołąb, lekko odcinając się panom wśród ochoczego śmiechu.

— Dzika! — panie Valbelle. Pan chcesz, żebym do takiej dzikuski pozowała — niema co mówić, pan jest uprzejmy.

— Ale nie, niechże pani zechce zrozumieć — mówił Valbelle — to nie jest taka dzika, jak wszystkie, to jest Rarahu... poezja... miłość... wogóle zupełnie w typie pani.

— I w kostjumie jej będzie pani do twarzy, zauważył Lestrangle.

— A jaki to kostjum? E! panowie sobie drwicie z mojej głupoty, jestem pewna, że zupełnie ma być bez kostjumu.

— Ale będą liście... tak... dużo liści... figowych. To jest zupełnie przyzwoite...

— Zupełne zabezpieczenie — powiedziała Jakóbina — zarazbym pozowała panu Valbelle, gdybym była w typie.

Na ucho dorzuciła Marcie: „zobaczysz, że Dora powie: tak. Ona jest wprost cudowna“.

Dora po namyśle postanowiła:

— Mama nie zgodzi się.

— Oh! — zaczął Lestrangle — nie potrzeba jej mówić. Odprowadzi panią do pracowni ta kochana panna Zofia.

Była to panna służąca Dory, uwielbiana przez bulwarowców za swoje absolutne niedołęstwo i niemość. Sadowiono ją w przedpokoju, natychmiast zasypiała i rozbudzano dopiero przed wyjściem.

Mała Calvell'ówna rozważała. Nareszcie zdecydowała się na odpowiedź, która przyprowadziła jej koleżanki do spazmów śmiechu:

— Dobrze, zgadzam się, ale pan mi przyrzeknie, że mi nie będzie widać kształtów.

Maksymilian osamotniony po odejściu Hektora, który teraz przysiadł się do jego siostry Joanny, patrzył, słuchał i pytał: „czy to wszystko sen jaki, czy ja się urodziłem na jakim innym planecie, czy to język i zwyczaje nowoczesnych ludzi? Te pieprzne dowcipy, te gawędy półgłosem — te dotknięcia rąk, z którym się nawet nie tają, te straszne wprost wyrazy, które jakby nawołują do swobody: „mój flirt, ona flirtowała, myśmy flirtowali, flirt mojej córki“. Więc to tacy ludzie otaczają Maud więc ona to słyszy, widzi, więc? ..“

Maud nie zwróciła się do niego jeszcze dotąd ani ze słówkiem, w tej chwili, stojąc przy tej lobuzerskiej

kompanijce z Lestrangle'm i Valbelle'm na czele, patrzyła na niego z pewnem rozdrażnieniem. Podeszła do niego i zapytała wręcz:

— O czym pan myśli, panie de Chantel? — i pociągnęła go z odpowiedzią w kąat pokoju.

— Myślę — odpowiedział Maksymilian ponuro — że moje Vezeris jest schroniskiem, z którego nigdy nie powinien wyjeżdżać taki jak ja wieśniak i parafjanin.

Mimo woli wkładał w swe słowa całą gorycz, jaką czuł, porównując się przed ukochaną kobietą z tymi ludźmi wytwornymi, błyskotliwymi, gawędziarzami, jak Lestrangle, le Tessier, Suberceaux.

— I wraca pan do Vezeris? — dobitnie zapytała Maud.

Tak. Przyjechałem z matką, bo by sobie sama nie dała rady. Teraz zostanie na opiece doktora Leverta. Nie jestem jej już potrzebny, przyjadę ją zabrać z powrotem. Paryż za duży dla mnie; dziś, tutaj naprzykład odczuwam wyraźne osamotnienie. Moje równiny z dalekimi planami, z tajemniczym widnokręgiem bliższe mi są jakoś...

— Ah! — westchnęła Maud, przymykając oczy.

Maksymilian mówił dalej, egzaltując się swoim własnym głosem.

— Te ustronia stworzyły mnie na swój obraz i podobieństwo. Moje uczucia są powolne i głębokie, tak głębokie, że raz poruszone, samem wspomnieniem wypełniają myśli przez długie, miesiące. Tutaj odczuwają prędko i płytko, uczucie ich tak szybkie, jak słowo, a ja nawet mówię powoli, bo nie jestem w stanie uchwycić prędko mojej myśli. Wybacz mi pani, że cię nudzę. Doprawdy nie wiem, na co ja pani to wszystko opowiadam.

— Owszem, proszę, mów pan! — odrzekła Maud. — Nic a nic z tego, co oni opowiadają (wskazała na gromadę złożoną z Suberceaux, Jakóbiny, le Tessiera) nie zdoła mnie tak zająć...

— Pani jest dobra, że mnie pociesza przynajmniej. Patrz pani, nie jestem już panem samego siebie, nie mogę ukryć mego wzruszenia. Wszystko mi przywodzi na pamięć coś z przeszłości... A moja obecność tutaj tak żywo mi stawia przed oczyma te nasze cztery dni ze Saint-Amand.

— Maud przerwała:

— Ja tembardziej nie zapomniałam ich. — Podniosła oczy na Chantela i przeraziła się ogniem, jaki bił od niego.

— Na dziś dosyć romansu! — pomyślała.

Jemu już cisnęły się na usta słowa, gdy naraz musiał je przerwać, bo Maud odezwała się głośno.

— Jutro proszę przyjść do naszej łoży do Opery... zgoda? Janka także przyjdzie, prawda? Gdzie jesteś moje drogie dziecko? Patrzcie, ona mówi, ona się oswaja!

Joanna de Chantel nieśmiało gwarzyła z Hektorem le Tessier. Uwaga Maud przerwała jej rozmowę i dziecina cała w ponsach uciekła pod opiekę brata. Wywołało to trochę śmiechu.

— Jakże ją pan ośmielił? — zapytał Maksymilian, zanurzając palce w pukle jej ciemnych włosów.

— Mówiłem jej o panu.

Ta świeża, nowa natura odrazu wzbudziła zainteresowanie Hektora. Odczuł całą odmienność od tych innych młodych dusz, zwiedłych pod powłoką t. z. dziewiczości — od tych dusz, które znał na wylot z paryskich salonów dzięki rozmowom, prowadzonym nie dla smakosztwa w zepsuciu, jak to czynili Lestrangle albo Suberceaux, ale dla specjalnego zadowolenia badacza. Mówił z nią poważnie, prawie po ojcowsku, opowiadając o znajomości z bratem, o Poitou — i zyskiwał coraz więcej zaufania dziewczyny. Lęklwym, przerywanym, głosem opowiadała mu o swoim dzieciństwie, o swojej młodości

spędzonej, bez zabaw, bez towarzystwa, wychowywana przez matkę, uczona przez brata.

— No, moi państwo! — rozpoczęła Maud nieco znużona. — Jak się urządzamy z jutrzejszym wieczorem. Pan Aaron i pan de Suberceaux mają swoje miejsca, również jak i panowie — zwróciła się do le Tessierów. — Pani de Chantel i Joanna u nas w łoży. Pan de Chantel będzie łaskaw przyprowadzić panie.

— Obiaduję z przyjaciółmi pań — odpowiedział Maksymilian.

— No to wszyscy trzej po obiedzie tu. Postanowione, prawda?

Zatrzymała na nim ciepłe spojrzenie. Skłonił się. Suberceaux udawał, że nic nie widzi i że jest zajęty rozmową z Pawłem le Tessier.

Pani de Chantel podniosła się. Aaron wziął się do całowania rąk pani de Rouvre. Dochodziła siódma — — wszyscy zaczęli się żegnać.

Suberceaux podszedł do Maud. Szepnęła mu:

— Dobrze. Wszystko dobrze. Naprawisz sobie humor niebawem. A byłeś grzecznym.

— To on? — zapytał pogardliwie młody człowiek, pokazując wzrokiem na plecy Maksymiliana de Chantel.

— Tak.

— Dość prowincjonalnie wygląda.

Maud odezwała się sucho:

— Doskonale wychowany człowiek, mój drogi i więcej wart...

— Odemnie?

Maud odpowiedziała:

— Od nas. Teraz, — dorzuciła — dopędzaj tamtych. Nie powinieneś tu zostać dłużej od innych. Do jutra!

III.

— O, nie! — oświadczył Hektor le Tessier, kończąc obiad wspólnie z bratem i Maksymilianem w restauracji Joseph'a. — Świat ten, któryśmy wczoraj spotkali, nie jest wyjątkowym światem, zupełnie nie, mój drogi panie. Te młode dziewczęta, któreś pan widział wśród mężczyzn słuchające tęgich dowcipów, śmiejących się i odpowiadających w takim samym stylu, zupełnie nie są wyjątkowe. To jest dzisiejszy świat próżniaczy.. i to jest dziewczyna dzisiejsza z tego światka. Jeżeli Dora Calvell jest... no, żeby nie nadużyć słowa, kolonialna, to inne uzupełnią ją do przeciętnej miary osóbką z rozbawionego Paryża, takiej osóbką, która ma rodziców, o średnich ambicjach, która bywa w lasku, w teatrze, w Aix, w Trouville, która bierze hydropatię, gra w tennis; składają się na nią typy z całej socjalnej drabiny społeczeństwa, od ulicznej niewinnej zalotnicy do dziedziczki imion historycznych. Pani de Reversier jest żoną dzielnego Berrichona, półszlachcica, niegdyś prefekta, wartość wewnętrzna: podług taksy, powierchowność miła. Avrezac przez całe życie fabrykował przetwory chemiczne, wdowa po nim dość bogata. Znakomite pochodzenie Rouvre'ów zna pan zapewne. Jakóbina jest prześlizgnie wychowana. Nie! te panie w żadnym razie nie są światem mieszanym, półświatkiem. W ogóle w salonie ich nie widzę rażących braków,

oprócz Dory, dobrze zresztą urodzonej i tej Cecylii Ambre, która by swoją brzydota mogła natchnąć Baudelair'a, ale którą wszędzie przyjmują jako damę honorową jakiejś księżny włoskiej. Wszystkie one i wszystkie te, które pan pozna, są takim samym wytworem swobodnego Paryża, jak ten szampan, który pijemy, jest wytworem winnic z Charentes. Ani jedno ani drugie nie przestało mi smakować — zakończył, wychlajając resztę ze swego maleńkiego puharu.

Paweł le Tessier dobierał sobie cygaro.

— Otóż i Hektor na swoim koniku. Na temat młodych panien jest niewyczerpany.

Maksymilian mało mówiący przy obiedzie i nie palący zgoła, odpowiedział:

— A to takie zajmujące.

Słowa Hektora le Tessier tak trafnie padały na grunt jego serdecznych niepokojów. Po wczorajszej wizycie wyszedł oczarowany. Maud taka piękna, tak rozkosznie, ciekawie mówiła mu o wspomnieniach, wiążących ich, taka bez skazy, taka, jakiej tylko pragnął. Ale inne. Gdzie ich niewinność w rozmowie i zachowaniu. Przecie to były siostry, przyjaciółki Maud. Maud słyszy je, odpowiada, myśli harmonijnie z niemi, być może. Na przypuszczenie czegoś podobnego zagotowało się w nim wszystko, zaczął nienawidzić tych ludzi, ten Paryż, który może zabrudził duszę tej wybranej, tej ukochanej z całym zapalem duszy silnej, w której oddalenie, cisza, hartowały tylko uczucia. Słuchał Hektora z chęcią dowiedzenia się i z bojaźnią przed prawdą.

Ale Hektor wstrzymywał się od mówienia o Maud. Rozrzucał się w dowcipach, jak przystało na gawędziarza salonowego, przyzwyczajonego do bawienia obecnych. Od czasu do czasu starszy brat przerwał mu jakąś uwagą, jakąś poważną ironją.

— Bo Paryż, — mówił dalej Hektor — przeszedł kilka wstrząśnień, przez ostatnie 15 lat, a dwa wstrząśnienia

poważne, dwa krachy jak mówi mój brat, których pan nie odczuł, drogi panie, odcięty od nas w swoim Vezeris, pośród swoich okazów stajennych, psów i bażantów.

—No? — zapytał Maksymilian.

— Przedewszystkiem krach wstydu. Nasza epoka przypomina pod względem stosunków miłosnych upadek laciński, albo czasy Odrodzenia. Nasze dziewczęta mówią ciągle o świecie próżniaczym i świątecznym, są tak samo doświadczone w sprawach miłości, jak tamte Florentynki i Rzymianki. Kto się wstydził opowiadać przy nich o skandalach dnia? Na jakie sztuki ich nie można brać? Jakich romansów one nie czytały? W Paryżu są specjaliści okobieciania dziewcząt, ludzie czyhający na niewinność. Pierwsza lekcya ma miejsce na pierwszym balu, kurs ciągnie się przez cały sezon, idzie przez lato, wir kąpielowy i pozwala specjaliście godnie zakończyć swe dzieło... podpisać się na patencie...

— A więc wszystko jest dobrze, co się dobrze kończy.

— Nie! — odpowiedział Hektor. — Taki pan nie żeni się nigdy i co najlepszego, że dziewczęta wiedzą o tem, a co jeszcze lepszego nie liczą nań, dlatego, że tacy awanturnicy żyją zwykle bez grosza, a dzisiejsza panna chce pozycji w małżeństwie.

Wszedł chłopiec z rachunkiem. Hektor przeczekał jego obecność, a potem zaczął na nowo.

— Drugi krach, to jest krach posagowy, tak samo zgubny dla dzisiejszej dziewczyny, jak i upadek wstydlivosti. Niema już panienki niewinnej, to prawda, ale tembardziej niema posażnej. Milioner daje dwieście tysięcy posagu za córkę — czyli nic, bo procent nie wystarczy na komorne za miesiąc. Więc młoda dziewczyna odtąd posagiem nie może walczyć, pozostaje jej jedyna broń do zwycięstwa — miłość. A co to jest miłość — miała doskonałą sposobność studjować od dziecka, dzięki powolności i przywiązaniu matki.

Przy wyrazie: powolność, Maksymilian zaprotestował ruchem brwi. Hektor obstawał:

— Tak jest, dzięki przywiązaniu matczynemu. Podług mnie, to ogólne obniżenie wartości w typie młodej panienki możemy przypisać przedewszystkiem matkom dzisiejszego pokolenia. Niegdyś dziewczynę wychowywano za murami klasztoru, przeważnie w zupełnej nieświadomości. Wychodziła stamtąd wprost w obowiązki małżeńskie za człowieka, którego, co prawda, mało znała, ale którego wybrali rodzice; stąd i kwestje materyalne (to jest prawie wszystko, co stanowi o anarchii małżeńskiej) usunięte zostawały same przez się. Mąż był istotnie „pierwszym“; jaka znakomita szansa w miłości! Z drugiej strony pobyt w klasztorze najbardziej arystokratycznym w Paryżu, towarzystwo możliwie najskromniejsze musiało dotąd wpływać na smak i wykwintność panienki. To było najlepszem schroniskiem przed tymi dwoma sławnymi krachami. Cóż się teraz dzieje? Kilka histeryczek, kilka takich Jane de Simerose wynajdują brutalne tajemnice celi, zaczynają wrzeszczeć tak głośno, że to odstrasza ludzi. Wszystkie matki odsuwają od swoich córek tę, jakoby sposobność zepsucia. No — i mamy rezultaty. Młoda dziewczyna nie odczuwa już osamotnienia, niedogodności klasztoru i od piętnastego roku wtłacza się w to szerokie zadowolenie życia, którem rodzice zabijają ciężar swojej czterdziestki na plecach. Za mąż nie wychodzi już niewinna, o nie! — ale na domiar w panieństwie nie zadawałniała się teorią miłości, dla zupełnego uspokojenia się stwierdzała ją przykładami empirycznymi. Oto jest dzisiejszy związek, który potem nie może narzekać na brak niespodzianek w „celi“ małżeńskiej.

Wszyscy trzej obiadnicy ucichli na chwilę. Chłopiec wszedł z rachunkiem. Paweł le Tessier zapłacił i rzekł:

— Pójdziemy? Już jest pół do jedenastej, a ja mam jeszcze raporty do przejrzenia, nie licząc, że chciałbym

jutro rano przejechać się konno. Pan pójdzie do Opery, panie de Chantel?

— Pójdę — odpowiedział Maksymilian — jeżeli mnie pański brat odprowadzi. A jeżeli nie, to będę czekał na matkę przy wyjściu.

— Ale odprowadzę pana, zgoda — odpowiedział Hektor. — Jeżeli pan chce, to przejdziemy się jeszcze. Czasu dość. Zdamy.

Nałożyli zarzutki i wyszli. Przy drzwiach restauracji senator odnalazł swój ekwipaż. Noc rozpostarła nad starym placem Opery komicznej szeroki jasny szmat nieba. Cienka warstwa twardego śniegu, szczelnie przykryła ulice, światełka gazowe, pęki blasków elektrycznych lśniły się jaskrawo w tęgiem, mroźnem powietrzu. Była to cudowna zimowa noc miejska: czysta, przeźrocza.

— Siadziecie ze mną? — zapytał Paweł le Tessier — wysadzę was przed Operą.

— Nie, zdecydował Hektor. Dwie minuty spaceru dobrze zrobi. Uciekaj senatorze do swoich raportów.

Kareta odjechała, a Hektor z Maksymilianem zanurzyli się w bulwarach. Maksymilian szedł roztargniony, oddalony myślą od widowiska, na które dążył.

— Marzycie poruczniku? — zapytał Hektor.

Maksymilian przystanął naraz, jak koń na munsztuku. Koścista twarz zasępiła się więcej niż zwykle; zamglone oczy, nerwowe ruchy wąsami jasno oznaczały wewnętrzną burzę.

— Posłuchaj pan, panie le Tessier — zaczął. Mówiłeś pan przed chwilą o młodych panienkach, odwiedzających salon panny de Rouvre, a nawet o jej siostrze w sposób, który mnie zasmuca. Ja zaś mam dla niej, mimo krótką znajomość, szacunek bezwzględny; uprzedzam więc pana...

— Ale drogi panie — przerwał mu Hektor — chyba nie wymówiłem nazwiska panny de Rouvre.

Maksymilian już opanował swoją gwałtowność.

— Wybacz... Krzywdę panu wyrządziłem. Ja mam zaufanie do pana, istotne zaufanie, — dodał, wyciągając doń rękę. — Pomyśl pan tylko. Ja tu jestem odosobniony, obcy, nie przystosowany do waszego życia — ale jestem wieśniakiem, który myśli trochę i z otuchą spuszcza się na prognostyk fizjonomii, jak u siebie, w gospodarstwie, zwykł się spuszczać na prognostyk nieba. Czuję całą odmienność pańską w porównaniu ze mną, a mimo to jestem pewny, że pan może mi być przyjacielem. Będziecie nim — co?

— Ależ... to się samo przez się rozumie — odpowiedział wzruszony Hektor.

Myślał: to są słowa, które nie często można słyszeć tu, między ulicami Favert i le Vaudeville.

— Panna de Rouvre — zaczął zwolna, kierując się tymczasem ku operze przez Chaussée d'Austin i ulicę Meyerbeera — panna de Rouvre jest zanadto piękna, aby się ustrzedz od zawiści i oszczerstw. Usłyszycie jeszcze może wiele złego o niej. Opancerz się w cierpliwość przyjacielu. Z drugiej strony może się panu przyda na co kilka poufnych słów, które się będą tyczyły kobiety... przyciągającej pana — nieprawda? Przedłożę dwa spostrzeżenia. Pierwsze to to, że w dzisiejszym próżniaczym paryskim świecie, niemasz ani jednej światowej a ładnej dziewczyny, którejby, jeżeli już nie kochankowie, to przyjaciółki nie pomagały w ułatwieniu złej rozrywki. Między temi dziewczynami tak dużo jest pół-dziewic! A co z tego wynika? Uczciwe cierpią za nieuczciwość innych. Drugie spostrzeżenie tyczy się takiego paryskiego zjawiska: jeżeli się u nas mało wie o tem, czy dziewczyna zachowała czystość w myślach, czy nie, to już nic a nic nie można powiedzieć o czystości jej życia. Wszakże ci ona nie da wyjaśnień? Czasem znajdzie się na usługi w tej materji miły współnik, który się nie zawaha zdradzić, taki kochanek lub pół-kochanek —

no, dobrze, ale czyż jemu można wierzyć? W rezultacie nie wiemy nic: niewinna, czy upadła, skromna, czy wyzywająca. Młoda dziewczyna, zwłaszcza w uczuciu, jest zawsze sfinksem.

Doszli do placu opery w kąć ściśnięty ulicami Glück i Haley. Wiało pustką od tego zaułka źle oświetconego, cichego, po którym tylko dla kontrastu mknęły jeden po drugim jaskrawo oświetlone powozy.

— Gdyby mnie Maud słyszała, byłaby zadowolona — myślał Hektor — a przecież znowu nie mam nic na sumieniu.

Maksymilian mruczał, jakby do siebie:

— A jakichże one sobie dobierają mężów, te pół-dziewice, jak je pan nazywa.

— Pół-dziewice? Zaślubiają baronów bulwarowych, przemysłowców, zagrożonych bankructwem magnatów, zarażonych widmem śmiertelnej choroby, wogóle zawierają małżeństwa, skazane na krach po miesiącu, po dwóch, bo te panie nie znoszą długiej niewoli, nawet takiej, jaką nakładają na nie te pseudozwiązki. A później? Wiadomo, że Opatrzność także ma swoje nieobliczalne kaprysy, więc i niektóre z nich powtórnie wychodzą za mąż, często za uczciwego nawet człowieka i zostają wyśmienitami gospodyniami domu. Wogóle ryzyko to duże żenić się w Paryżu. Nie odważyłbym się... Warjactwem jest słuchać tu gołębia białego. Tyle czarnych gołębi farbuje się na jasno. Zadowolnię się okazem mniej wyszukany, ale zato o trwałej barwie.

— Jakim?

— Małą gołębicą z pod słomianej wiejskiej strzechy.

Ale, zauważając, jak Maksymilian w tej samej chwili mieni się na twarzy, dodał:

— O ile bym nie spotkał takiej dziewczyny, jak panna Maud de Rouvre, taki czysty i prawdziwy charakter, wyższy nad wszelkie oszczerstwa.

Takie ustępstwo podziałało rozjaśniająco na Maksymiliana.

Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Hektora.

— No, ja muszę w końcu postępować z nim, jak z chorym. Powiem mu prawdę, palnie w łeb sobie, albo komu innemu. Zresztą: prawda, co to jest prawda? A wreszcie... czyż, oszukując go nawet, Maud nie potrafi mu zapewnić szczęścia? Werter mówi: „jedyne szczęście to oszustwo“.

Trafili na antrakt. W przedśionku, na placu ruchu, ożywienie.

— Wejdziemy? — zapytał Hektor.

— Jak pan chce.

Hektor szybko przebiegał przez sieć korytarzy, schodów, zaułków, galerji z wytrawnością bywalca. Maksymilian za nim. Ten gmach potężny, te martwe polyski marmurów, ten lśniący tłum — zdawał się połykać go, czyhać nań, pędzić w jakieś szalone niebezpieczeństwo.

— To kobieta mnie tutaj prowadzi, wlecze za sobą — myślał.

Nałóg osamotnienia wzrastał w nim, zaczynał nienawidzić Paryż nienawiścią pustelnika, świadomego swojej wyższości.

— I ja się mam związać na zawsze z tą uludą, z tą sztucznością życia“. — westchnął w duszy.

A mimo wszystko rosło w nim pragnienie widzenia Maud, rozmawiania z nią, upsokojenia niewiary. I gdy ją zobaczył w łoży, tuż nad orkiestrą, między Joanną i Jakóbiną, zawrzało w nim pragnienie, żądza posiadania jej wycisnęła płomienną myśl: „Ja jej chcę“.

Za chwilę obaj byli w łoży. Aaron zaambarasowany i zmieszany ustąpił im miejsca w tej chwili. Maud wstała ze swego miejsca, które zasiadł Hektor — i przeszła z Maksymilianem de Chantel do sąsiedniego salonu.

Każde warjactwo jest możliwe dla takiej kobiety — pomyślał Hektor, odprowadzający ich wzrokiem. „Szczęśliwi ci, co mają odwagę być głupcami“.

Istotnie Maud oślepiła dzisiaj. Od stóp do głów, do tej korony, rudawych włosów — biła od niej królewskość. Siedzący obok niej Maksymilian wchłaniał w siebie jej piękność, napawał się z zachwytem miłosego egoizmu. Maud miała na sobie stanik różowy, który w ogniu kinkietów mienił się prawie purpurą, przepasany w stanie złotą szarfą. Spódnica muślinowa tego samego koloru. Szyja obnażona prawie do gorsu, nagie, pyszne, toczone ramiona. W błyskotliwym świetle elektrycznym włosy jej mieniły się od czarnego koloru w czerwony, gorzał ciemny błękit oczu, płeć odbijała cudowną białością. Maksymilian wchłaniał ją rozszalały... i szczęśliwy. Bezwiednie gniótł w sobie myśl: „Nie można tej kobiety nie kochać“.

Ona mówiła do niego, ta królowa, mówiła z tą swobodą monarszej uprzejmości, oznaki łaski i przywilejów. Całym swoim jestestwem dziękował jej za to — za tę rozmowę, za tę uprzejmość, za łaskę... Ah! powiedziec jej, co czuje, runąć jej do dóg i krzyczeć w szale: „Kocham, kocham, jam cały twój, ja wierzę w ciebie!“

Ale i w tej chwili przeleciała mu przez głowę błyskawica przypuszczenia, że ta królowa i do innych może już tak schodziła z piedestału piękności. Zdławił w sobie to podejrzenie, jak świętokradztwo.

Maud zagadała się z nim o sztuce, o widzach, o tęgości zimy — i to ciągle pod działaniem żaru jego uczucia i pragnienia.

W kilku słowach opowiedziała mu swój dzień; zakończyła sprawozdanie mówiąc:

— A cóż pan robił w tym olbrzymie-Paryżu?

Nie wypowiedział się z tego, że dziś rano konno przeleźdzał przed jej oknami po drodze do lasku, gdzie pró-

bował zaprzepaścić swoją gorączkę, zaspokoić swój niepokój djabelskim galopem. Powiedział tylko:

— Jeździłem konno przed śniadaniem, śniadanie jadłem w „Hotel des Missionnaires“ koło Saint Sulpice, gdzie się zszedłem z matką i Joanną. Później załatwiłem kilka spraw, byłem na wizycie u starego przyjaciela pułkowego, a...

Naraz urwał:

— Ale poco ja to wszystko pani opowiadam. Moje życie panią nie zajmuje. Niech mi pani tylko pozwoli powiedzieć, że cały dzień, całą noc śniłem jedną, jedyną myśl...

Maud podniosła się z uśmiechem:

— Ot i muzyka. Może pan zostanie z nami. I pan, panie Hektorze, dobrze... — rzuciła le Tessierowi, który jej ustępował z powrotem miejsca.

Całe swoje życie powinien chyba pamiętać Maksymilian de Chantel tę chwilę, kiedy w przepychu świateł, w dźwiękach tej prawdziwie nadludzkiej muzyki, w fantastycznych, czarujących ramach widziadła scenicznego uczuwał, że jego los wiązał się tajemniczo z losem bohaterów dramatu. W sali nie było na tyle ciemno, aby nie można było spostrzedz wczorajszych gości pani de Rouvre: płowa Ucelli, wydekoltowana do samej talii, lśniąca swojemi piersiami przed flegmatycznymi oczami Cecylii Ambre; w sąsiedniej łoży pani de Reversier ze swojemi córkami. Luc LeStrange w głębi ocierający się długą swoją brodą o szyję Magdaleny, a tam przy orkiestrze niespokojnie patrzący raz po raz do łoży Rouvrów Julian de Suberceaux, piękny, wytworny pod ogniem dwudziestu lornetek kobiecych. Maksymilian po raz drugi uczuł że Ignie, zanurza się w otchłań nieznaną i niebezpieczną i że raz drugi poskramia orgię krwi, po raz drugi wyciąga rękę przed siebie i... chwyta próżnię.

Maud myślała o nim w tej chwili, patrząc pewnem, a żądnem zwycięstwa wejrzeniem.

— Albo będzie moją żoną, albo mi złamie życie całe.

Podczas gdy Jakóbina zamieniała z lożą Reversierów pewne symboliczne znaki, w Paryżu jeszcze prawie niezrozumiałe, bo dopiero co importowane z Londynu, Joanna de Chantel nieruchomie zapatrzyła się w scenę. Purpurowe rumieńce oblewały jej twarz od czasu do czasu, bez widocznej na pozór przyczyny. Była to trema, o jaką ją przyprawił ten świat nowy, nieznany, obcy, sąsiedztwo wytwornych mężczyzn, tak odmiennych od jej gości w Vezeris — a może to było poczucie zadowolenia, świadomość swojej siły, jaką jej musiało dać zachowanie Hektora le Tessier, który od wczoraj nią się tylko wyłącznie zajmował. Jej świeże, gorące serce rozpało się nieznanym ogniem, ale tak samo jak Maksymiliana, więcej niż Maksymiliana przenikała ją obawa i smutek niepokojący, czy przypadkiem nie robi czego niewłaściwego. Dla własnego uspokojenia powtarzała sobie w duchu: „Jeżeli jestem z mamusią i Maksymilianem to nic złego być nie może“.

Z tego całego tłumu, owianego krzykiem Walkyryj, może jedynie te dwie proste natury myślały i odczuwały zdrowo, naturalnie. Inni pochłonięci Paryżem, siedzieli jak odpadki myśli, uczucia, nieświadomi swoich nocy, zgnieceni, wyduszeni, z głuchemi, paralitycznie powykręcane duszami, zmysłami przytępionymi lub znieczulonymi. Czy naprzykład to puste biedactwo, pani de Rouvre, wypchana czczemi wspomnieniami, czuła rozpacz cierpienia? Czy czuli ją ci mężczyźni z wyblakłym, jałowem spojrzeniem — ci wszyscy Lestange'owie, męczeni gorączką nieplodności uczuć, spętani chorobliwą żądzą podrażniania kobiet bez nadziei zadowolenia własnego, z wykluczeniem jakiegokolwiek rozkoszy własnej? Czy czuły te podniecone lalki: Jakóbina, Marta, Magdalena de Reversier, Julka Avrezac, Dora Calvell Ucelli, zmordowana nienaturalną rozpustą, w której o wymoczonej wyobraźni, pustem sercu, umysłem wy-

silającym się jedynie na działanie na mężczyzn. Ta Ucelli, zmordowana nienaturalną rozpustą, w której wszelkie uczucie, nawet artystyczne, odbijało się w wybuchających wybuchach zmysłów, która teraz przy każdym zachwycie rzucała się na szyję wątlej Cecylii — czuła też ona cokolwiek?

Najlepszymi w tym tłumie byli zapewne tacy jak Etiennetta Duroy, której piękna twarzyczka wychylała się z za ramion pani de Ucelli, jak zrównoważony dyletant Hektor le Tessier — wogóle ci, którzy umieli ocenić, osądzić, ten świat, w którym żyli, którzy lada dzień mogli go opuścić, pewni, że ich drogi muszą się rozejść.

Sztuka skończona. Kobiety narzucają płaszcze, mężczyźni nakładają palta. Setkami drzwi wylewa się tłum na ulice. Maksymilian wolno schodził po jarząco oświetlonych schodach, tuląc do boku obnażoną rękę Maud. Do gardła znowu mu się cisnęły szalone słowa: „Kocham! kocham!“ zdusił je. Tyle razy tam w Vezeris on marzył, widział siebie tak prowadzącego Maud na oku całego świata. Marzenie wcieliło się w życie — i napawało go omal że nie cierpieniem.

Panna de Rotuvre wysunęła rękę z pod ramienia Maksymiliana przy wyjściu na podjazd.

Julian de Suberceaux odziany w długi czarny płaszcz, z podniesionym kołnierzem, nieodstępnie szedł za nimi. Miał taki tragiczny wyraz twarzy, że Maksymilian łatwo odgadujący dusze tego typu, od razu przewidział dramat. Maud podeszła do Suberceaux. W tym gwarliwym tłumie, w tym tłoku głów, skrzyżowały się ich spojrzenia.

Pan jesteś szalony. Pan mnie zgubi! — syknęła.

— Maud!... ledwo przecisnął przez gardło.

Zmagnetyzowała go spojrzeniem.

— Jutro... czwarta... w twojem mieszkaniu... Ulica de la Baume... Czekaj!

Wzięła z powrotem Maksymiliana pod ramię.

— To biedny chłopak — rozpoczęła zaraz spokojnym tonem — zakochany na śmierć w Magdalenie le Reversier bez nadziei wzajemności; szaleje z zazdrości o Le-strange'a, który cały wieczór z nią flirtował. Rzuciłam mu dwa słówka na zaspokojenie. Stary to mój przyjaciel od dziecka. Bawiliśmy się razem w Tuillerach. Ot, widzi pan, że i w sceptycznym Paryżu znajdzie się miejsce na serdeczne uczucie.

Maksymilian uwierzył w to i zaspokoił się zupełnie.

Kareta pani Rouvre zmieściła tylko panią de Chantel i Joannę — i pomknęła do hotelu Misjonarskiego. Maksymilian sam jeden szedł pieszo, Hektora zgubił w tłumie i nie starał go się odszukać. Chciał przebyć sam ze swojemi uczuciami. Na chybił trafił szedł przed siebie, omijany, przepędzany przez pstry tłum wracających z teatru do domu, każdy na swoją ulicę. Późno wrócił do hotelu. Joanna już spała. Pocałował ją w czoło i odszedł do swego pokoju. W tym szablonowym, chłodnym numerze hotelowym, rzuciwszy się na krzesło, tak ostatecznie sformułował treść swego serca.

— Jeżeli się kocha kobietę tak, jak ja kocham, to trzeba ją poznać dzieckiem, a potem wychowywać rok za rokiem jak siostrę.

IV.

Prawie wszystkie domy, które otaczają bulwar Haussmana między przecznicami Percier i de Courcelles mają tylne wyjścia na cichą ulicę de la Baume. Mieszkania te mają tę wyższość nad innymi paryskimi mieszkaniami, że okna ich wychodzą na duży ogród, który od hotelu de Ségur idzie w dal i pysznymi trawnikami dosięga ulicy de Courcelles. Ogród cudowny, przedmiot westchnień przedsiębiorców budowlanych, a zwłaszcza specjalistów od pałacyków stylowo-nowoczesnych. Słowniki śpiewają całą wiosnę.

Julian de Suberceaux od czterech lat zajmował jedno z takich mieszkań. Była to połowa wysokiego parteru, przemieniona ongi na pokoje dziecinne, zapewne dla jakiejś rodziny z kilkorgiem dzieci. Miało to mieszkanie swoje osobne schody i owo specjalne wyjście.

Pierwszy raz do Paryża przybył Julian de Suberceaux w roku 1885 jako sekretarz pana Asquin, nowo obranego deputowanego z okręgu Limoux. Miał on wtedy 21 lat, pochodził ze znakomitej okolicznej rodziny, był inteligentnym i cierpiał biedę. Wszystko razem wzięte pchnęło go do Paryża — i nasz bohater zdawało się powitał stolicę, jak bohaterowie Balzaca, ambitnym frazesem: „ty będziesz moja“.

Lecz Paryż już przestał być feudalnym obszarem stworzonym dla kilku śmiałych awanturników — teraz jest polem poćwiartowanym na tysiące grządek, a każda

z nich zadawalnia nerwowy głód demokracji. Teraz pora Rastignaców, a imię ma legion. Ale Julian, istotnie piękny, istotny uwodziciel był tylko Rastignakiem przez pół, bo sam lubił kobiety i podlegał ich urokowi. Jego nieklamana uczuciowość paraliżowała mu wszystkie plany i zwycięstwa. Aż do dnia poznania Maud de Rouvre pozostawał w stadium młodego południowca, zresztą bardzo wytwornego. Żył szeroko dzięki szczęściu w karty i rozrzutnym dobrodziejstwom pana D'Asquin, który mimo swoją sześćdziesiątkę nie zdażył się ustatkować — naturalnie nie o tyle, aby to raziło katolickie przekonania jego wyborców z l'Aude. Mieszkanie na ulicy de la Baume wynajął i płacił tak samo p. Asquin na imię swego sekretarza z warunkiem korzystania zeń od czasu do czasu na schadzki i skromne bachanalijki.

Z Rouvre'ami poznał go Paweł le Tessier, dzisiejszy senator, wtedy deputowany z Niort. Panie chciały widywać u siebie tego wysmukłego młodzieńca, dobrze ułożonego, znanego gracza w bakarata. Podejrzowano go o majątek. Przypuszczano, że nie będzie mu w razie czegoś zbyt zależało na wyrównaniu tych szczerb majątkowych, które z biegiem czasu wyszarpały karty i kobiety z posagu Elwiry Hernandez. Julian zaś widział siebie u szczytu ambitnych obliczeń, gdy w myśli projektował: „Poślubię Maud“ — z drugiej strony Maud szczerze i od jednego zamachu podbiła to serce suche i zahartowane w awanturach. Zaimponowała mu swoją pięknnością, swoim majestatem — a zniewoliła do reszty tem, że swoją duszą urzeczywistniała mu ideał jego własnej duszy — dawała mu w sobie to, czego jemu brakowało: siłę, bunt, odwagę parcia naprzód za jakąkolwiek cenę — parcia po pozycję i uwielbienie tłumu. Osiemnastoletnia wtedy Maud wiedziała o swojej ruinie; liczyła na spadek po jakimś wuju, krewnym matki. Wychowana od dziecka w umizgach mężczyzn, umiała

zużytkowywać swój urok na utrzymywanie ich dla swoich celów — mówiąc poprostu: dla małżeństwa. Dwa razy poznała już niebezpieczeństwo flirtu dla flirtu, dwa razy już rozbijały się jej plany: konkurenci dyskretnie znikali z chwilą dokładnego rozpatrzenia się w cyfrze posagowej. Nienawidziła ojca za to poniżenie, jakie jej dawał brak posagu — i nienawiść tę rozszerzała na wszystkie natury pyszałkowane i sceptyczne, które sobie za cel stawiały nasycanie się jej pięknnością. Zatem małżeństwo było dla niej tą ziemią obiecana, którą należało zdobyć siłą albo podstępem. W takich warunkach spotkali się ze sobą Julian i Maud i stanęli przed sobą oko w oko, jak dwaj nieprzyjaciele.

A świat znajomych wnet się ułożył w ciekawą galerję, żadną widowiska, jak się to wszystko ułoży? Czy się pokocha tych dwoje, tej samej rasy, jednakowej wytworności. Oboje nosili w sobie jakieś znamię fatalności, tej siły kierującej wypadkami ludzkimi po za wszelkiem prawem i obliczeniem. Julian był bezczelniejszy i lepiej ustalony w socjalnych warunkach życia, ale Maud rozboleła od klęski życiowej mogła się jednak pocieszać zwycięstwem w tej walce, bo jej ustępstwa nie sięgały nigdy poza pocałunki. Mimo wszystko nie oddała mu się ani razu. Ale i za te pocałunki umiała mu płacić nieludzko: oświadczyła mu, że wyjdzie za mąż, kiedy tylko będzie jej się podobało. Julian rozpaczał. Kochać, szaleć i być skazanym na los kochanka połowicznego, takiej cudownej, rozkosznej kobiety aż do dnia jej ślubu. Czy to nie było straszną chłostą konwencjonalnych praw, rozpaczną nagrodą za wybryki życia dotychczasowego?

A tymczasem warunki bytu pogarszały i zaostrzały się coraz dotkliwiej. Stosownie do rad Maud, pani de Rouvre podała pretensje rozwodowe i wygrała proces. W kilka miesięcy potem umarł pan de Rouvre. Zlikwidowano jego sprawy majątkowe. Wdowie pozostało

60 tysięcy franków, dwa kroć Maud i tyleż Jakóbinie. Przy wspólnem pożyciu mogłyby wszystkie trzy utrzymywać pozory wielkoświatowego bytu, nie nadwężając kapitału. Ale Maud postanowiła w niczem nie zmieniać zbytku ubiegłych lat. Wynajmowały lokal za dwa tysiące franków miesięcznie, troje służby. Co brakowało z procentów, to nadkładała Maud z kapitału własnego, bo matki nie chciała zubożać, a Jakóbina była skąpa i zachłanna na swoją własność. Maud wierzyła w lepszą przyszłość, rujnowała się z ufnością. Wypadki zdawały się sprzyjać jej ryzyku. Pewien młody magnat rumuński, hrabia Christeanu, oświadczył się o jej rękę w tydzień po poznaniu się z nią. Bezpośrednio potem pojechał do kraju, aby przywieść zezwolenie rodziny i tam, pokłóciwszy się z jakimś kolegą, bił się w pojedynku na szable i padł. Maud-nosiła żałobę. Hektor le Tessier przy tej sposobności powiedział:

— Ta kobieta będzie kochana tylko w dramatach.

Ta epoka, kiedy Julian i Maud mieli najwięcej powodów na przeklinanie surowości losu, zesła się z okresem najnamiętniejszej ich miłości. Julian przychodził do Rouvre'ów codzień, po kilka godzin przesiadywał w pokoju Maud i przyzwyczaił się zupełnie do niebezpieczeństw takiej miłości. Zasmakowali w niej i nawet dawać zaczęli pierwszeństwo przed łatwym szczęściem miłości zwyczajnej. Dzięki swojemu despotycznemu temperamentowi, zdołała Maud ujarzmić kochanka, uczynić go swoim niewolnikiem, swoją rzeczą. U jej boku Julian patrzył na życie jej oczyma, jako na ślepą walkę o byt i stanowisko, zezwolił nawet na ten straszny plan zostania jej półkochankiem aż do dnia ślubu, legalnym kochankiem po ślubie. Nie bez walki zgodził się jednak. Sceptyczny i hardy u nóg swojej pani — w osamotnieniu wpadał w apatię. Maud ma należeć do innego, innego być żona! Czyż to można znieść bez buntu? Jak wszystkie natury słabe, składał na los troskę o przyszłość. Pocieszał się.

Plany Maud na Maksymiliana de Chantel napędziły mu obaw odrazu, ujrzał istotne niebezpieczeństwo. Przeczuwał u niej zdecydowaną silną żądzę zamażpójścia za jakąkolwiek cenę. Więc ona kryła się przed nim przez sześć miesięcy z tą tajemnicą poznania go w Saint-Amand!

— Ja się pozwoliłem oszukać — myślał Suberceaux. — Jeżeli istotnie jestem jej przyjacielem, to powinna mnie wtajemniczyć we wszystkie zamiary. Ona mnie nie kocha...

Te myśli dobijały go, gdy popołudniu — zgorączkowany, oczekiwał u siebie Maud. Wieczór już zapadał. Płomyki gazu oświecały dywan śnieżny na ulicach, a śnieg dużymi, ciężkimi płatami wciąż spadał i oblepiał okna, układał się na trotuarach, alejach zasypywał pusty park z tyłu domu.

Wybiła piąta.

— Nie przyjdzie — pomyślał.

I znowu rozsadzać go poczęło szaleństwo, gdy pomyślał o jej słowach, o tem, co mu rzuciła po operze jak jałmużnę. Naraz wstrząsnęło go dygotanie elektrycznego dzwonka. — Już był przy drzwiach, otworzył szczęśliwy, upadający z sił i wzruszenia.

Zatrzasnął drzwi z pasją szaleńca. Nie mógł znaleźć ani jednego słowa. Powtarzał tylko odruchowo: „Maud... Maud...” — powtarzał to jak pieśczętę, jako pocałunek w ucho, we włosy, w szyję; potem po chwili, gdy ją usadowił w pokoju na fotelu, zanurzył się w fałdy sukni, całował końce jej buczków i wciąż wcałowywał to słowo ciągle jedno i to samo:

— Maud... droga ty Maud...

Położyła mu rękę na ramieniu — całowała mu usta, czoło oczy. Drżała, nie tylko zresztą od zimna: ta chwila napawała ją drżeniem.

— Kocham cię. Ja cię kocham — mówiła tym cichym, głosem, który on tylko jeden znał — kocham cię.

Mówiła mu tuż nad twarzą, jej oddech pieścił go, jak najgorętszy pocałunek.

— Oh — szeptał Julian — takem cierpiał.

Podniosła się i poprowadziła go do sąsiedniego saloniku.

— Siadź tu koło mnie i bądź rozsądnym. Pomówimy poważnie. Po to właściwie przyszedłem.

— Po to tylko — szepnął smutny i pokorny.

— Przedewszystkiem po to. Wiem, to jest ciężkie. Posłuchaj mnie.

Spokorniał, siadł koło niej. Mówiąc doń, utkwiała w niego swoje ciemno-niebieskie źrenice, które teraz w świetle wieczornem mieniły się w czarne.

— Słuchaj więc. Wiesz dobrze, że kocham tylko ciebie, że tylko ciebie będę kochała. Trzeba być takim szaleńcem, jak ty, aby przypuszczać, że ja wolę Maksymiliana de Chantel. Ja tylko chcę, wyjść za pana de Chantel.

Julian nic nie powiedział. Te słowa: „kocham tylko ciebie, tylko ciebie będę kochała“ — uspiły mu serce.

— Chcę wyjść za mąż — ciągnęła Maud, wzmacniając stanowczość głosu. — Moje terazniejsze życie podminowane dokoła. Myślę, że mnie zanadto kochasz, abyś sobie życzył mojej klęski. W każdym razie ja nie chcę klęski, słyszysz? A więc muszę wyjść za mąż, to moje prawo. Mimo to będziemy zawsze w harmonii: Prawda?

— Prawda.

— A więc dotrzynamyż słowa. Jesteśmy awanturniczego usposobienia. Ale względem siebie dotrzynamy słowa, nieprawdaż? — albo się rozstaniemy.

Julian ścisnął jej rękę.

— Oh, Maud... Rozstać się!... Nie mów tego. Tybyś mnie mogła rzucić?!

— Gdybyś tylko starał się przeszkodzić mojemu zamażpójściu, gdybyś to zrobił z podeptaniem swoich przyrzeczeń, a mojej wolności, daję ci na to słowo, nie zobaczysz mnie więcej nigdy, aż do śmierci.

I w tej chwili, ucałowała go w usta.

— Ale ja kocham...

— A jeżeli ty polubisz męża... Kto to może wiedzieć.

— Oszalałeś. Przysięgam kochać tylko ciebie, do ciebie całe życie należeć. Ciebie tylko pragnę... Więc bądź godnym mojej miłości. Moje małżeństwo uwolni cię... bo przecież nie możesz się o nic kusić, dopóki nie będę mężatką. A znowu chcesz całe życie tak marnieć? Kocham cię i chcę cię widzieć bogatym i niezależnym, tyś mi tronu powinien życzyć, jeżeli mnie kochasz. Wznieśmy się nad ten świat, którym pogardzamy. Wszak to niegdyś było twojem marzeniem.

Julian ucałował jej rękę.

— Masz rację.

Rozbudziła w nim sny, miraż przyszłości. W tej chwili uczuwał w sobie uludę woli tak namiętnej, jak wola Maud: pozbywał się konwencjonalnej moralności z zupełną, pogardą dla praw ludzkich.

Maud odczuła w nim uspokojenie.

— Późno już — zaczęła. — Muszę odjeżdżać.

— Oh! — błagał Julian. — Zostań... chwilkę tylko...

Tam...

Wzrokiem pokazał sąsiedni pokój, zamroczony cieniem wieczoru. W oczach dziewczyny wyczytał zezwolenie. Uniósł ją jak zdobycz. Ustami w usta upadli razem na pościel, która już dwa razy przez cztery lata dotykała ubrania Maud...

— Ulica de Berne 22 — przedko.

Maud rzuciła dorożkarzowi adres, wsiadając do powozu, który na nią czekał na ulicy de la Baume. Śnieg ciągle padał, teraz zmieszał się ze strugami deszczu, konie ledwo się posuwały po oślizgłym bulwarze Haussmanna. Pół godziny drogi było co najmniej do Etiennetty.

Był to jeden z tych domów, które powstają prędko i jeszcze prędzej rozpadają się w gruzy, budują je oszczędnie, z lichych materiałów.

Maud otworzyła drzwi od dość brudnego pokoiku portjera.

— Panna Etiennetta Duroy.

— Trzecie. Drzwi na prost — odpowiedziała jakaś gruba jejmość, nie oglądając się nawet.

Maud weszła na trzecie piętro. Całe urządzenie domu, schodów, popękane sufity — wszystko cechowało dotkliwy niedostatek. Maud widziała w tem swoją przyszłą egzystencję na wypadek, gdyby nie wyszła za Maksymiliana de Chantel.

— Oh! tak! nigdy... — pomyślała.

I to jeszcze więcej wzmocniło jej postanowienie oparcia życia na pewnych podstawach.

Dzwonienie przywołało jakiś lekkie kroki. Otwierają się drzwi — z za nich widać Etiennettę w skromnej sukni i fartuchu, skrzyżowanym na piersiach.

— Bogu dzięki, że cię zastaję, zawołała Maud. Wybrałam się z podziękowaniem za wizytę.

— Tak?!... — odpowiedziało wesoło dziewczę. — To ślicznie. Zostaniesz na obiedzie u mnie; nikogo nie będzie oprócz nas. Mama cierpiąca, śpi.

— Nie dzieciaku drogi, niemożliwe. Czekają na mnie wieczorem u nas. Chantel'owie będą u nas na obiedzie. Pół godziny jednak daruję ci.

Przeprowadziła Maud przez korytarzyk do salonu z niskim sufitem, z zatłuszczonymi obiciami, z ponadlamywanymi meblami.

— Jak widzisz, nieszczególne urządzenie. Ale nie chciałam kupować lada tandety, dlatego, że tanie. Liczę na moją muzykę, że mi dostarczy na porządne urządzenie.

— Słusznie — odpowiedziała Maud siadając. — Powiem ci coś twojej gitarze i piosenkach. Wczoraj

ledwośmy mogły się sobie ukłonić w teatrze. Mam pewien plan. Nie wiem czy ci się to spodoba. Maksymilian de Chantel za kilka dni opuści Paryż.

— Ten młody człowiek, który cię prowadził pod rękę wczoraj w Operze?

— Tak. Zakochany we mnie. Podoba mi się. Chcę wyjść za niego... to między nami. Pan de Chantel — mówiłam — odjeżdża z Paryża do swoich dóbr do Poitou. Rozumiesz jednak, że jeżeli będziemy sprawiały wieczór, to już moja w tem głowa, że przyjedzie...

— Jestem pewna.

— Powróci w połowie marca. Miesiąc nam zostaje na przygotowania, bo chciałabym się tak urządzić na drugi dzień po jego przyjeździe, żeby go od razu rozruszać. Bo to jest barbarzyńiec. Dwa tygodnie na wsi zrobią z niego dzikusa. Przygotuj więc repertuar i toalety. Masz dosyć czasu.

— Jakaś ty dobra! — rzekła Etiennetta całując przyjaciółkę.

— Ale przeciwnie. Toś ty dzieciaku taka dobra, że nic ci odmówić nie można. A zresztą, czyż nie jesteśmy sprzymierzonymi? Moja biedota droga — dorzuciła Maud po chwili — nasze położenia są więcej do siebie podobne, niżbyś przypuszczała. Obie oczekujemy przyszłości jak wyzwolenia. Pomagamy więc sobie nawzajem, to jasne.

Rozporządzaj mną. Czy nie potrzebujesz jeszcze naszej gościnności. Kiedyż zużytkujesz ten pokój. Przygotowałam ci go, chcesz widzieć?

— Z przyjemnością! — odpowiedziała Maud zadowolona, że nie na nią przypadło w udziale dotknięcie tej sprawy, dla której właściwie tu przybyła.

Etiennetta wzięwszy ze stolika małą, nikłową lampę poprowadziła Maud.

— Jak widzisz — mówiła po drodze — nie potrzeba przechodzić przez salon. Z przedpokoju wejdiesz do

jadalnego, gdzie nigdy nikogo nie spotkasz. A oto i twój pokój.

Był to maleńki kącik kwadratowy, z małą tualetką widocznie specjalnie ustawioną.

— Ale to nie twój pokój? — zapytała Maud.

— O nie! Mój jest tam za pokojem mamy.

I zaczerwieniona trochę dodała:

— To był pokój Zuzanny. Zeszłego roku wróciła do nas. Chorowała... nigdy nie była silna na piersi. Już po miesiącu pobytu w domu zrobiło jej się lepiej. Na nieszczęście zetknęła się z jakimś aktorem z Gymnase. Nie można było zatrzymać jej.

— Gdzież, ona jest teraz? — zapytała Maud w roztargnieniu, lustrując pokój i umeblowanie.

— Nie wiemy. Przypuszczamy, że jest w Londynie z tym aktorem. Biedna Zuzanna.

— A twoja mama gdzie śpi? — indagowała Maud.

Z tamtej strony salonu i mojego pokoju. A zresztą nie może opuszczać swego fotelu. Jak widzisz, będziesz miała najzupełniejszy spokój.

— Służba?

— Służba — odpowiedziała ze śmiechem Etiennetta — to jedyna dziewczynka do wszystkiego, zajęta zresztą cały dzień przy mamie. W te dni, w których będziesz chciała mieć pokój zawiadamiaj mnie telegramikiem. Będę ci dawała klucz, tak, że obejdzie się bez dzwonięcia.

Mówiła to wszystko naiwnie i szczerze, szczęśliwa, że może wyrządzić przysługę koleżance, nie wchodząc w istotę tej przysługi. Czysta w pobudkach i czynach, zdołała sobie jednak dzięki historii życia i otoczenia wyrobić wyrozumiałość i obojętność na swobodę innych. Biedny i smutny wytwór paryskiego molocha, który równocześnie produkuje takie pół-dziewicze istoty, innego gatunku jak Maud, Cecylia Ambre, małe Reversier.

Wróciły do salonu. Maud chciała już odjeżdżać.

— Trzy na siódma, pomyśl! Wobec dzisiejszej szarugi muszę jechać co najmniej 25 minut. A toaleta? Nie mam nawet godziny. Bądź zdrowa.

— Do widzenia, jeżeli nie można inaczej. Czyś nie widziała Pawła od wczoraj? — zapytała Etiennetta na progu sieni.

— Nie, a ty mała cyganko?

— Oh, on tu jest prawie codzień; ale żebyś wiedziała, jakie to skromne te nasze widywania się. Dzisiaj był po śniadaniu. Mówiliśmy o tobie. On i jego brat mają zamiar przed odjazdem pana de Chantel zaprosić nas wszystkich do Chamblais. Twoja matka ma i mnie matkować, wiesz o tem.

— Nie. Ale to ładnie ze strony Hektora. Bo ta myśl zapewne od Hektora pochodzi.

— Od Hektora i Pawła też przypuszczam. Wyobraź sobie Paweł uznaje za stosowne pokazywać się razem ze mną w przywoitych towarzystwach.

— Więc ożenek.

— Mój Boże, mnie się zdaje, że Paweł dość mnie kocha, aby myśleć o tem.

— Powodzenia!

— Nawzajem, droga.

Uścisnęły się obie przyjaciółki. Maud szybko przebiegła trzy piętra, wsiadła do powozu, który teraz dość szybko posuwał się, gdyż śnieg przestał padać i raptownie tajał. Owinięta kocem, z rękoma w mufce, Maud zaczęła uczuwać słodkie podniecenie, jakby tremę przed bliskim zwycięstwem. Pewna o przyszłość, bujała myślą po wspomnieniach wizyty u Juliana i przyszłych odwiedzinach w zacisznym pokoiku Zuzany Duroy.

V.

Maksymilian de Chantel odłożył laskę na swoim siedzeniu w przedziale i wyszedł na peron dworca kolei północnej. Pociąg do Chamblais miał odejść dopiero za pięć minut.

Maksymilian wojskowym krokiem przemierzał peron, cały zapatrzony w wagony pierwszej klasy. Miał nadzieję zobaczyć w nich panie de Rouvre, które również były zaproszone na obiad do Chamblais.

Nie zobaczył ich jednak. Rano wyjechały. Pociąg był pusty.

Maksymilian nie widział Maud od przedwczorajszego dnia. Wczorajszy i dzisiejszy dzień strawił na takim strapieniu, że nie wiedział czy potrafi przewyciężyć w sobie pożądanie tej kobiety. Bólem go przejmowało to strapienie, a nie zwierzał się przed nikim. Nawet obecność kochającej matki, przywiązanie siostry ciążyły mu, bo czuł na sobie ich wzrok łagodny i wiedział, że mimo wszystko nie spytają go o nic. Oh! ta myśl przeklęta, nieodstępna, krępująca, ścieśniająca każdy krzyk duszy. To nie była zabawka zmysłów, zachcianka, którą lada wietrzyk zdmuchnie. To było jakieś niszczenie serca i głowy od samego dnia poznania w Saint-Amand, to była — szarpanina potężnych namiętności

Konduktorzy zaczęli zamykać przedziały, nawołując jadących do wsiadania. Wróciwszy do przedziału, Maksy-

milian zastał jakąś otyłą blondynkę, gadającą dżalektem francusko-włoskim mieszanym i dwie damy jednakowo ubrane. Były to pani i pana Avrezac. Maksymilian przypomniał je sobie z pierwszej wizyty u Rouvrów. Zaraz jednak spostrzegł, że go niepoznano.

— Cóż dziwnego. Nie przedstawiano mnie nawet, tak były zajęte, każda w swoim kąciku. Tem lepiej, nie będę potrzebował wysilać się na rozmowę.

Julia Avrezac wpatrzona w drzwiczki zawołała:

— Pan Aaron!

Bankier spotniały, dychający, wbiegł. Wdarł się do przedziału w chwili ruszenia pociągu.

— On tembardziej nie pozna mnie! — pomyślał Maksymilian.

W rzeczywistości tłuścioch zatrzymał się na nim swoimi okragłemi mopsiem i oczami — i nie kłaniał się.

— To i pan jedzie do naszego le Tessier'a? — zapytała włoszka.

— A jakże. Paweł mnie zaprosił! — wyrzucił ze siebie Aaron zmęczonym, zziąjanym głosem. — My mamy wspólne interesy. Prześliczna jest ta ich posiadłość. Zna ją pani?

— Ma ché! Ile ja się tam nagrałam w krikietą podczas pobytu księżny Spezzia w Paryżu. Ale panie Avrezac pierwszy raz tam jada.

Maksymilian mimowolnie musiał słyszeć. Jakieś przeczucie szeptało mu, że zaczną rozmawiać o jego ukochanej kobiecie. Zrazu chciał nawet ich uprzedzić. W istocie nie omylił się w przeczuciach.

— A wiecie państwo — zaczęła pani Avrezac — że honory domu w Chamblais będzie czyniła pani de Rouvre.

— Będzie je więc czyniła spiac w swoim fotelu — zauważyła Julka.

— Oh, cara! — odezwała się pani Ucelli. — To przecie Maud kręci tem kołem domowem. Matka nie wchodzi w rachubę. To jest zero.

Wymawiała z włoska: „zerro“. A to zdwojenie „r“ tem bardziej dobijało biedną panią Rouvre.

— Paweł le Tessier, — odpowiedziała tamta — był przyjacielem nieboszczyka ojca Maud, towarzyszem młodości. Zna ją od dziecka i lubi bardzo.

Aaron przybliżył się do pań ze swoją świecą jak posadzka twarzą i zniżając głos, ale nie tak, aby nie doszedł do Maksymiliana, zaczął:

— A brat jego, Hektor, ten co to nic nie robi, to podobno bardzo dobrze jest z panną de Rouvre. Podobno się chce żenić! — uzupełnił w tej chwili, przestraszony tem, co się ośmielił powiedzieć.

— Albro! — zawołała włoszka. — Hektor żeni się z Maud. Znadto jest Paryżaninem, aby się żenić, a zwłaszcza z taką...

— Pan Hektor nie lubi takich panien, które z wszystkimi flirtują tak samo jak z nim — zdecydowała Julka.

— Ale — odezwała się pani Avrezac — czyżby Maud właśnie w ten sposób flirtowała? O ile ja wiem nic jej nie można zarzucić.

Za te kilka słów banalnej obrony, Maksymilian miał ochotę wycalaować ręce tej kobiety.

— Pani Ucelli odpowiedziała:

— A młody Lestrangle, a ten habia rumuński, którego zabili nie wiadomo z jakiej przyczyny. A teraz ten piękny Suberceaux. Dio mio! Nie zaprzeczy pani chyba.

— Ba! — odrzekła pani Avrezac z obojętnością — teraz wszystkie młode panny flirtują, to najnowsza moda. Moja Julka mówi, że nieflirtujące panny nie wychodzą za mąż. Ja zaś zauważyłam, że flirtujące tem bardziej nie wychodzą.

— Masz słuszość mateczko, nie chcą nas, ale jeżeli nie wychodzimy za mąż, to chociaż bawimy się jako tako. Tyle naszego.

— Jest flirt a flirt — zaczęła pani Ucelli. — O innych nic nie mówię, ma per Suberceaux. Wreszcie L'ho visto; so dic he parlo!

Dokończyła zdania po włosku dla siebie wyłącznie, podczas gdy pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacji. Maksymilian nie dosłyszał. Odniósł tylko wrażenie, że imię Maud mieszano razem z imionami Suberceaux, Lestrangle'a, Hektora, ze wspomnieniem rumuńskiego hrabiego, którego zabito niewiadomo z jakiej przyczyny. Miał ochotę wtłoczyć im w gardła te słowa, które plugawiły mu jego ideał. Ale silniejsza nad wszystko żądza dowiedzenia się czegokolwiek, przykuwała go nieruchomo do miejsca, podczas gdy te słowa raniły go raz po raz.

Pociąg ruszył. Aaron zapytał zawsze pół-głosem:

— Więc Suberceaux... Istotnie... pani myśli... że...?

— Ah! — zawołała włoszka, grożąc palcem bankierowi — zazdrość, co? Birbante! Bądź pan cierpliwym. O pana trzymam jaki pan chce zakład...

Maksymilian wprost podskoczył na miejscu i to tak gwałtownie, że towarzystwo zwróciło się wzrokiem w jego stronę.

Istotnie przez chwilę jakaś czerwona smuga zasłoniła mu oczy, mięśnie ściągnęły mu się w węzły i już chciał deptać, kopać to mrowisko żmij... deptać, rozdeptać. Opanował się jednak, rozumiejąc jaką niedźwiedzią przysługę wyrządziłby Maud swoją awanturą. Oni tymczasem umilki; Aaron zbliżył się do pań, dobrze przypatrzwszy się uprzednio Maksymilianowi. Tym razem przypomniał sobie może dawnego oficera i uprzedził o tem towarzystwo. Zapanowała cisza, aż do tej chwili, kiedy pociąg stanął w Chamblais.

Na dworcu oczekiwali gości Hektor le Tessier i Jakóbina de Rouvre.

— Przyjechaliśmy dog-cart'em, jak dwoje zakochanych, — zaszcebiota Jakóbina. — Tak się przeraźliwie domnie umizgał, że się jeszcze dotąd czerwienię.

— Ty się czerwienisz? — odpowiedziała Julka.

—Brzydalul!

Ucałowały się, ledwo dotykając policzków ustami, ze zabawnymi minami rywalizujących kociaków. Gdy już wszyscy powysiadali z wagonów i wydostali się na podjazd, gdzie oczekiwało zamknięte lando i ów dog-cart odkryty, Hektor rozpoczął prezentacje obecnych. Aaron wyciągnął rękę do Maksymiliana, ale ten udał, że nie widzi ruchu; lekko uchylił kapelusza, odwracając głowę na stronę.

— Ja wsiadam do powoziku z le Tessierem, — postanowiła Julka — pałam chęcią czerwienienia się tak, jak Jakóbina.

Julko! — odezwała się pani Avrezac poważnie. A po cichu dodała jej na ucho:

— Nie puścisz nas chyba samych z tym jegomościem w jednym lando? Przecież on robi wrażenie, chcącego nas pożreć żywcem.

Pogodzono się prędko. Aaron wsiadł do lando z paniami; Maksymilian z Hektorem do dog-cartu. Mały powozik ciągnięty przez zgrabne pony w żółtej uprzęży nie zwlekał z przyspieszeniem biegu. Nim dojechali do lasku, na pierwszym już zakręcie zniknęły z oczu jadącym w lando.

Hektor mówił do towarzysza:

— Oto nasza pustelnia bez swojego wiosennego stroju, który ją tak uświetnia. Ale taka, jaką jest, ze swojemi gołemi drzewami, z tymi stawami brunatnymi, jeszcze od topniejącego śniegu, podoba się zapewne panu, bo pan nie chcesz wsi operetkowej. Nie znacie zapewne dziejów tego zameczku.

Nie! — odparł Maksymilian roztargniony, pochłonięty echem słów zabójczych.

— W zeszłym wieku jakiś partyzant, pan de Beau regard, był właścicielem tych lasów. Za całe mieszkanie służyło mu małe schronisko myśliwskie. W tem schronisku gościł raz pan de Beauregard tancerkę operową, jakąś pannę Hero, za którą szalał, a która opierała mu się mimo najdroższe podarki, którymi ją obsypywał. Pannie Hero spodobało się uroczyisko; odnalazła pewne podobieństwo do dekoracji z „Armidy“.

— Jaka szkoda, że niema jeszcze zameczku! — powiedziała.

Po sześciu miesiącach nasz bogacz, wiecznie zakochany, przywiózł swoją przyjaciółkę, ciągle jeszcze okrutną. Uroczyisko nie zmieniło się zgoła, ale zamiast chatk, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wyrósł pałacyk z „Armidy“. Tym razem Hero uległa... Ale pan mnie nie słucha, panie drogi... Co panu?

Maksymilian odpowiedział:

— Istotnie, jestem wzburzony... Ci ludzie z którymi jechałem: Włoszka, która mnie nie zna, Avrezac i Aaron, którzy mnie nie poznali podczas całej podróży, mówili...

— Mówili o pannie de Rouvre, a pan słuchałeś ich.

— Tak jest.

— Nie pytam pana o czem mówili, wiem z góry. La Ucelli jest najgorszym językiem w Paryżu a ten gruboskórny Aaron, prześladowający Maud swoimi umizgami, nie może jej darować obojętności wzgardliwej. Mówili o Suberceaux, o Lestrangle?

— Tak... o jakimś hrabiu rumuńskim...

— Hrabia Christeanu formalnie oświadczył się o rękę Maud. W piętnaście dni później zabito go w pojedynku w Bukareszcie. Nie wiem co tu może kompromitować Maud.

— O panu mówili...

— O mnie? Co do Maud.

— Pan jesteś bardzo poufale z nią! — żywo przerwał Maksymilian. — Mówi pan do niej po imieniu: Maud.

Wjechali na gościniec. Hektor zwolnił kłusa.

— Aha, oto idzie! Mój wieśniaku najdroższy, zacznasz na serio szaleć... czy co? Poznałem Maud, gdy miała czternaście lat, w krótkiej spódniczce; jej to źle świadczy mówili sobie po imieniu. A wie pan, że to źle świadczy o miłości, gdy się tak kobietę podejrzywa. Chce pan słowa honoru, że z panną Maud de Rouvre jestem tylko na prawach przyjaciela.

— Masz pan słuszość — szepnął Maksymilian, pochylając głowę. — Chcę wierzyć. A jednak... gdybyś mi pan dał to słowo honoru... to by może zgładziło rozpaczliwe wrażenie tego, com usłyszał dopiero co.

— Zgoda. Daję je, słowo człowieka honoru. Dość? Maksymilian podziękował mu wzrokiem.

Od tej chwili nie powiedzieli do siebie ani słowa, aż do chwili, kiedy z za jaśniejących sylwetek drzew ukazały się białe fasady pałacu Armidy.

— Dziwny chłopak, — myślał Hektor. — A ja sam, czym także nie dziwak większy od niego. Upieram się tak żarliwie przy obronie tej dziewczyny. A przecież bym się z nią nie ożenił... Ale z kim ja bym się ożenił? A wreszcie to jest istotnie nikczemność niweczyć młodej dziewczynie sposobność zamążpójścia, przez opowiadanie słonych historyjek,

Gdy już wysiedli przed gankiem, Maksymilian nie zatrzymawszy się nawet wzrokiem na pięknościach tego czarodziejskiego domu, zapytał Hektora:

— Ile mamy jeszcze czasu do obiadu?

— Prawie półtorej godziny. Ubranie pańskie w walizie.

— Tak jest. W przeciągu dwudziestu minut będę gotowym. Pozwólcie mi nie pokazywać się jeszcze tymczasem. Zanadto jestem wzburzony. Gdybym się zet-

knął z tym bankierem, albo z włoską, spotkałbym ich takim słowem, którego bym potem żałował. Jeżeli pan pozwoli, przejdę się po parku, sam jeden. Zupełnie sam...

— Owszem. Idź pan. Z powrotem obejdź pan cały dom naokoło, nie zobaczą was. Lokaj wskaże panu pokój przeznaczony do przebierania się.

— Dobrze. Tak będzie najlepiej. Tym sposobem zobaczę pannę de Rouvre dopiero przed samiutkim obiadem.

Lando ukazało się na pagórku. Przyjaciele pożegnali się uściskiem dłoni. Maksymilian szybko zagłębiał się w ustronia parku, idąc długim grabowym szpalerem. Idealnie czyste niebo zaczynało się mroczyć zmierzchem wieczora powoli. Srebrny, blady blask księżycowego sierpa zaczynał się mieszać z różowawym jaśnieniem zachodu.

Maksymilian szedł naprzód, nic nie widząc, z rozkołysanem sercem, usiłując opamiętać się, określić jasno swój stan. Jakiś głos szeptał mu z wewnątrz: „Strzeż się, sam widzisz, ile już przecierpiałeś przez tę kobietę, a jeszcze jej nie wyznałeś nawet swojej miłości. Strzeż się! Nie dla ciebie ona stworzona, ani ty dla niej. Jeszcze czas odjechać“. Tak jeszcze czas — i była chwila, że myślał o tem. Uciekać, rzucić się w las, do stacji i stamtąd pierwszym lepszym pociągiem do Paryża, z Paryża jeszcze dalej, zagrzebać się w ciszy Vezeris, póki zapomnienie nie wyżre tej rany do cna.

— Zapomnienie?!... Ależ ja jej nie zapomnę. Po powrocie do Saint-Amand nie kochałem jej przecie, nie mogłem jej kochać, bom ją ledwie widział, a mimo to nie zapomniałem...

Tak idąc, utknął na brzegu ogromnego stawu, który w mroku wieczora jeszcze więcej olbrzymiał, zatracając swe brzegi we mgle. Przy brzegu kołysała się mała

łódź, przyczepiona do brzegu. Zamiast wiosła, leżała w niej tyka długa, spłaszczona na końcu, którą od biedy możnaby jechać i kierować łódeczka.

Maksymilian wskoczył do łódki, schwycił swoje wiosło i popłynął huraganem dla przytępienia choć w części wzburzenia. Ale na tem jeziorze, z wodą jakby przygniecioną mrokiem i mgłą, wewnętrzny głos coraz despotyczniej ogarniał go i opanowywał.

— Strzeż się! Ta kobieta to zagadka. W połach swojej sukni nosi zarzewie tajemnicy i dramatu...

Nie wiosłował już... Łódka płynęła chwilę, ślizgała się po wodzie — stanęła... Nagły dźwięk dzwonu pałacowego rozdzwonił się po lesie... Pierwsze wezwanie do obiadu. Maksymilian zwołał obraz Maud... Włosy, obnażone ramiona... stoi tuż koło niego... Szalony przypływ pożądania zatopił w nim wahanie: z szybkością dobił do brzegu, przymocował łódkę, popędził do zamku. Kilka minut po siódmej, zaledwie jest czas do przebrania się. Z chwilą, gdy przestępował próg pokoju, proszą do stołu. W przelocie zdołał zobaczyć pannę de Rouvre, która w ciemno zielonej sukni opuszczała salon pod ramię z Hektorem. Przy stole jednak miał ją w sąsiedztwie. Z roztargnieniem zapytała go o przyczynę opóźnienia — z roztargnieniem odpowiedział jej. Za sąsiada z drugiej strony miała owego sezonowego powieściopisarza, pana Henryka Espiens; z nim gawędziła prawie przez cały czas. Pan Espiens, jak na bywalca przystało, wyrzucał ze siebie miękkie, zaokrąglone zdania o kobietach, o miłości; gdy skończył, przyjmowano je uśmiechem zadowolenia. Maud słuchała go, uśmiechała się, odpowiadała mało.

Maksymilian wdrażał się myślą, w to towarzystwo światowców. Nie zdobywał się jeszcze na ową metodę pół-słów, pół-powiedzeń le Tessier'a albo Suberceaux'a, ale zaczynał już pojmywać to całe próżniaczo-

pocziwe środowisko ani lepsze, ani gorsze od reszty Paryża, pobłażliwych na wady bliźnich, niezdolnych do zawiści i namiętności, polujących na intrygi, rozbawionych w swobodzie obojga płci, z małą domieszką zdecydowanej rozpusty: od czasu do czasu. Rzadko naprawdę zakochanych.

Pod wodzą naczelną pani de Rouvre i Pawła le Tessier towarzystwo zasiadło stół w porządku, unormowanym prawem pociągu uczuciowego, który tutaj nakrywał się maską obojętnego, nic nie znaczącego „flirtu”. Le-strange'a usadowili pomiędzy Jakóbiną i Martą de Reversier, aby mu dostarczyć sposobności w przeciwieństwie się w swoim fachu „denerwowania” młodych dziewcząt. Aaron nasycił się opowiadaniem tłustych anegdotek tuż nad wydatnymi piersiami pani de Ucelli, która z drugiej strony ostrzyła swój wzrok na rozpatrywaniu ciemnych splotów fryzury Julki Avrezac. Hektor, ten cięty Hektor gwarzył półgłosem z Magdaleną de Reversier, która uderzała go od czasu do czasu po ręce, aby zamilczał. Paweł le Tessier obrał sobie za sąsiadkę Etiennette; nie krępował się w patrzeniu na nią tak samo, jak ona nie krępować się pieścić go swojemi oczętami, które od czasu do czasu mgliło smutne wspomnienie o matce, pozostałej na ulicy de Berne: choroba panoszyła się nad nią coraz więcej. Wszyscy ci ludzie oddawali się potroszę wyznaniu swoich miłosnych słabostek pod spokojnem okiem pań de Rouvre, de Reversier i Avrezac. A nawet samego Maksymiliana, czyż nie usadowiono obok Maud.

— Szczęściem, że Suberceaux nie przybył, myślał z goryczą, posadzili by go z drugiej strony zapewne, zamiast powieściopisarza.

Cały ten stół robił na nim wrażenie gabinetu restauracyjnego, ale jakiegoś więcej przewrotnego, więcej rozpustnego, ze względu, że także młode dziewczęta były obecne.

— Szczęście także — myślał Maksymilian, że niema Janki z matką.

Pod wpływem delikatnej wskazówki Hektora pani de Chantel została z córką w Paryżu.

Aaron kończył w tej chwili opowiadanie o najnowszym skandaliku. Maksymilian wpatrywał się w Maud: robiła wrażenie obcej, myślącej zgoła o czemś innym, widocznie nie słuchała. Ale za to inne dziewczęta nadstawiały uszu! Maksymilian w złości tak niezgrabnie a energicznie uderzył ręką o stół, że wachlarz Maud upadł na ziemię. Natychmiast nachylił się, aby podnieść i wstał jeszcze bladszy: zobaczył, jak Magdalena le Reversier najspokojniej założyła swoją nogę na kolano Lestrangle'a, gdyby na osiodłanego konia.

— Co panu? — zapytała Maud, zaniepokojona jego milczeniem i ruchami, a pewna w swoim nieomylnym instynkcie kobiecym, że on teraz Ignie do niej.

— Nic mi nie jest, ale tu zaczyna być strasznie gorąco.

W istocie w zamkniętej sali, w której na dobitek napalono przed obiadem, zaczynało być niemożliwe gorąco. Lżej odetchnęli wszyscy, gdy przeszli na czarną kawę do olbrzymiej hali nowoczesnej w lewym skrzydle zamku. Przez niezastłonięte okna widać było park skapany w blasku, po przez który płynął rogaty księżyc.

— Ach, chodźmy do parku, zawołała Etiennetta. — Tak pięknie! Mamy jeszcze godzinę do pociągu.

Cała młodzież przyklasnęła projektowi, prędko załatwiono się z kawą, a służba tymczasem przyniosła płaszcze. Maksymilian pomógł Maud nałożyć futro, przepasane w stanie wewnętrzzną szarfą.

— Chodźmy — odezwała się półgłosem — prowadź mnie pan gdzieś daleko od tych ludzi.

Oddalili się w kierunku lasu. Pozostałe pary nadażały za nimi, ale Maksymilian zboczył na drogę, po której już

poprzednio szedł, i dotarł do stawu. Zostali jakby odcięci od towarzystwa. Staw ciągle zatracił swoje brzegi, jak owe tajemnicze jeziora afrykańskie, nad którymi staje podróżnik i pyta: „morze?“... Nagie drzewa haftowały brzeg swojemi czarnemi rysami, a księżyc siał na wodę swoje bladawe srebro.

— Jak tu cudownie — wyszeptła dziewczyna. Końcem maleńkiego bucika uderzyła o łódkę, a oczami rzuciła na przestwór jeziora, sama bardziej promieniejąca jak jezioro, jak niebo, jak gwiazdy, ową pięknością kobiecą która przewyższa piękność krajobrazów i wdziękiem kobiecym, wymowniejszym nad poezję nocy.

— Jeżeli pani pozwoli? — zapytał Maksymilian, pokazując na łódkę.

— Oo! to! to! — zawołała. — Płyńmy daleko... bardzo daleko... zupełnie sami...

Wskoczył do łódki, podniósł Maud w ramionach i usadowił ją z tyłu łódki, jak dziecko. Siadł naprzeciwko i pchnięta łódka pomknęła po stawie bez plusku, bez szmeru.

„Ja ją uwielbiam, ja ją uwielbiam“, marzył Maksymilian, podbity na nowo. „Ja nie ścierpię, aby ona do kogokolwiek należała, musi być moja“.

Wkrótce utracili z oczu zadrzewienie brzeżne, pogrążone w bladej mgle. Maksymilian rzucił wiosło do łódki; mogło im się istotnie wydawać, że są na środku morza. Zaczął mówić niskim głosem:

— Chcę, aby ta godzina trwała wiecznie, albo niech ten staw pochłonie nas obojga, aby nas nikt nigdy nie oglądał.

Odpowiedziała mu, opierając się na nim wzrokiem, którego władze doskonale znała:

— Dlaczego pan wątpi o mnie?

I na te proste, zwyczajne słowa tak w nim zakipiało żarem, że rzucił się jej do nóg, całował jej ręce, których mu nie bronila, ledwie mógł wybelkotać:

— Łaski! łaski!

— Czy pan myśli, że w tym świecie, w którym żyję, ja chcę żyć? Ach, żebym ja się tylko mogła wydostać z tego rozpaczliwego Paryża!...

Z ustami na ręce, która teraz chciała się usunąć, Maksymilian wciąż szeptał:

— Łaski! Ja tak cię przecie Kocham!...

— Usunęła mu rękę i powiedziała wzruszonym głosem:

— Wiosłuj pan z powrotem!...

Wolno wziął tykę w rękę. Płynęli milcząc po milczącym szlaku. Ale gdy już zdążali do zamku — pod sklepieniem nagich drzew, Maksymilian odzyskał odwagę.

— Maud — odezwał się — pani wie, że ja należę do ciebie. Ja siebie nie oddaję połowicznie: niewolnikiem ci będę zawsze, jeżeli chcesz. Ale błagam panią, jeżeli masz mnie odepchnąć, nie igraj ze mną, jak z tymi letkiewiczami, którzy cię otaczają. Pani wiesz, że wkrótce odjeżdżam. Mam zostać w Vezeris trzy tygodnie. Wracać? Mam wrócić?

Wzięła w swoją prawą dłoń prawą rękę młodego człowieka.

— Wierzysz pan teraz we mnie?

Odpowiedział:

— Wierzę.

— Jak w swoją siostrę?

— Jak w siostrę.

— Kochasz?

— Więcej niż siostrę, niż matkę, niż wszystko.

— A więc — odpowiedziała Maud — wracaj. Przez te trzy tygodnie myśl pan o mnie, myśl o przyszłości.

Ja zaś przyrzekam panu, że do dnia pańskiego powrotu nikt mnie nie zobaczy ani w teatrze, ani na wizycie, nie wyjdę na krok.

— Łaski! łaski! jeszcze raz łaski! — zawołał Maksymilian. Ja cię skrzywdziłem, pani!

Chciał ją przycisnąć do siebie i w tej samej chwili szczęśliwy, że mu się wyrwała. Nie zdawał sobie sprawy, że w tym nagłym oporze, tak szczerym, jak uczucie wstydu u młodego, niedoświadczonego dziewczęcia, mieściła się niechęć kobiety sercem i duszą zakochanej w innym i nieprzyzwyczajonej jeszcze do dzielenia siebie.

CZEŚĆ DRUGA

I.

Vezeris, Marzec 1893.

„A mimo wszystko ośmielam się pisać do Pani, nie wiedząc nawet, jak tytułować — Panią, której imię prawie boję się wyszeptać w chwili marzeń, czyli w każdej chwili mojego życia obecnego. Tak mało Panią widziałem: tak mało mówiłem. Teraz, gdy nas przestrzeń rozdziela, zdaje mi się, że nawet wspomnienia po mnie nie zostało. Jakże dalekim czuję się teraz, nietylko przez te mile, które nas oddzielają, ale i przez tę całą odmienność naszego życia. Błagam jednak, nie przypuszczaj Pani, abym pisał to dla banalnej potrzeby wzorowania się na zdolności komplementarskiej wielbicieli Pani. To jest najistotniejsza potrzeba mojego serca: czuję się tak oddalonym od Pani, jak najprostszy, najdzikszy pastuch odemnie samego...

„Mam chwile prawdziwej męki: gdy chcę być podobnym do paryskich przyjaciół Pani. Słowa listu, rozmowy z Panią tak łatwo by mi się wtedy układały. A Ty byś mnie lepiej rozumiała Pani. Ale grać rolę jakowąś — to nie dla mnie, ośmieszyło by mnie do reszty. I do reszty pobiło; dwudziestu bardziej nęcących od vezeryjskiego samotnika wielbicieli masz Pani około siebie na każde skinienie. Ja rozporządzam tylko mojem serdecznem uczuciem i to składam u nóg Twoich. Cóż

robić? Wiem, że to niewiele. Błagam jednak, nie odpychaj mojej miłości.

„Ja tak Cię przecie kocham. Nie uwielbiano Cię tak jeszcze. Nikt pod słońcem, pewny jestem, nie oddawał Ci całego siebie z tą jedną jedyną troską, aby Cię uszczęśliwić. I jakkolwiek czuję doskonale, że jestem niegodny Pani, to przecież pysznię się, że jestem jednak godniejszy, wyższy swoją duszą od tych z Paryża. Na litość, nie kochaj Pani żadnego z tych ludzi. Gdy pomyślę, że w tej chwili, w tej oto chwili którykolwiek z nich rozmawia z Panią, wściekłość mnie unosi, rwie, chciałbym wtłoczyć im w gardło każde słowo, którem Cię darza, odosobnić Cię choćby siłą od tego wszystkiego, co nie jest godnem Pani, co nie powinno zbliżać się do Pani. Wybacz Pani, że ja tak piszę; to męka moja: ja się muszę wypowiadać przed Tobą.

„Wie Pani o czym ja wciąż marzę? Oto wyobrażam sobie Panią zupełnie maleńką, przy mnie, jako dorosłym mężczyźnie — taką, jaką była Janka dziesięć lat temu, gdy wróciłem z pułku. Pokochałem odrazu tę dziecięcą duszyczkę, zupełnie jeszcze nie ukształtowaną. Postanowiłem sam jeden wyłącznie rozwinać jej myśl i zdolności, tak, żeby z niej uczynić istotę lepszą ode mnie. Dotrzymałem słowa. Joanna jedyne wychowawcę i przyjaciela miała we mnie. Poza kształceniem w sferze obowiązków domowych, kobiecych, które matka w nią wdrożyła, każda jej myśl pochodzi odemnie. Ah, poznać Cię dzieckiem Maud, wychować, patrzeć, jakbyś rosła. Możebyś Pani była mniej jaśniejąca, mniej „królową“, ale za to ja miałbym klucz do każdej Twojej myśli, nie byłbym zmuszony przeczuwać zaledwie niejasno twoją tajemniczość.

A jednak waham się... Najwięcej przecie uwielbiam w Tobie to, co jest odmienne od Janki. Ta sama tajemnicza królewskość, która mnie tak przestrasza, przykuwa mnie równocześnie. Wybacz Pani: plotkę. Nie

chcę, abyś była inną. Ostatnie słowa Pani, te czarowne chwile, które z Tobą spędziłem przed pożegnaniem, wspomnienie to dodaje mi męstwa. Za tę niesprawiedliwość, jaką Ci wyrządziłem, pozwól służyć Ci, oddać Ci się. To wszystko, czego pragnę, o co proszę na teraz; boję się nawet marzyć o tem, czy zezwolisz...

Napisz Pani... Błagam, powiedz: „na zawsze“. Bez tego nie wyżyję do chwili następnego naszego spotkania.

O niczem nie myślę, tylko o Pani, widzę tylko Panią. Trwoży mnie oschłość mojego serca na wszystko, co się Ciebie nie tyczy. Zdaje mi się, że już nie kocham najdroższych. Obojętną mi jest nieobecność matki, nie cieszy obecność Janki, ku zmartwieniu biedactwa. Czuję się rozpaczliwie odosobnionym w życiu. To nie ja chodzę, mówię, pracuję, to jakiś manekin obojętny to czyni, a ja patrzę tylko na niego, słucham. Innemi słowami trzebaby to odmalować, ale Pani pojmie wszak o co mi chodzi, pomimo całą niedołężność mojego języka...

Paryż, marzec 1893.

„Nigdy jeszcze nie żałowałem tak jak dziś tego, że nie jestem punktualnym, jak mój zasłużony brat Paweł, dyrektor banku, chciałbym przynajmniej upozorować opóźnienie mojej odpowiedzi. List pański traci nieco zdenerwowaniem i niepokojem: tem prędsza należała mu się odpowiedź. Niestety od dziesięciu lat słyszę tylko o sobie. „ten le Tessier nic nie robi“. Nie pogardzajcie mną. Nic nie robię, to prawda; spokojnie opóźniam o 15 dni list do przyjaciela, którego kocham, ale ja zacząłem próżnować zupełnie w dobrej wierze, od chwili, kiedy przekonałem się, że moją pracą tyle zrobię, co i próżniactwem. Piekielne: „po co?“ spętało mnie i postanowiłem być przynajmniej możliwie uważnym i inteligentnym widzom cudzej komedji.

Widziałem ją — tę komedję — na kilkunastu towarzyskich widowiskach. Wasz list, Poruczniku, uwidacznia rozciekawienie nad dalszym ciągiem tego spektaklu, chcesz go znać. Dobrze, dam recenzję, przynajmniej o tem, co Ci najwięcej leży na sercu.

Przedewszystkiem od Waszego wyjazdu z Paryża dziwnym zbiegiem wypadków nie widzieliśmy naszych przyjaciół od pań de Rouvre ani razu. Pani de Rouvre cierpiąca, jak zwykle, córki wyzyskują tę okoliczność, aby uniknąć obowiązków salonowych: obiadów, teatru, wszystkiego wogóle. Miss Maud widywałem co wtorek, wierny ich przyjęciom. Spotykałem tam panią de Chantel, zdrowsza zdaje się znacznie. O to przynajmniej możesz Pan być spokojny. Miss Maud jak zwykle królewska czarodziejka. Przyznała nam się pod sekretem, mnie i Pawłowi, że jej Paryż kością w gardle stoi i że pragnie odosobnienia. Ofiarowaliśmy się z naszym Chamblais, nikt tam nie mieszka, a wiosna taka cudowna. Pani de Rouvre zgodziłaby się może, gdyby jej nie sprawiało przykrości rozstanie się z matką Pańską.

No, a te opiłki towarzyskie zajmą Pana? Nie wiem. Chcecie wiadomości o naszych znajomych. Owszem. Zapewne pan wiesz, żeśmy przez kilka dni gościli księżnę de la Spezzia a całą jej cortin'e, zajęło nam to milion obiadów, wieczorów, krokietów, na których jaśniała la Ucelli i nieodłączna Cecylia. Wiesz zapewne, że piękny Suberceaux pod opiekuńczem okiem matki bałamucił teraz Julkę Avrezac. Matka zna się na takich Suberceaux i nie chce wydać zań córki za nic na świecie. Jeszcze ciekawsza druga wieść: mówią o małżeństwie Jakóbinie de Rouvre i Luc Lestrang'e'a. Marta de Reversier wypłacze sobie oczy, to pewna.

Ot, co słyhać u naszych pół-dziewic. Jeżeli dodam, że dyrektor Magazynu Katolickiego zarobił kilka milionów na akcjach kopalnianych, że Zuzana Duroy, siostra tej ładniutkiej Etiennetty, którą poznałeś w Chamblais,

dotąd nie wraca z tajemniczej wyprawy, że ich matka chora i ma zamiar przenieść się do wieczności, to będzie już wszystko, co mam do zaznaczenia.

Pisząc o tem wszystkim, chce mi się płakać nad nicością i błahością całej tej farsy. Pomyśleć, że mam już trzydzieści lat, że i resztę młodości strawię na przypatrywaniu się nędznym podrygom takich pajaców jak: Suberceaux, Ucelli, Reversier'ówny, Lestrangle, panienki z ulicy i panienki ze salonu — na klubowców, graczków, mateczki z komedji i na samego siebie! Czy gra warta świeczki? Nie, dość mi już do licha tych scen. Ah druhu, nie sądź mnie po mojej bezwładności i moich zabawach — proszę. Gdybyś ty wiedział ile ja już razy chciałem wyrwać się z pośród tych fałszywych przyjaciół, z tego fałszywego życia i zostać zupełnie uczciwym człowiekiem! A ten „inny“ człowiek nie może być sam. Ręka kobieca jedynie może zmienić mężczyznę w tym wieku. Gdzie mi znaleźć taką rączynę? A jeśli się znajdzie — czy zechce ona wyciągnąć się do mojej?

Mam tu u siebie przyjaciół, którzy by się wyśmiali porządnie z tego, co ja piszę. Czekają na mnie, mamy iść na obiad z dziewczętami głępszemi i jeszcze sztuczniejszemi od naszych salonowych — potem na widowisko na chwilę, później znów kolacja w gabinecie, a potem spać. Ohe! Ohe! Niech żyje życie!

Kochaj mnie, myśl o mnie — pisz! I powiedźcie mi pod sekretem, czy wasza mała droga towarzyszka w samotności zupełnie zapomniała o swoich przyjaciółkach paryskich...“

Paryż, marzec 1893.

„I poco to pisać mój drogi panie i przyjacielu takie listy, które mnie wprowadzają w zakłopotanie, po których muszę przed samą sobą udawać, że ich nie czytała, aby zachować prawo odpowiedzi. Apeluję do własnego sądu Pana: Czy byłbyś Pan zadowolonym, gdyby po-

dobne listy kursowały między Hektorem le Tessier a pańską siostrą (niezupełnie przypadkowo natrafiłam na to porównanie). Czy Pan nie przypuszcza, że młoda dziewczyna musi być oszczędniejsza w wynurzaniu swoich uczuć? Więc... zachowam te same ostrożności, co i nasza droga Janka.

Po tem małym upomnieniu, odpowiadam na to, com wyczytała w pańskim liście. Pisze mi pan, że się czuje tak dalekim odemnie, jak najbliższy pastuszek. Dobrze. Ja się jednak przyznaję, że się czuję bardzo blisko Pana — mojego przyjaciela. Przy pierwszym widzeniu się odczułam w Panu przymioty, które przedewszystkiem cenię w człowieku: uczciwość i dobroć z tą małą domieszką szorstkości, z którą mężczyźnie tak do twarzy. Więcej niż Pana, mnie już znużyło dzisiejsze towarzystwo męskie, żaden z nich, doprawdy żaden nie zdołałby zająć mojej myśli. Daleką się od nich czuję: Ignę do energiczniejszych, męskich, chciałabym powiedzieć gwałtownych natur. I to co w panu lubię, to właśnie ten głęboki żar uczuć. Zostań Pan dla mnie takim, jakim jesteś. A gdy pomyślisz pan o Maud, myśl tylko o niej; zapomnij o tych, którzy ją otaczają — nie licz się z nimi.

Przyjeżdżajcie prędko z tą kochaną dzikuską Janką. Przygotowujemy tu na pojednanie wasze z Paryżem wielką uroczystość. Od czasu wyjazdu waszego z Paryża nie wychodzę zupełnie ani na bale, ani do teatru. Moje „wejście w świat“ odbędzie się pod okiem Pana u nas. Trzeciego kwietnia u nas większe przyjęcie, koncert do północy, potem kolacja i tańce. Proszę pamiętać o terminie. Nie darowałabym nieobecności. Wiem coś o pańskich kapryсах.

Tak. Tam u siebie proszę myśleć o mnie, tak, jak jabym chciała: z szacunkiem i wiarą. Jankę moją cudną całuję serdecznie — kocham ją bardzo, kocham za to, co ma od Pana.

Maud“.

Vezeris, marzec 1893.

„Nasz wyjazd do Paryża droga mateczko, już postanowiony. Pojutrze rano. Walizy spakowane, bo niecierpliwie się, aby jaknajprędzej uściskać mateczkę moją drogą. Zdaje mi się, że to już wieczność upłynęła od tego czasu, kiedym mamę widziała. Niech sobie tylko mama wyobrazi: ciągle myślę o mamie, a nie mogę Cię zobaczyć, tak jakby mi kto w pamięci zatarł twoją osobę, nie mogę jej przywołać siłą swojej woli. To mnie okropnie zasmuca moja droga mamusi!

Jakie to szkaradne były te tygodnie rozłąki, nic o nich nie mówiłam, aby cię nie niepokoić, ale ja byłam taka smutna. Maks tak się zmienił! Zdaje się że nie kocha mnie już. Ledwie się odzywa do mnie; gdy mówię do niego, to widzę, że zupełnie nie słucha. Czasem weźmie mnie na kolana, uściśnie mocno, ale to nie to dawniejsze serdeczne przywiązanie. On teraz więcej kocha tę piękną Maud de Rouvre. Dlaczego on nam tego nie powie? Jabym przecie tak samo kochała tę pannę, jeżeli ona go kocha i uczyni go szczęśliwym. A mimo to mateczko, ja się boję: ona jest za piękna, ona za pięknie mówi, przy niej dopiero odczuwam, jaka ja jestem gaska. Prawda, że ja wogóle tylko z Maksem i mamą odważam się mówić.

Zdaje się, że jedziemy na 3. kwietnia, na jakiś bal u de Rouvrów. Jak ja się wynudzę! Okropnie lubię tańczyć, jak mama wie, ale tam trzeba jeszcze rozmawiać z tancerzami, a w Paryżu to ja zupełnie nie wiem co odpowiadać tym panom, co do mnie mówią.

U nas nic nowego od czasu mego ostatniego listu. Pogoda, ciepło. A tak, jest nowość, Matylda Sarbier, służąca u Croissetta, co to wyszła za Józefa Léperoux cztery miesiące temu, ma maluczkiego chłopaczka. Ogromnie zadowolona, powiada, że to jest rodzaj cudu, aby dziecko tak wcześnie się urodziło. Chrzczono go we wtorek w kaplicy panny Marji.

Już niedługo, najdroższa mamó. Twoja mała Janka całuje cię z należyty m szacunkiem i przywiązaniem i jest szczęśliwa, że cię prędko ujrzy.

II.

Orkiestra usadowiona na wgłębionej, pełnej kwiatów i zieleni estradzie w rogu halli, gromkimi akordami przechodziła do finału symfonji. Jeszcze daleko do północy, a znużenie wszechwładnie ogarnia słuchaczów, przebija w ich twarzach oczach, zmęczonych postawách. Niektórzy zmykają do sąsiednich pokoików na cygara i flirt. Wszystkie pokoje stoją otworem, więc ci, owi chętnie uwalniają się od muzyki, aby choć przez chwilę odetchnąć chłodniejszym, powietrzem.

W pokoiku, który zazwyczaj służy Maud za buduar, gdzie ma ona swoją biblioteczkę, pianino i biurko mahoniowe, na kozetce na pół siedzi, na pół leży Luc Lestrangle, wsłuchując się w szmer kroków, dolatujący z dużego salonu.

— Nareszcie, jesteś! — zawołał do wchodzącej Jakóbinie de Rouvre. — Warjowałem... Zjadłbym cię dzisiaj w całusach! — dorzucił patrząc, jak mała kokietka na pół poważnie, na pół żartobliwie unosi zlekka rąbek swojej tiulowej spodnicy i z gracyą oddaje mu ceremonialny ukłon menuetowy.

Rzucił wzrokiem dla upewnienia się, czy niema kogoś, kolwiek, a następnie zarzucił rękę naokół kibici Jakóbinie, zanurzył się ustami w jej kark tuż pod zwojem rudych włosów, ale ledwo zdążył musnąć szyję, wyslizgnęła mu się z rąk i jednym susem była przy pianinie. Stojąc, naciskała lekko pedał i jeszcze lżej wygrywała lekkie akordy, umiejętnie tak wyginając przy tem gors, aby towarzysz mógł widzieć odsłoniętą pierś.

— Jakóbino! — mruzczał Lestrangle.

— Niema żadnej „Jakóbiny“, drogi panie, — odpowiedziała siadając na taburecie przy pianinie, gotowa do ucieczki w każdej sekundzie. — Nie wolno mnie całować ani w szyję, ani w twarz, ani w ramiona, wogóle w nic... Dziś pierwszy raz nałożyłam długą suknię. Jestem damą!

I w tej samej chwili podkreśliła ten fakt ruchem, pokazując suknię; nie odmówiła sobie przytem odsłonięcia całej prawej łydki. Lestrangle w tej samej sekundzie był tuż obok; gryzł wargi.

— Na tymczasem wolno pocałować rękę — dodała.

Jednym ruchem zrzuciła lewą rękawiczkę i tak obnażoną rękę przytknęła do ust Lestrangle'a. Lestrangle z początku dotknął końca palców, potem wolno, żarliwie wyciskał pocałunki na palcach, na dłoni, sunąc tak ustami aż do zgięcia w łokciu. Jakóbina z napół przymkniętymi oczami, z uchylonemi ustami nie odrywała mu ręki aż do tej chwili.

— Dostyc już na dziś — wyszeptała. — Siądź pan i pogawędzimy grzecznie.

Ukazała mu kanapę. Lestrangle poddał się rozkazowi.

— Co się z panem dzieje, że pan dziś taki dziwny?

Lestrangle udawał śmiech, ale głos mu drżał.

— Drwisz pani ze mnie, jak z reszty świata, a ja cię upewniam, że mnie, to boli... A gdybyś wiedziała co ja jeszcze przecierpię przez ciebie w ciągu całej tej nocy dzisiejszej... straszne...

— Ba! — odpowiedziała Jakóbina, bawiąc się wachlarzem. Zapewne pan znasz jakie pocziwe przyaciółki, gdzie byś z mniejszą męką mógł przepędzić tę noc bezsennie... weselej... weselej aniżeli u nas.

— Kokoty?

— Kokoty, aktorki, damy specjalnie przeznaczone dla panów... no czy ja wiem. Przecie adresu nie będę chyba panu dawała?

— Gdybym mógł znaleźć jaką aktorkę albo dziewczynę, któraby mi zabiła wspomnienie pani! — odpowiedział poważnie Lestrangle.

— No... więc... Może jaka mężatka z towarzystwa? Ta mała pani Duclerc ma ochotę na pana... Widziałam... Wszystko widziałam... Prosiłeś ją pan o kwiatek... Ten sam, który teraz masz w butonierce.

— Jej kwiat! Drwię sobie z niej!

Wyjął go i rzucił na ziemię.

— Kobieta, która miała już troje dzieci. Dziękuję. Nie pociąga mnie.

Jakóbina podniosła kwiatek i zaczęła go zwolna obnażać z listków.

— Widzi pan, jak to źle przyzwyczajają się do młodych panienek, do zielonawych owoców, potem nie można się przystosować do prawdziwie dojrzałych.

Na progu saloniku ukazała się nowa para: jakaś młoda mężatka o dziewczyczych rysach pod rękę z gęsto obrosniętym mężczyzną — zobaczywszy, że salonik zajęty, zrobili odwrót.

— Widzi pan, to ta biedna Duclerc; pociesza się z Henrykiem Espiensem po pańskiej odmowie.

— Z tym powieściopisarzem?

Orkiestra po chwilowej pauzie uderzyła w ostateczny finał symfonii.

— W gruncie rzeczy — zaczęła Jakóbina, gdybym była mężczyzną, miałabym pański gust. Matka licznej rodziny, to w istocie nie przysporzy rozkoszy. Widziałam pod tuszem u doktora Kraussa kilka z tych wystrojonych pań, które tutaj są dzisiaj na koncercie. Brrr!... Nie takie one są pod tuszem. Podczas gdy młoda siedemnastoletnia panienka, zupełnie świeża... jak... Magdalena de Reversier, na przykład.

— Nie mów mi o innych — przerwał Lestrangle — Wiesz dobrze, że ciebie jednej pragnę.

— Wierzę, że mnie pan „pragnie“ w istocie. Ale pan pragnie tak samo każdej kobiety, która się ukaże w pańskich drzwiach. Mówmy tylko o młodych dziewczętach. Nawet gdy na tą niezgrabną, płaską Joannę de Chantel patrzysz, to oczy ci się błyszczą. Nie mów pan: nie! To jest już choroba, rodzaj newrozy, jak mówi nasz kochany doktor Krauss. Nie wymawiam tego panu i nie jestem zazdrosną.

Kwiatek był już na pół oberwany — przykładała go do ust co kilka chwil.

Lestrangle mrucał:

— To prawda... ale ciebie nadewszystko pragnę.

Pod ironicznem spojrzeniem Jakóbiny nie odważył się powiedzieć: „ja cię kocham“. A ona ciągle z kwiatkiem przy ustach, zapytała:

— Czy na prawdę?

— Najzupełniej!

— No więc, jeżeli na prawdę — odpowiedziała spokojnie — ożeń się pan ze mną. Aha! zaczyna pan tracić na minie.

— Ależ...

— Ależ upewniam pana, że zaczynasz tracić na minie. A czegożeś się pan spodziewał, mój biedny panie Luc? Że ja będę grała rolę Magdaleny de Reversier, Julki Avrezac i tych wszystkich, które pan znasz. Nie, nie! mój drogi. Czas panieństwa przechodzi szybko i człowiek nawet nie może się rozerwać żadną awanturką. Nic z tego. Ja chcę wyjść za mąż. Czyż ja jestem taką złą partją? Dobrzem urodzona. Mam dwakroć sto tysięcy franków posagu... Żem trochę pusta może? Nie bój się, w małżeństwie potrafię się znaleźć. Co do swobody mojej, to mój drogi, przeszukaj cały Paryż, a nawet Orlean, nie znajdziesz innej. Nie jestem dzieckiem. Wiem dobrze, że dzieci nie przynoszą bociany, nie jestem białym gołębiem, jak mówi Hektor le Tessier... Ale mój

mąż będzie miał chociaż przywilej rozpoczęcia... na całej linii.

Wstała, wygrała kilka akordów na pianinie i jakby do siebie dodała:

— A taki początek wart poświęcenia, myślę...

W cichych akordach zamarła symfonia. Oklaski. Cały tłum uderzył na salon. Luc Lestrange patrzył na Jakóbinę i nic nie odpowiadał.

— Tak, tak, mój przyjacielu! — zakończyła... Pomyśl... rozważ... Albo małżeństwo, albo nic ci się odemnie nie dostanie oprócz tego...

Rzuciła mu białą różę uprzednio ucałowaną.

Lestrange chciał ją dogonić, ale na drodze stanął mu cały tumult par. Zdala widział ją tylko uczeponą u ramienia tysego doktora Kraussa.

Przy wejściu do halli Lestrange utknął na Pawle le Tessier, który gwarzył z Etiennettą Duroy. Senator zapuszczał więcej niż ojcowski wzrok w cudownie obnażoną pierś dziewczyny. Mężczyźni podali sobie dłonie. Lestrange zapytał:

— Czy na panią teraz kolej? Wyczekuję tej chwili, kiedy pani jakimś prostszym śpiewem przerwie ten posok uczonej muzyki.

Cały jeszcze w dreszczu spotkania z Jakóbiną, ostrzył swój wzrok na modrych źrenicach Etiennetty.

— Nie! — odpowiedziała z uśmiechem. — Nie na mnie kolej. Pani Ucelli będzie śpiewać, z czegom niezmiernie zadowolona.

— Straszna ma tremę — odezwał się Paweł. — I napróżno, bo będzie miała ogromne powodzenie.

— A! Jesteście — zauważył malarz Valbelle, zbliżając się do ich grona. — Pan panie senatorze tak samo drży, jak ona. Pan dzisiaj jesteś tak, jak mężem debiutantki.

Etiennetta zaczerwieniła się. Le Tessier niezadowolony nic nie odpowiedział — podał ramię dziewczynie i poprowadził dalej.

— Uraziłeś ich pan! — powiedział Lestrangle malarzowi. — Pocoś pan to mówił? Oni na serjo myślą o małżeństwie.

— Aa! więc to nas rozdrażnia! — odpowiedział Valbelle. — Jakiem prawem ten polityk zdmuchuje nam z przed nosa taką śliczną dziewczynę? Ona dla nas była stworzona, dla naszych kolacyjek, jak ta poczciwa Matylda, jej matka i piękna Zuzanna, jej siostra. Chcą z niej zrobić uczciwą mieszczańczkę, przywiązaną do tego arcygłupca senatora. Żle... zacznę gwizdać.

— Najgłówniejsze to to, — zaczął mówić zamyślony Lestrangle, — że ona jest porywająca dzisiejszego wieczoru, w tym swoim kostjumie Indiana, z rękawami à gigot... Jakie ona rozkosznie smaczne musi mieć ciało.

Zaczęli analizować dziewczynę po szczególe, słowami żokejów, zanurzając się w prognostyki nieznanych powabów dziewczęcych. Nie zniżali zupełnie głosu i wszyscy przechodzący, chwytali w przelocie treść ich rozmowy. Następnie przeszli do dzisiejszej uroczystości, do muzyki.

— Od piętnastu dni dzienniki unosiły się nad tym koncertem, nad sztuczną salą, nad czarodziejską gospodynią. Dla mnie ten wieczór nie ustępuje wieczorom w Continentalu. A panu jak się podoba?

— Ba! — odpowiedział Lestrangle. Takich zabaw nie ma już. Jesteśmy zanadto marnymi i zanadto dużo widzieliśmy. Czarodziejska gospodyni domu tylko, patrz pan!

Maud wsparta na ramieniu Maksymiliana de Chantel rozmawiała z nieodstępna parą pani de Ucelli i Cecylii Ambre. Maksymilian w nowem ubraniu, skrojonem u Wassa, ale nie zacierającym należycie jego pro-

wincjonalnego zaniedbania, nic nie widział, nic nie sły-
szał, oprócz czarującego stworzenia, którego rękę wyczu-
wał przy swoim boku. Maud roztargniona, z przyćmie-
nemi oczyma, jak zawsze podczas każdej walki
wewnętrznej, mówiła, słuchała mówiących — i mimo
pewne zaniedbanie w stroju, tłómaczące się jej sytuacją
wewnętrzna, nie przedstawiała królować w tym tłumie,
nie przestała być jakąś odmienna, wyższą, szlachetniej-
szą rasą, stworzoną do panowania.

— O tak! — mruknął Lestrangle — piękna jest.

Przywołał wspomnienie pewnej bolesnej chwili z prze-
szłości — minuty szaleństwa, pokrytej teraz sekretem
między nim a Maud'ą — chwili, w której chciał zespolic
swoje usta z ustami tej rozjuszonej Djany. Jeszcze dziś
odruchowo drgnął na wspomnienie tego rozpaczliwego
ukąszenia w dłoń, które go zmusiło wypuścić z rąk
zdobycz.

— La Ucelli zaczyna śpiewać! — odezwał się malarz.
— Przybliżmy się.

Panie już zajęły miejsca przy pierwszych akordach
Cecylii Ambre.

Włoszka stała przy fortepianie, twarzą do publiczności,
jak wielki posąg mięsa, odrażający swoją brzydota
i chorobliwą bladością.

Śpiewała. Wrący poemat Holmès'a, wołanie modli-
tewne do Erosa, mistrza świata — i naraz ta statua
mięsa ożyła, płomień sztuki zmienił ją, uszlachetnił.
To były inne oczy, inne usta, inny ruch, to była kapłanka
miłości. Czysty i wstrząsający głos, głos duszy, zie-
jącej namiętnością, spazmem miłości, błaganiem pie-
szcót, pożądania, nadziei i zaspokojenia. Te stances
Holmès'a setki razy słyszał każdy ze słuchaczy —
i patrzcie jak wszyscy wyteżyli uszy, jak dziewczęta
płoną, bledną kobiety, rozpala się wzrok mężczyzn.

Kulminacyjny jęk: „Eros, otwórz mi niebiosa“ wyrzuca
w takim rwącym, okrzyku, z taką przerażającą na-

miętnością, że całe audytorjum zadrżało. Następnie złamana padła w objęcia Cecylji Ambry — wszyscy podbiegli na pomoc.

— Ta kobieta śpiewa całą swoją płcią — zawyrokował ktoś za plecami Lestrangle'a.

Był to Hektor le Tessier.

— Zauważyliście — odezwał się Valbelle, — że ona cały czas śpiewała jakiejś jednej osobie; wpatrywała się w jeden punkt.

Lestrangle i le Tessier zwrócili się w stronę, gdzie istotnie oczy śpiewaczki tkwiły jak wryte. W kącie sali zobaczyli stojącego przy ścianie Juliana Suberceaux, pięknego jak bohaterowie Balzaca, spokojnego, niemego i smutnego. Przy nim, prawie u jego nóg, siedziała śliczna Julka Avrezac, wznosząc ku niemu spojrzenie, zdala od matki i innych kobiet, ofiarowywała mu swoje tęskne źrenice, melancholijny, rozkochany uśmiech i wytworną nagość swoich rąk i ramion.

— To jest potęga być takim pięknym — odezwał się Hektor. — Gdyby on miał duszę człowieka pod tą pięknością, cały świat byłby jego.

W tej samej chwili Jakóbina de Rouvre pod rękę z doktorem Kraussem, otarła się o grupę trzech mężczyzn. Rzuciła Lestrangle'owi ironiczny uśmiech, a Hektora delikatnie poprosiła o przybliżenie się.

— Proszę się nachylić nieco. Jesteś pan za wysoki na moje poufałości.

Przyłożyła mu usta do ucha i szepnęła:

— Eros już ostatecznie pogwałcił pannę de Ucelli. Teraz pańska szwagierka będzie śpiewała. Niezmiernie się boi. Nie ruszaj się pan z tego kąta i zagrzewaj zapał. Maksymilian de Chantel działa na lewem skrzydle pod rozkazami Maud. Gotów bić, jeżeli nie będą klaskali!

— Proszę rachować na mnie! — odpowiedział Hektor.

I jednym z tych znanych malarskich pociągnięć sylwetkowych, narysował w powietrzu kontury dekolowanego gorsu dziewczęcego.

— Bardzo... bardzo — zauważył. Najzupełniej w kształtach. Nie przypuściłbym. Nareszcie... zupełnie piękne.

— Brzydal! — odpowiedziała Jakóbina. — Przeciżem jeszcze schudła w ostatnich czasach. Proszę zapytać doktora.

— Panna Jakóbina de Rouvre jest jedną z najbardziej nęcących mnie klientek — wyrzucił flegmatycznie amerykańnin z pod swojej ryżej brody.

— No? Widzisz pan? Doktor zakochany... I powie-dzieć, że on nam wszystkim jedno i to samo oznajmia...

W łobuzerskim podskoku oddaliła się od niego, a on przyzwyczajony do tego wszystkiego, pozostał obojętnie na miejscu — bezpośrednio wszczął z Hektorem rozmowę o mającej nastąpić katastrofie ministerjalnej. Tymczasem na estradzie pojawiła się Etiennetta Duroy pod rękę ze sławnym pianistą Spitzerem... Ani Hektor, ani Maksymilian nie potrzebowali przynaglać do oklasków: publiczność zawrzała na widok dziewczyny — gdy w swojej krynolinie, w wolantach, bufiastych rękawach, wyciętym gorsie, obramowana leciuchną gazą, drobna, nęcąca weszła na estradę. Cała zaróżowiona od wzruszenia — uderzyła w struny gitary — w takt akordów Spitzera. Wśród najcichszego milczenia zaczęła śpiew. Zrazu niepewnie od lęku, następnie coraz pewniej płynął jej głos czysty i drobniutki, jak szlachetne pociągnięcie smyczka po kryształowej powierzchni.

Śpiewała jeden z tych romansów, który się cudownie nadawał do drżących dźwięków gitary i do misternie przyciszonych tonów Spitzera — jeden z tych romansów słodkich, archaicznych, przywołujących na pamięć czasy Amy Robsart i Jany Eyre, czasu spinetów, ambulansów pocztowych, wschodomanji i cudownych dzieci. Szał

przeszedł przez salę, bito brawa, wołano, kobiety zarzucały ją kwiatami, kłóciły się o pierwszeństwo w wycałowaniu jej.

Paweł le Tessier przeprowadził ją do pokoju Jakóbiny, który zmieniono w kobietą garderobę. Rzuciła mu się w otwarte ramiona; ucałował ją starannie w oba policzki.

— Zadowolony?

— Moja artystka droga! Moja wielka artystka! Mam jednak nadzieję, że nie dla publiczności... artystka dla siebie.

Utonęli w spojrzeniu, w którym płynęła cała ich przyszłość.

— Dobry... dobry — szeptała dziewczę. — Tak mnie cudownie kocha... tak kocha. Taką dziś osamotnioną się czuję... To było takie straszne śpiewać tu z niepokojem o moją biedną matczkę... Dziś znów cierpiąca... Ale teraz idź pan... idź. Kompromitujesz mnie. Ktoś idzie.

Pani de Rouvre, prawie że piękna w czarnej sukni, Maud, pani de Ucelli, Reversierówny rozpoczęły gratulacje. Paweł ulotnił się.

Przy wejściu do halli spotkał Juliana de Suberceaux, który sam, samutki, przechadzał się zwolna. Paweł przeżywał jedną z tych chwil, gdzie człowiek cierpi na zbytek radości i szczęścia — chce kochać wszystkich i wszystko. Już wyciągnął serdecznie dłoń do Juliana, gdy go zmroziło jego suche spojrzenie. Poszedł dalej w stronę bufetu i natrafił na koniec rozmowy, którą Espiens i Valbelle rozweselali filistrów ze świata administracji.

— Słyszeliście panowie pierwsze słowo tej małej Duroy do swojego protektora Pawła le Tessier?

— Nie!

— „Oh, drogi mój, jakbym ja chciała, aby tu mama była. Ona, która dotąd tylko Zuzanną się szczyciła“.

Galerja zawrzała śmiechem: „Pocziwa Matylda!“ „Pocziwe Zuzaniatko!“ Paweł zawrzał potrzebą, zmiażdżenia tych durniów. Opanował się jednak. Po co wszczynać? Przecie to już znany fałszywy dowcip Paryża, tych oszczerców bez pobłażania, poniewierających uczciwością, rozkoszujących się upadkiem. „A jednak ja się z nią ożenię“ pomyślał. I jego pierś rozsadziła, męska żądza pomszczenia dziewczyny, wyniesienia jej ponad wszystkie oszczerstwa.

Bufet pomysłu Maud rozrzucono w postaci małych stoliczków w jadalni i buduarze sąsiednim — udekoro-
wanym jak normandzka karczma. Rozsiedli się parami, kto z kim wołał.

— Ostatni wyraz dzisiejszego gustu... kobietki i dziewczęta parami, czwórkami, bawią się w kokoty, pod pobłażliwem okiem mężów i ojców.

Tak mówił Aaronowi Hektor le Tessier — a tamten swoim mopsiem wejrzeniem szukał Maud wśród tłumu.

— Nie widział pan przypadkiem panny de Rouvre? — zapytał przemykającego Lestrangé'a.

— Szukam jej. Jakóbiny, tak?

— Nie, nie Jakóbiny; Maud?

— Aa! Maud. To trzeba być tak naiwnym, jak pan, aby się kłócić o nią z jej przyboczną strażą. Widziałeś ich pan. Obadwaj są zabawni.

— Tak jest — rzekł poważnie Hektor — zabawni, ale jest obawa o dramat.

Bankier zawołał w tej chwili:

— Dramat? Czyś go pan widział w dzisiejszym świecie. Już niema namiętności, są tylko apetyty. Nie-
masz zawiści, jest tylko nienawiść.

— To jest pańskie zdanie? — zapytał Hektor najpo-
ważniej pod słońcem.

— Ano... tak — odpowiedział bankier, wyczuwając ironję.

Do bufetu wpadła pani Ucelli, nawołując pijących.

— Chodźcie! su! su! Na salę! prędeż! Panna Ambre będzie śpiewała piosenki końca wieku, te same, które przed księżną śpiewała. Prędeż! Cudowność! Zaczyna!
— No prędeż-że!

W istocie fortepjan zagrał na nowo w halli. Każdy podążał na miejsce. Przy akompaniamencie pani de Ucelli młoda śpiewaczka zaczęła jedną z tych fantazyj komiczno-niewesołych, które za kilka lat naszym następcom wydadzą sobie niewątpliwe świadectwo głupoty. Przyjaciółka księżny, jak przepis nakazuje, śpiewała bez ruchu, bez gestu, prosta i drągowata, ani jeden mięsień nie drgnął jej w twarzy, usta tylko rytmicznie otwierały się i zamykały.

Jak przepis nakazuje, oklaskano ją: pani de Ucelli dała znak. Panna Ambre zeszła z estrady, jak przepis nakazuje, bez ukłonu, spokojnie, a włoszka, tymczasem wzburzyła klawiaturę cudowną warjacyj. Rozpoczął się przepisem nakazany antrakt. Maud i Jakóbina użytkowały go na przyzwanie i zgrupowanie wszystkich młodych panien, które w tej chwili powstały z miejsc.

— Cóż to takiego? — zapytał panią de Reversier doktor Krauss.

— Panny wychodzą. Tak przepis nakazuje u nas, gdy Bruant albo Mallet zaczynają śpiewać. Dla przyzwoitości.

— Istotnie! — mruknął Krauss.

Z-uśmiechem patrzył na ten różnobarwny sznur swoich dobrych znajomych, wychodzących ze sali pod komendą panien domu, w towarzystwie kilku mężczyzn fachowych, biegłych w panieńskim flircie: Lestrangle'm, Hektorem le Tessier, malarzem Valbellem, który nie tracąc czasu, obrzucał tłustemi głupstwami Dorę Calvell.

Wychodzącą gromadkę pożegnano śmiechem i oklaskami. Tuż za progiem Jakóbina zabrała głos:

— No, a teraz do naszych poufałych pikanteryj! Nie-winności stało się zadość.

Rozbawione towarzystwo pod wodzą Maud jasne od sukienek, uciekło do tego saloniku, gdzie podczas symfonii Borodino spotkali się Lestrangle z Jakóbiną.

Było ich z piętnaście, z których dziesięć ładnych, inne, z wyjątkiem dwóch, trzech upośledzonych — co najmniej wytwornych i w dostatecznej mierze wyzywających. Zamknięte sam na sam z tymi panami, dobrymi przyjaciółmi, zaufanymi powiernikami we wszystkich zakulisowych gawędach, rozbijały swobodną muzyką, dobrze im znaną, rozgorzały pragnieniem zaimponowania tym mężczyznom, których zdołały odciągnąć od mężatek nawet. Łechtało im nerwy to współzawodnictwo.

Maud wzięła pod rękę Jankę de Chantel, którą ta muzyka, to światło, wreszcie doza szampana, wlana do gardła przez Luc Lestrangle'a, rozogniły trochę i która mimo prowincjonalnej tualety odznaczała się swoją figurą, bogactwem swoich włosów, swojemi oczami świętej.

Janka zapytała wprost:

— Dlaczegoście nas wyprosiły ze salonu? Co tam będą robić?

Valbelle przyłapał pytanie w biegu:

— Prąd elektryczny puszczają; panowie biorą panie na kolona i całują się, ile kto chce. W Paryżu to jest ogólnie przyjęta zabawa, ale trzeba być mężatką.

— On żartuje, dziecino — powiedziała Maud, całując ją w czoło. W istocie zaś dla tego, że teraz zwykle na koncertach śpiewają rzeczy rubaszne, więc dla nas panienek przyzwoiciej jest wynieść się.

— To, co będą śpiewali, jest zgoła nie rubaszne — zauważyła Julka Avrezac, niezadowolona z rozłaki ze Suberceaux. Cecylia recytowała mi program: „Heloise et Abelard“, „le Fiacre“, „Stanse“ Ronsarda... Umiem to wszystko na pamięć.

— Ja także — zapewniła Marta Reversier. I inne: Dora Calvell, Magdalena Reversier, Jakóbina, popisywały się wśród szczerego śmiechu — ja także, ja także. — Ja znam „Fiacre“ i „Stanse“ Ronsarda, dopowiedziała młodziutka siostra pani Duclerc — ale nie znam „Heloise et Abelard“. Nigdy mi brat nie chce zaśpiewać. To musi być ciekawe.

— Chcecie posłuchać? — zapytała Jakóbina.

— Tak! tak!

— A więc słuchajcie!

Wskoczyła na taburecik i rozpoczęła, zanim Maud, niezadowolona z tego, zdołała ją ściągnąć. Z nieoczekiwanym talentem deklamacyjnym podkreślała kupletową zawartość. Zagłuszyli ją oklaskami panowie, podnieceni do żywa zwłaszcza tym kontrastem, jaki się wytwarzał między drastycznością a ustami, które wypowiadały kuplety.

A te pół-dziewice, wstrząsane śmiechem, rozdenerwowane, ślaniały się niedbale na mężczyzn.

Luc Lestrangle przybliżył się do Janki de Chantel. Lśniło mu oko. Czytał niemię wrażenia, jakie się odbijają przy tych alluzjach na jej niewinnej, myślącej twarzy. Ale tylko uśmiech zadowolenia i niezrozumienia rozplýwał się na wargach dziecka.

— Brudny prostak — pomyślał Hektor, patrzący nań. I ten pobłażliwy na błędy swoich czasów sceptyk, pierwszy raz uczuł wstręt do roli zawodowego okobieciania dusz dziewczęcych. Uczuł może dlatego, że ofiarą profesji mogła paść ta, która bezwiednie zaczynała mu być drogą.

Jakóbina wśród brawa zakończyła ostatnią zwrotkę. Luc Lestrangle zapytał wprost pannę de Chantel:

— No i co pani myśli o tej piosence?

— Bardzo ładna — odpowiedziała najzupełniej szczerze i naiwnie. — Jakóbina śpiewa ją bardzo dobrze.

— Istotnie trudno bardziej abstrakcyjnie powiedzieć o rzeczy niecenzuralnej.

Janka splonęła. Nie zdając sobie dobrze sprawy, czego od niej chcą, wyczuła jednak zamiar sprowadzenia jej myśli na złe tory. Był to ten instykt dziewicy, który ją ostrzega przed miłością wyłącznie zmysłową: lęk. I w tej chwili zawstydziła się swoich rąk, swojej szyi, piersi obnażonych. Odruchowo pragnęła podpory, ucieczki. I pierwszy raz zdała sobie sprawę z tego, gdzie jest, kto ją otacza. Było to straszne wrażenie: wrażenie dziewicy chrześcijańskiej w domu Suburry.

Luc Lestrangle, z natury nieświadomy takich uczuć, ciągnął dalej przygłuszonym głosem. Od piosenek i drastyczności zręcznym rzutem kilku komplementów przeszedł do przedmiotu, który umiał na pamięć od ciągłego powtarzania bez odmiany każdej dziewczynie, gdy chciał jednym zamachem działać na przyjaźń, nerwy, fizyczną podniętą.

Widzi pani tę srogość stosunków paryskich: spotykamy się tu dzisiaj — przypadek zdarza, że mówimy po przyjacielsku, przez chwilę mogę roić, że pani tylko do mnie należy, do mnie — taka piękna, ja marzę o tej rozkoszy pieśczoł, którą pani kiedyś... i naraz rozstaniemy się, aby się może już nie zobaczyć. Inny posiędzie ten skarb, inny się wpatrzy w te oczy, inny posiędzie to czoło, te usta i to wszystko, o czym można marzyć...

— Panie! — wyszeptwała Janka.

Czuła, jak oko Lestrangle'a, rozdziewa ją, wdziera się za jej stanik, suknię... Czuła, że słabnie, a on mówił dalej — sam rozgorzały:

— Nie ja będę tym człowiekiem, ale nikt mi nie zabroni marzyć o pani, patrzeć na panią i strzedz. Ja muszę kochać te moje rojenia, bo w nich mogę panią widzieć taką, jaką chcę. Wszystko to, co jest najbardziej uszczęśliwiającego w pani, tajemnego, ja mogę wtedy mieć i nic w pani niema wtedy utajnego, czego bym...

Wiedział, że przy tem zdaniu każda mu drżała, jak w uścisku. Tym razem jednak nie zdołał go dokończyć. Hektor le Tessier podszedł i przerwał zapytaniem:

— Czy pani nie chce, abym panią zaprowadził do matki?

— O tak! — zawołała z największem podziękowaniem w oczach.

— Ale, mój drogi Tessier!

Hektor spojrział mu prosto w twarz:

— Służę ci w tej chwili, mój drogi.

Scena ta zanikła zupełnie w hałaśliwem wdarciu się wszystkich panien do halli. Koncert ukończono, krzesła ustawiano wzdłuż ścian — przygotowywano do balu. Tłum wtańgnął do bufetu. Janka nazbyt wzruszona szła bez słowa pod rękę z Hektorem. Przebrnęli przez dwa salony, spotkali Maksymiliana.

— Nie wiesz gdzie jest mamusia? — zapytało dziewczę.

— Odpoczywa w pokoju pani de Rouvre. Chcesz, to cię zaprowadzę?

— Pan le Tessier mnie przeprowadzi.

Na korytarzu przez chwilę zostali sami.

— Dziękuję panu. Zwracam panu wolność, powiedziała Janka. — Dziękuję panu z całego serca.

Wyciągnęła doń rękę. Hektor lekko, delikatnie przysunął tę rękę do swoich ust i ucałował końce rękawiczki. Dziewczyna zniknęła, a on jeszcze chwilę stał na miejscu, gdzieś w kątach oczu kręciła mu się łza. Zaczął wreszcie pod nosem.

— No i jakie bydle ze mnie. Wzrusza mnie to, że uchroniłem przed tym brudnym idjotą niewinną dziewczynę. Ale że ta gaska jest biała, to jest.

A coś się śmiało w nim i śpiewało, mimo ironję słów.

W „karczmisku normandzkim“ oko w oko utknął na Lestrangle'a. Z oczu jego wyczytał całą błyskotliwą blagę.

— Jestem na twoje usługi.

— Usługi? Pojedynek? Za to wyjście przed chwilą? Chyba żartujesz! Nie czuję się dotkniętym, a na śmiech wystawiać się nie mam ochoty. Zupełnie nie wiedziałem, że panna de Chantel i ty...

— Panna de Chantel nie ma ze mną nic wspólnego. Zostaw ją w spokoju. Zresztą masz rację. Osobiście nie żądam od ciebie niczego i nie mam powodu. Nie jestem od ciebie więcej cnotliwym i na swój rachunek wyzy-skuję niewinność młodych pańienek. Jednak, choćby dla tego, że to tak rzadko da się znaleźć prawdziwą niewinność, należy ją szanować. Wszystko ci to jedno, przypuszczam. Ale już tyle ich do diabła okobiecałeś, że nie wiem, jak cię to może bawić.

— Bawić? Ani trochę — odpowiedział zasepiwszy się Lestrangle. — Wszystkie te nerwowe łobuziaki tyle mnie zajmują i tyle o nie dbam, co o jednego papierosa, ale co mnie obchodzi, to satysfakcja posiadania, rozumiesz mnie widzieć je w stanie miłości za moją przyczyną. Potem niech się z nimi dzieje co chce, niech wychodzą za mąż, zostają pannami — wszystko mi jedno. Krauss nazywa mój stan „newrozetką“. Zbyteczne tu jest zdrobnienie słowa. Ja cierpię istotnie... jak monoman. Jedną się na tem poznała, przyłapała mnie, no i muszę się żenić.

Ten człowiek był szczery i pokonał Hektora tą swoją niespodziewaną otwartością i swoim „stanem“.

— No więc... niczego już nie chcę od ciebie, mój drogi.

Uścisnęli sobie dłonie z tem łatwym przebaczeniem koleżeństwa, które usposabia pobłażliwie jednego paryżanina względem drugiego.

— Słówko jeszcze — dodał le Tessier. — Z taką reputacją pod psemy, jaką masz, jakże ciebie matki dopuszczają do córek i jakiż jest stosunek tych córek do ciebie,

który się nigdy nie zakochasz, ani ożenisz — a one o tem wiedzą?

— Matki były by pomartwione, gdyby taki światowiec, gardził ich córkami. A co się tyczy naszych najdroższych pół-dziewic, jak je nazywasz, to tajemnica najprostsza pod słońcem: daj jej dwadzieścia niewinnych powiastek i wsuń nieznacznie między nie takiego Portier de Chartreux, możesz być pewny, że go naprzód przewertują. Otóż ja jestem taki Portier de Chartreux, oprawny w sukno i batysty. Każda mnie chce czytać.

Akordy walca przerwały im rozmowę. Popchnięci przez jakąś grupę, która spieszyła do tańca, powrócili do halli. Mały już obsiadły ściany. Pani de Chantel i pani de Rouvre zacisnęły się w kącie tego olbrzymiego salonu, pod zasłonę z draperyj, rodzaj saloniku, gdzie gospodyni mogła jakby przyjmować gości, zasłonięta od uderzeń wirującymi spódnicami i nadeptywań tancerzów.

Lestrangle poszedł uchwycić Jakóbinę, pociągnął ją w wir; widziano tylko jego wasy żółte, nachylone nad rudawym karkiem, tuż, tuż, i nie można było odróżnić, czy ją całuje, czy szepce do ucha, słyszano tylko jej śmiech gardlany, jakby gołębiczy.

Valbelle zdradził Dore Calvell: walcował z Martą de Reversier, bladą jak woskowa figurka. Pani Duclerc zanurzyła się w ramiona Henryka Espiensa. Hektor w odosobnieniu, oparty o futrynę drzwi, zapomniawszy już o swoim świętem oburzeniu z przed chwili, wpatrywał się ze zadowoleniem w ten natłok par, wybierał wzrokiem kobiety, ich obnażone piersi, miękkie barwy kostjumów. Patrzał z lubością na swoje dwudziestoletnie koleżanki światowe: ich wdzięk, ruch, przewrotna naiwność, sztuczna świeżość, zaostrzały jego smak bywalca. „Przecie zadowolone“, pomyślał. Przez dwie godziny muzyka jeździła im po nerwach, wzniecały je pożądliwe prośby miłosne pani Ucelli, sentymentalne zwrotki Etiennetty, szampańska pianka drastyczności

w wierszykach Jakóbiny, a nadewszystko te propozycje, dawane półgłosem, te spojrzenia panów. Teraz są w zenicie pragnienia, z zaschłym gardłem, wilgotnymi oczyma, drżące całe; w samą porę rozpocznie się walc, aby dać zaspokojenie tym drogim zmysłom. Bawcie się, ptaszyny ...

— No i co u pana słychać, drogi panie. Szukam cię od dwóch godzin i nie mogę znaleźć.

Był to Maksymilian de Chantel. Hektor uściśnął mu rękę z uśmiechem.

— A pewny pan jesteś tego, żeś mnie szukał? Bo ja cię widziałem kilka razy, ale nie zdecydowałem się przeszkadzać ci.

— Ah, przyjacielu — odpowiedział Maksymilian — jaki ja jestem szczęśliwy. Chodźmy.

Pociągnął go za sobą. Potrzeba mówienia przemogła w nim.

— Przyjechałem do Paryża wczoraj rano — mówił — i czy pan uwierzy: całe dwie godziny chodziłem po ulicy Kleber. Sam nie wiem, dlaczego byłem niespokojny, smutny. Wie pan, nie dużo brakowało, abym nawrócił od samych drzwi. Zadzwoiłem. Wprowadzono mnie. Drogi mój! Znalazłem Maud jakąś inną. Ach jaki ja byłem szczęśliwy! Nie mogliśmy dużo mówić, wiecznie ktoś przeszkadzał; alem ile razy szukał jej oczu zawszem je znalazł na sobie, takie kochane, takie moje, poważne, łagodne.

— „Circe!“ — pomyślał Hektor. — „Jak ona mi zmieniła mojego Chantel’a. Bohater romansu. Wszystko mi jedno, ale go więcej lubiłem z tą srogą zazdrością.“

Głośno zaś powiedział:

— Ale w kwestji poważnej, jakże daleko zaszło? Cóż odpowiedziała?

— Życie moje należy do niej. Niech z niem robi, co jej się tylko podoba. Nikogo w świecie nie kochałem więcej od niej. Wyznałem jej to wczoraj.

Przerwali. W ogólnym szumie naraz jakby wionęła pustka — nawet szelest tańca po posadzce ucichł. Hektor z przyjacielem poszli zobaczyć, co się dzieje. Tańczyła Maud z Julianem de Suberceaux. Pary ustępowały z drogi, tak, że teraz po całej sali walcowali tylko oni, a podziw i uwielbieni rośli; teraz dosunęli się do zagłębienia halli: wciąż patrzą na nich.

Hektor spojrział na Maksymiliana: nic nie mówił, ani słowa, ale twarz mu zbladła straszliwie.

— Chwała Ci Panie! Istotny Chantel nie zamarł zupełnie — mówił sobie le Tessier. — Takim go lubię: okrutny i zazdrosny.

Zazdrość Maksymiliana nie wymagała komentarzy: ci dwoje w walcu robili wrażenie stworzonych dla siebie. Czuł każdy, że muszą się kochać. A jednak taniec ich był zupełnie przyzwoity: żadnych przyciskań, żadnych pieśczoł walcowych, które z zamiłowaniem uprawiały Jakóbina, Dora, Julka Avrezac, Reversier'ówny. Suberceaux i Maud tańczyli w pewnym oddaleniu od siebie; ona dotykała się tylko kibicią jego ręki i rękawem sukni, który w nieładzie spływał mu na ramię. Druga para rąk ledwo się dotykała końcem rękawiczek. A jednak symetrią, harmonją ruchów wywoływali wrażenie sennego widziadła. Ustami, zdawało się, nie ruszali wcale, a jednak rozmawiali.

— Zadowolona jesteś ze mnie? — zapytał Suberceaux z cichą ironią.

— Na pół.

— Zachowuję polecenie: nie niepokoję cię.

Jesteś kapryśnym dzieciakiem.

— Nie odczepiałem się prawie od Julji Avrezac.

Jak ona cię jadła oczami, biedaczka; co prawda to i inne. La Ucelli bladła na estradzie. Ale też dzisiaj jesteś prawdziwie piękny.

Musnęła po jego twarzy takim rozkochanem spojrzaniem, że blada twarz rozpromieniła mu się przyply-

wem krwi. Przycisnął ją do siebie niepostrzeżenie przy zakręcie salonu.

— Ja cię uwielbiam — szepnął. Życie moje masz, rób z niem co ci się podoba.

— A ja cię kocham. Pragnę ciebie! — odpowiedziała. Ile razy cię zazdrość będzie kusiła, wspomnij o naszym pokoju na ulicy Berne. Ale teraz uważaj, patrz na nas.

Jakby na wspomnienie tych płomiennych pieśczoł, na chwilę stracił panowanie nad sobą, ręka zacisnęła mu się miłośniczo naokół stanu Maud. Była to jednak tylko sekunda, opamiętał się. Zamierał walc.

— Odprowadź mnie na miejsce. Zobaczymy się jutro, chyba pogorszenie u matki Etiennetty nie pozwoliłoby nam.

W jednym ruchu, ale nie gwałtownie, zatrzymali się na miejscu przy zadrzewionym saloniku matron. Julian uklonił się danserce — odpowiedziała mu ukłonem. Nikt, nawet przenikliwy Hektor, nawet kłany zawiścią Maksymilian, nie przypuściłby z ich tańca, że przed chwilą obiecali sobie schadzkę.

Maud chwilę spoczęła przy matce, a następnie, gdy muzyka rozpoczęła przygrywkę kontredansową, wstała i przeszła całą hallę wprost do pana de Chantel.

— Może pan zechce podać mi rękę i przeprowadzić mnie do buduaru pań? Chcę z panem pogawędzić.

Zawahał się, ale podał ramię posłusznie bez słowa. Oddalili się i przerysując się przez tłum, dobrnęli do owego buduaru, który przytykał do pokoju Jakóbiny. Maksymilian zatrzymał się.

— O nie! Dalej jeszcze, chcę z panem pomówić nieco — odczewała się.

Przeszli przez krótki korytarz i doszli do jej pokoju. Był to rodzaj obszernego kąta o trzech oknach, wytwornie umeblowanego, z egzotycznym kwieciami, porozrzucanem na podłodze.

Maksymilian podążał za nią ze ściśniętym sercem. To była kaplica jego marzenia, ten kątek domu. Tu ubiera się, odpoczywa, śpi. Czy pod wpływem tego wrażenia, czy pod wpływem rodzaju perfum, kombinowanych przez Maud, Maksymilian uczuł jakby zawrót głowy, to co uczuwa pijany przy zetknięciu się z falą świeżego powietrza. Przepadła gdzieś i ta zazdrość z przed chwili.

Maud zaczęła poprostu:

— Tu będzie spokojnie. Nikt nam nie przeszkodzi. Nie zgodziłabym się nigdy oddawać swojego kącika dla wygody obcych, jak to zrobiła mama i Jakóbina... nawet na bal.

To wyraźne odróżnianie go od innych gości, rozrzewniły Maksymiliana. Siadł po jej zaproszeniu w fotelu, ona zajęła drugi. Oddzielał ich stoliczek wypełniony przyborami toaletowymi; srebrna lampa ze srebrnym abażurem oświetlała małą część pokoju, reszta niknęła w ciemności.

— Jak pan widzi dotrzymuję słowa: obiecałam panu chwilę rozmowy sam na sam. Tu mamy spokój, a jeżeli opóźniłam tę chwilę pogawędki, to nie z kaprysu. Nie chciałam mówić z panem o rzeczach ważnych dla nas obojga przedtem, niż mnie pan zobaczy w otoczeniu tego świata, co mi jest bliski.

— Ależ... — przerwał Maksymilian.

— Proszę mi pozwolić wytłómaczyć się. O ile zauważyłam, patrząc na pana, to zdaje mi się że pan wierzy w to, iż mnie pan kocha.

— Oh, Maud!

— Uraża pana moje zdanie? No więc niech będzie: kochasz mnie pan po swojemu. Nie mów pan: nie. Masz pan zamiar poślubić Paryżankę, kobietę światową, należy się, abyś ją widział pośród tego świata, którego nienawidzisz. No i cóż? Przed chwilą zwątpiłeś we mnie dla tego, że tańczyłam z przyjacielem lat dziecińczych?

Wytrzymała chwilę pauzy, a Maksymilian spuścił oczy. Wydało mu się, że nie wart już jest przebaczenia, a przecież wymówka była taka dobra, taka...

— Zważyłeś pan we mnie za przetańczenie walca z moim gościem, teraz gdy nie masz do mnie żadnego prawa; gdy będziesz je miał, co się wtedy będzie działo? Rozumie pan teraz dlaczego się waham mieć cię za swojego pana?

Maksymilian cicho odpowiedział:

— Ja kocham panią... tak kocham, że pani nie może nawet pojąć. Ale ja się boję tego świata, który cię otacza.

— Świat który mnie otacza? Dobrze pan wiesz, jakie mam o nim zdanie. No, ale nie jesteśmy tutaj panami majoratu w Poitou, jesteśmy w Paryżu, gdzie nie mogę nie widzieć Paryża. Zresztą, jako mężatka będę zależała od męża, tak jak dzisiaj zależę od rodziny. Ale ja nie chcę, aby ten mój mąż, wahał się, biorąc mnie za żonę. Cóż zrobić? Może to moja próżność, ale ja chcę, aby mnie wzięto za żonę z oczami zamkniętymi.

Powstała przy tych słowach. Tak była wyniosła w tej chwili, że Maksymilian uczuł się wobec niej czemś drobnem. Zauważył, że mógłby ją stracić i błysk rozpaczliwej desperacji przeszył jego serce i przekonał go, do jakiego stopnia ta kobieta była mu niezbędna do życia.

Powstał również i wyszeptał.

— Ależ ja nigdy nie myślałem nic podobnego. Szanuję panią i wierzę, ufam. Na wszystko cię błagam nie odpychaj mnie.

— Słówko jeszcze — przerwała Maud nie łagodząc surowości spojrzenia. — Powiedziałam przed chwilą: moje życie z mężem, będzie zależało od niego. Gdy jednak mój mąż przymusi mnie do życia zdala od świata, będę posłuszną, prawda, ale nie wiem czy będę szczę-

śliwą. Jedyne moje pragnienie: środowisko sztuki i inteligencji. Zdaje mi się, że to tylko mogę mieć w Paryżu. Jeżeli mnie wywożą z Paryża mogę się czuć tak osieroconą, jak ptaki wywożone z naszych kolonij, które tu marnieją. Mogę nie być szczęśliwą, a pan wiesz, gdy jedno cierpi, musi cierpieć i drugie. Rozważ to pan dobrze, drogi panie — dodała, przyciszając pieszcząco głos.

Pozwoliła Maksymilianowi wziąć w ręce swoje dłonie. Nie śmiał spojrzeć na nią i tylko tym głosem serca, który się w sercu echem odbija, zaczął:

— Twój jestem, bez zastrzeżeń. Niewolnik, sprzęt. Jeżeli pani odmawia zostać moją żoną, powiedz. Nie mam siły na niepewność. Jeżeli mi pani odmówisz, umrę.

Podczołgnął się do jej nóg, przyłożył jej dłonie do twarzy, nie odrywała ich.

— Ja tak panią proszę! Ja tak proszę!

Odpowiedziała:

— Wymagam od pana najzupełniejszej wiary we mnie, takiej, jaką pan masz w matkę i siostrę.

Powtórzył jak przysięgę:

— Mam wiarę w panią, jak w siostrę i matkę.

— Wtedy Maud podniosła się zwolna. Nie śmiał spojrzeć na nią, wyczytać w oczach znak zgody.

Ona zapytała:

— Matka i siostra. Czyś pan mówił już co z niemi o możliwości małżeństwa ze mną?

— Matka i siostra są istoty proste, pani im trochę imponuje. Jeżeli się czego boją, to tylko o panią, żeś zajęta takim jak ja prostakiem. Dotąd nie pytały mnie w tej sprawie; przypuszczam jednak, że gdy powiem, obiedwie zaczną kochać i szanować tę, którą wybrałem za żonę.

— A więc jutro — zaczęła Maud zwolna — pani de Chantel przyjdzie mamę prosić o moją rękę. Ja ją panu oddaję.

I gdy Maksymilian od niespodziewanego szczęścia, pozostał bez ruchu na miejscu, ona lekko, nachyliła się doń czołem. Ledwo je dotknął ustami, schwycił ją w pół, przyciągnął i uścisnął. Na usta darły mu się miłosne słowa. Tym razem nie wydarła mu się z objęć: nadludzkim wysiłkiem zapanowała nad nerwami, zdławiła wstępt, który ją opanował w pierwszym narzeczeńskim pocałunku, zamarło w niej wszystko, gdy pomyślała o przyszłości — ale zapanowała nad sobą.

Powrócili do halli, do zielonego zakątka, w którym się teraz zebrali najbliżsi. Pani de Chantel siedziała przy pani de Rouvre.

Godziny mijały; ucichło w sali; była to chwila odpoczynku przed kotylionem. Jakóbina i Suberceaux, którzy mieli go prowadzić, poszli przygotować przybory taneczne.

— Patrz pan teraz — odezwał się Hektor do Maksymiliana. — Wyborna chwila do zmierzenia stopnia niewinności pańienek. Tamte odrazu pochowały się po kątach i zakamarkach ze swoimi tancerzami: Dora Calvell, siostra pani Duclerc, Reversier'ówny. Dla nich kotylion jest tylko przygrywką do odosobnienia i flirtu. Te, które wytrwale walczą na otwartem polu, to dzielne dziewczęta. Należy się szybko z nimi żenić, póki nie zaczną tęsknić do kącików, bo prędzej czy później zatęsknią.

Chantel śmiał się roztargniony. W tej chwili Józef, lokaj przeszedł przez pokój i zbliżywszy się do Maud, powiedział jej coś na ucho. Gdy skończył, Maud zapytała głośno.

— Karety stoją?

— Oh, naturalnie.

— Niech jedna zajedzie.

A sama pobiegła do Etiennetty i szepnęła jej coś do ucha. Dziewczę zbladło; wyszły zaraz; za nimi Paweł

le Tessier. Goście nie zauważyli niczego, ale w zakątku pani de Rouvre przerwano rozmowę.

— Co to takiego? — zapytała gospodyni Jankę de Chantel. — Pani słyszała?

— Nie, proszę pani. Zdaje się, rzecz się tyczy matki tej panienki. Gdy panna Maud powiedziała jej, coś pocichu, odpowiedziała: „Ach, Boże, mama..“

— Złe nowiny — odezwał się Hektor.

Maud powróciła. Zapytywano ją.

— Tak, z matką jej bardzo źle. Sąsiadka przyszła po Etiennette.

— Oh!... jej matka! — zawołała Janka. — Ależ to okropne, wśród balu! I ta młoda panienka poszła sama.. Możebyśmy z nią poszły?

— Etiennetta nie sama opiekuje się matką — odpowiedziała Maud. — Jest służąca, jest siostra miłosierdzia i ta sąsiadka, która jej tu szukała... Na nic byśmy się nie przydały. Nie chciała nawet, aby pan Paweł jej towarzyszył.

Julian de Suberceaux udekorowany wstążkami pojawił się z Jakóbiną bijąc w tamburino. Orkiestra podchwyciła modnego walca z operetki. Za nimi podążyły następne pary, bijąc w tamburina. Gdy Julian podszedł do Maud z przyborami, ona wstała, zatrzymała go. Półgłosem, ale tak, by ją słyszał Maksymilian, wyrzekła:

— Nam nie trzeba przyborów, nie chce nam się tańczyć, mnie i panu de Chantel.

Ciszej, tym nieartykułowanym głosem, który nie ruszając ustami, używali do rozmowy wobec ludzi i poza ludźmi, dodała:

— Matka Etiennetty umiera. Niemożliwe u niej. Przyjdę na ulicę de la Baume jutro rano, chcę cię zobaczyć.

Ukłon. Julian zniknął. Maud siadła przy Maksymilianie, który ją obrzucił spojrzeniem pełnym podzięk, za poświęcenie dla niego przyjemności tańca.

III.

Piąta rano była, gdy Etiennetta wróciła do domu w towarzystwie sąsiadki, pani Gravier. Ciemna noc.

— Pani lepiej cokolwiek — zwiastowała służąca, otwierając drzwi. — Usnęła.

— Doktor jest? — zapytała pani Gravier.

— Jest.

Etiennetta, zrzuciwszy swój płaszcz balowy na pierwsze z brzegu krzeselko, pobiegła do pokoju. Spotkała się z doktorem, wychodzącym stamtąd. Młody jeszcze człowiek, brunet, krępy, z wypomadowaną czupryną, czarną brodą. Okiem amatora przebiegł po pięknej, dziewczynie, białej, różowej.

— Czy ta pani jest córką...? — zapytał szarytkę, która mu dała ruchem głowy odpowiedź: „tak“.

— Widziałem pacjentkę — zwrócił się do Etiennetty. — Na razie usnęła. Pani zapewne wie, że wypadek jest poważny... Serce bardzo osłabione... Zresztą nie mogę orzec nic stanowczego.

— A więc, doktorze — przerwała dziewczyna z niecierpliwością, niema nadziei? Proszę mi stanowczo powiedzieć. Chcę wiedzieć.

Zawahał się na chwilę, myślał.

— Widzę, że pani jest mężną... więc tak: to koniec. Jestem tutaj zupełnie bezużyteczny. Matka pani, na

szczęście, nie będzie bardzo cierpiała, spokojnie wszystko przejdzie. Tak.

Etiennetta stała, nic nie mówiła. Przyływ wzruszenia zatamował jej w gardle, ścisnął serce.

— Czy mam iść po księdza? — zapytała pani Gravier.

— Tak, proszę.

— Pani... — wyrzekł doktor.

Uklonił się, jeszcze raz rzucając spojrzeniem na świeży błysk obnażonych wdzięków. Etiennetta weszła do pokoju.

Matylda Duroy istotnie spała, jak mówił lekarz. Na stole stojąca lampa jasno oświecała jej głowę, ułożoną na poduszkach z założonemi w tył rękoma. Twarz jej ujęta w kontury białego nocnego czepka, z pod którego wysuwały się kosmyki siwych, startych z blond farby włosów; była mizerna, cera przypominała, bezkolorowy wosk. Gorączkowy ruch twarzy ożywiał jej rysy, zwłaszcza powieki i usta — a z całej tej twarzy wiało wrażenie zniekania! Rodzaj nieartykułowanego rżenia wymykał się z pół-otwartych ust. Etiennetta wzięła w swoje ręce grubą, krótką rękę matki i przyłożyła do czoła.

„Mama umrze“.

Etiennetta była rozpaczliwie smutna, ale łzy nie cisnęły się jej do oczu. Uczuła czyjaś dłoń, położoną na ramieniu, obróciła się. Pani Gravier:

— Pójdę do kaplicy na ulicy de Turin. Dochodzi szósta. Niedługo wstana.

Wzięła pod rękę Etiennettę, i wyprowadziła ją z pokoju. Szarytka potężna, sucha, czarna kobieta, odezwała się do niej:

— Pomogę pani przebrać się. Trzeba zaraz... Gdyby ksiądz tak panią zobaczył...

Etiennetta teraz dopiero spostrzegła, że była w balowej sukience. Prędko zrzuciła stanik i gorset, została

tylko w spódniczce, na którą narzuciła szlafroczek. Poszła spocząć na łóżku. Utkwiła wzrok w zamkniętych powiekach matki — czekała. Chora spała.

A zgon już szedł poprzez sen, oddech rwał się w płucach i gardle. Usta chwytaly powietrze coraz szybciej, coraz rozpaczliwiej silyły się na rozmowę. Co mówiły one? Teraz wzmogły się w artykułowane dźwięki. Etiennetta wsłuchiwała się. Naraz odczuła, że zaczyna rozumieć, tak jest rozróżnia wyrazy: „pieniądze... umarli...“ później tylko części słów, cząstki imion jej córek: „Etie... Zuz...“ Potem zaczęły się te imiona mieszać z imionami dawnych kochanków: „Maurycy... Asq... Berly...“ Następnie zdanie bez ładu: „Nie chciała... nie chciała powiedzieć, dlaczego odjeżdża...“ Głos jej na nowo zaczął rzeźić niezrozumiałymi jękami, długo, długo... Etiennetta męczyła się okropnie: „Ja nie płaczę, dlaczego?... Przecież ja mam żmartwienie...“ Aby się zmusić do płaczu, zaczęła o sobie rozmyślać. „Sama jedna zostanę... Nikogo nie mam na świecie.“ I na tę pobudkę ludzkiego egoizmu istotnie łzy jej spłynęły do oczu. „Co ja będę robiła sama jedna na świecie...“ Figura i głos Pawła le Tessier przesunęły się przez jej myśl. „Tak bym go tu chciała mieć. Chciał iść, dlaczegom ja nie pozwoliła.“ Czuła dobrze, że z chwilą śmierci matki padnie w objęcia tego jedyne go przyjaciela, aby tylko ją bronił przed losem, aby tylko samej jednej nie zostawiał.

— ...Oh, mężczyźni, znam ja was!

To zdanie, wypowiedziane naraz zupełnie wyraźnie poprzez rzeźenie z ust chorej, uderzyło w Etiennette, jak śmierć, czy widziadło. Znała je dobrze, jako codzienne przysłowie biednej Matyldy. Była to gorycz rzemiosła. „Oh mężczyźni, znam ja was“. W śmiertelnym jęczeniu zdanie to zatraciło wyrazistość, stało się niekształtnem, postrzępionem, ale zrozumiałem dla Etiennetty, która się w nie wsłuchiwała i każdorazowo aż gdzieś w sercu

dusiła obawę: „oby tylko szarytka nie słyszała...“
Dziewczyna podeszła do drzwi i nastawiła ucho: szarytka chrapała. Wtedy wróciła do łóżka i ze słowem: „mamo“ chciała wziąć w rękę jeszcze drgającą dłoń, ale w tej samej chwili musiała ją wyrwać z krzykiem, bo dłoń ścisnęła jej palce, wpijając się w nie paznokciami. A straszliwe słowa jeszcze raz się powtórzyły: „Oh, mężczyźni, znam ja was!“

Zaciskając pięściami uszy, aby nie słyszeć, rzuciło się dziewczę na kolana przed łóżkiem i zaczęło modlitwę... Modlitwę? Była nabożna, jak wszyscy. Ostatnie dwa lata, w mitrędze życiowej zapomniała o wszystkim, nawet o pacierzu. Teraźniejsza rozpacz, strach przed osamotnieniem włożył w jej usta słowa modlitwy. „Zdrowaś Marya, łaskiś pełna...“

W pokoju szmer. Etiennetta oprzytomniała. Ksiądz w towarzystwie pani Gravier wchodzi do pokoju, przybliżył się do łóżka, bierze chorą za rękę:

— Słyszysz mnie dziecko?

Etiennetta wczuwa się wraz z księdzem w oddech, ale tylko jak echo, dla niej jedynie zrozumiałe: „Oh, mężczyźni, znam ja was!“

— Zapóźno mnie wezwano — surowo odzywa się ksiądz, siwy, niski, w eleganckiej sutannie.

— Usuń się nieco dziecię moje — rzekł do zalanej łzami dziewczyny.

Etiennetta odsunęła się w głąb pokoju, gdzie szarytka i pani Gravier już klęczały; ukłękła również i zaczęła się modlić. Ksiądz pół głosem mruzczał: Miseratur tui omnipotens Deus... Indulgentiam, absolutionem et remissionem peccatorum. Jego dysponowanie sepleniące i śpiewne łączyło się teraz z ostatniem charkliwym jęczeniem umierającej, coraz bardziej zduszonym i niezrozumiałem, a jednak Etiennetta i teraz rozróżniała, jak matka raz po raz, bez odpoczynku skarżyła się: „Oh, mężczyźni, znam ja was!“

Strasliwe słowo, którego nikt poza nią nie rozumiał. Jak ono jej łamało serce i na zawsze!

Skończywszy dysponowanie, ksiądz zmówił jeszcze krótką modlitwę za umierających, a następnie przywołał Etiennette i wyszedł z nią do saloniku. Tu odezwał się do niej surowo, jakby w gniewie za jej piękność.

— Dziecię moje, czy matka obserwowała praktyki religijne?

— Ależ... księżę proboszczu... tak, myślę... Codzień modliła się... rano i wieczór.

— Sakramentów nie przyjmowała?

Etiennette zawahała się:

— Nie wiem — odpowiedziała.

— Trzeba się modlić za nią, dziecię moje. Bóg jest miłosierny, ale tylko dla tych, co się modlą.

Po chwili dorzucił:

— Pani ma rodzinę?

Etiennette tak straszny zalał rumieniec, że ksiądz zrozumiał i przebaczył nawet fałsz w odpowiedzi! „Nie panie.“ Uznał za stosowne złagodzić rozmowę.

— Biedne dziecko, niech Bóg cię zachowa! Sama będziesz na świecie... Gdy ci kiedykolwiek ciężko będzie na sercu, przyjdź na ulicę Turin pytać o księdza de Rigny.

Pląając się w podziękowaniach, dziewczę wyprowadziło księdza do przedpokoju. Gdy wracała przez salon, usłyszała krzyk, wpadła do pokoju matki. Pani Gravier i szarytka klęczały przy łóżku i odmawiały już De profundis. Etiennette upadła obok nich i tym razem zalkała z głębi serca.

Tak została aż do chwili, gdy pani Gravier odezwała się:

— Trzeba przyjść do siebie trochę, moja droga pani, a to i pani zachoruje.

Sennie poddała się jej. Gdy już była na nogach, z zadziwieniem zauważyła, że ktoś podniósł stopy

i przez okna zajaśniał w pokoju różowo-radosny dzień wiosenny. Matylda z zamkniętymi oczami, uśpiona śmiercią, oblokła się w tem świetle jakąś powłoką zdrowia i życia...

Była już ósma rano. Idąc za natarczywą radą sąsiadki, Etiennetta piła odruchowo kawę gdzieś w końcu stołu. Do pokoju weszła służąca Urszula i poufale zaanonsowała:

— Ta panienka przyszła i pan Paweł.

„Tą panienką“ nazywała Urszula wytworną i tajemniczą kobietę, która od dwóch miesięcy stale się spotykała w pokoju Zuzanny z wytwornym i tajemniczym panem, którego znowu Urszula równie nieokreślnie nazywała: „ten pan“.

Etiennetta spłoneęła, uprzytomniając sobie swoją usłużność, żenowało ją to teraz w tej chwili.

— Co im powiedzieć, proszę panienki?

— Prosić.

Weszli: Maud i Paweł le Tessier. Oboje ucałowali jej oczy, zalane na nowo łzami.

— Moja droga!

— Biedne dziecko moje!

Siedli, biorąc ją pomiędzy siebie.

Urywanemi odpowiedziami Etiennetta opowiedziała historję nocy.

— I cóż ty teraz poczniesz? — zapytała Maud.

Odpowiedziała ruchem nieświadomości i bezpomocy.

— Posłuchajże mnie dziecko — odezwał się Paweł le Tessier. — Przyszliśmy z Maud do przekonania, że nie możesz tu pozostawać sama w tem pustkowiu i zaraz po śmierci matki. Więc proponuję ci, na co się już i pani de Rouvre zgodziła... O nie bój się... — szybko przerwał, widząc ruch odmowny ze strony dziewczęcia. — Nie proponuję ci żadnej pomocy, jakkolwiek jestem zawsze gotów, jak przystało na starszego brata..

Pani de Rouvre jedzie na miesiąc do Chamblais, do nas z Maud i Jakóbiną...

— Tak jest — dodała Maud — domyślasz się zapewne, z jakiej przyczyny. Niema innego sposobu dla opędzenia się od zawiści, na której nam nie brak. A zresztą... boję się Paryża... Chcesz z nami jechać? Prosi cię mama i ja. Nie było by racji odmawiać.

Nie odrazu odpowiedziała Etiennetta. Jej kobiecy spryt mówił: „Paweł więc myśli o ożenieniu się ze mną... A Maud boi się zostać w Paryżu ze Suberceaux. Ten plan wszystkiemu zadość czyni. Co mi szkodzi ze swej strony pomódz im.“

Ucałowała Maud:

— Zgadzam się i dziękuję ci.

A gdy Paweł ze swej strony przycisnął ją do siebie, uczuła się naraz tak wzmocniona tym uściskiem, że pomyślała o nim: „kocha mnie... mój prawdziwie kochany, mój drogi przyjaciel — tak czule, jak nigdy dotąd“.

IV.

Julian de Suberceaux wyszedł z balu zaraz po kotylnionie, w chwili, gdy przygotowywano do kolacji. Tak chciała Maud, rzuciwszy mu rozkaz: „Wracaj do domu jak można najwcześniej. Ja się nie spóźnię...“ Wiedziała, że tej obietnicy będzie posłuszny.

Piechotą szedł do mieszkania wzdłuż długich, cichych ulic. Na dnie tej goryczy, którą wyniósł z tej nocy, spędzonej tak blisko, a jednak tak daleko od Maud, osiadła jakaś złocista wesołość. Bo i któryż człowiek młody, zakochany i pewny miłości wzajemnej, mógłby być smutny w obliczu radosnego wiosennego poranku? A do tego myślał: „Ona przyjdzie“. Za wiele wzruszenia drgało przy tem w jego sercu, w jego krwi, żeby mógł marzyć o czem innym.

Noc panowała na ulicy de la Baume; opuszczone story, zamknięte żaluzje, schody spowite w ciszę, przytłumione światła. Noc była i w jego mieszkaniu: musiał budzić służącego, zatulonego w kołdrę, leżącego na kanapie w przedpokoju.

— Konstanty, zaświecić gaz w toaletowym gabinecie, wody letniej. Przygotować prysznic.

— Czy pan pójdzie spać?

— Nie, nie wiem. Zresztą proszę zrobić, com powiedział.

Konstanty odebrał od swojego pana laskę i kapelusz

i wprowadził go do salonu, ledwie, oświetconego dogorywającym światłem.

— Co Konstanty chce robić?

— Otwieram okna, proszę pana.

— Nie trzeba. Lampę zapalić i tutaj.

Po kilku minutach był już sam w gabinecie. Nigdy się nie dawał ubierać służącemu. Miał jakiś instynktowny wstyd przed ukazywaniem się nago wobec mężczyzn. Jest to dziwna skromność tych, których treść życia stanowi kobieta. Nawet w męskim ciele lubił jedynie harmonję linii, marmurową bladość, giętkość ruchów — i oto teraz takie ciało, jego własne, odbijało kaflowe lustro wanny, która zajmowała połowę gabinetu.

Ciałem swoim zajmował się nadzwyczaj starannie, z przerafinowanym kultem dla swojej fizycznej istoty, co innych mężczyzn gniewa jako zniewieściałość. Ci jednak są dalecy od prawdy: zamiłowanie własnego piękna i siła najczęściej idą w parze. Cały legion szczoteczek, nożyków, instrumentów, nożyczek, skomplikowany przyrząd do wytwornej hydroterapii, błyszczący niklem i miedzią w blasku gazowym, stos różnokolorowej bielizny, przyrządy do czyszczenia paznokci, niezliczona moc flakoników kryształowych, srebrnych, cały ten aparat dawał pole do drwin i do nazywania Juljana „niewieściuchem“. Trzeba jednak było widzieć tego niewieściucha, jak stał naprzeciw pistoletowej lufy, czy ostrza szpady! Zuchwały i wyzywający dla mężczyzn, tylko kobietom dał się powodować i prowadzić na pasku.

W jedwabnej koszuli przeszedł przez sypialnię i wszedł do salonu. Nachylił się pod sofę, wyjął hantle i zrobił kilka fachowych poruszeń, zadowolony giętkością mięśni. Popatrzył na zegar: pięć po ósmej. Zadzwoił na Konstantego.

— Słucham.

— Konstanty! Przyjdzie do mnie dama. Samowar

i ciasta przygotować w jadalnym pokoju. Później wrócisz do swojego pokoju i zaczekasz, aż zadzwonię.

Konstanty uklonił się i wyszedł. Julian ułożył poduszkę na krawędzi sofy, wyciągnął się i marzył.

„Ona wchodzi...” Próbował odtworzyć sobie jej obraz. Nie. Tego nie można odtworzyć...

Trzecie piętro w skromnej kamienicy na ulicy Berne, przedpokój, jadalnia, pokój Etiennetty, dopiero potem ich gniazdko, dawny pokój Zuzanny, tak przystosowany do gustu Maud. Od wyjazdu Chantel'a i aż do jego powrotu widywał ją zwykle co drugi dzień, często bardzo codziennie. Maud pojęła, że tym sposobem najłatwiej utrzyma go w zależności, zresztą sama bezwiednie tęskniła za pieśczętą kochanka? Rodzaj fetysyzmu lojalności, który odczuwają wszystkie wyższe natury walczące przeciwko porządkowi społecznemu, nakazywał jej zachować się bądź co bądź dla człowieka, który jej da imię i majątek. W próżności swojej dumy myślała: „Jednak będzie pierwszym moim...” Pieśczęty ich miały swój specjalny styl, nie zbyt zresztą rzadki w zdeprawowanych społeczeństwach, były, antytezą istotnego aktu miłości ludzkiej. Oni jednak tak namiętnie oddawali mu się, że szczerze zapominali o tem i nie życzyli sobie niczego innego. Co to mogło obchodzić Maud? Nie myślała o tem. Co to obchodziło jej kochanka? On chciał wyzyskać z niej wszystko co mu dać mogła całą sobą — i istotnie zawsze opuszczała go pijanego rozkoszą i wyczerpanego tem, co uzyskał. Tak upłynął luty i marzec — przez ten czas żył w wiecznej drżączce lubieżnej, która mu nawet spokojny wypoczynek odbierała.

Leżąc z zamkniętymi oczami nurzał się teraz we wspomnieniach, które pomału przechodziły w sen. Rozkoszne mary plątały się w jedno z najgorszymi widziadłami, pętała go zmora zawiści, jakiś ciężar gniółł mu serce, ciężar namiętności i smutku. Życ bez niej?

Nie... Raczej nie żyć! nie widzieć słońca... jasnych poranków... Dnie śnieżne... oświecone wieczory paryskie... Wszystko się mieszało, kotłowało. Popadł w jakąś straszną noc niepewności. Następnie jakby już u kraju przepaści rozwidniła mu się jasność życia... wolniej biło serce... spowiła go niby gaza oparów; mózg, całe ciało przeniknęła ogromnie delikatną substancją... Otworzył oczy i oto słowo stało się ciałem: Maud stoi przed nim, trzymając palec na jego czole.

— Oh! to ty!... Wybacz!... Położyłem się i nie myślałem, że usnę... Ale tyś mi się we śnie ukazała i to mi taką słodycz sprawiło.

— Domyślałam się — odrzekła. — Musiałeś mieć złe sny, boś się wil... Położyłam palec na twojem czole i powiodłam myśl, dokąd chciałam... do mnie.

Ucałowała to czoło, a potem zanurzyła się w otwarte ramiona, co jej szukały.

— Dlaczego tu tak pozamykane? Czy wiesz, że to już dziewiąta. Prędko mi otworzyć okna!

— Oh! Maud! — prosił się kochanek. — Ja tak lubię tę noc.

— Nie! nie! otwórz... Czy nie widzisz, — dorzuciła z uśmiechem — że jestem tylko na taką godzinę ubrana?

Tą swobodą pokrywała istotne zakłopotanie, gdy w tym przepychu salonowym ujrzała swój ranny kostjum: spódnicę zwyczajną, niebieską, szewiotową, atlasem lamowaną, rodzaj satynowej koszulki i barankowa niebieska czapeczka na głowie.

Juljan wypełnił niechętnie rozkaz. Otworzył okna, podczas gdy Maud zakręciła kran gazowy. Wbiegł dzień jasny i błękitny; opromienił pokój.

— Dobrze — rzekła Maud. — Teraz proszę przy mnie siadać. Mam dużo nowości. Najprzód, umarła Matylda.

— Aa! To przykre — odpowiedział Suberceaux. — Już nie będziemy mogli...

— Umarła dziś rano koło siódmej. O ósmej byłam tam z Pawłem le Tessier. Dzielnym Paweł tak się zmartwił, jakby go śmierć Matyldy owdowiła.

Julian zajęty jedynie swoją troską, zapytał:

— Więc tutaj będziemy się widywali? Albo może mam wyszukać inne mieszkanie.

— Co za dzieciak! — przerwała Maud dając mu dłoń do pocałowania. — Z tobą nie można mówić serjo. Nie słuchasz mnie...

I po chwili milczenia, nie patrząc na kochankę, dodała bezdźwięcznym głosem, którego dotąd nie słyszał u niej:

— Bądź dobry dla mnie! Gdybyś wiedział jaka jestem zdenerwowana!

Opuściła głowę na pierś Juliana i pod wpływem tego zmartwienia, które chciała wypowiedzieć przed swoim przyjacielem, obudziła się w niej kobieta, pieszczoch; odsunęła jedwab koszuli i przyłgnęła mu wargami do piersi. Wyciągnęli się oboje.

— Chodź! — szepnął błagalnie.

— Nie. — Dzisiaj chcę pomówić o rzeczach poważnie. Domyślasz się? Upoważniłam panią de Chantel, aby dziś popołudniu przyszła prosić o moją rękę.

— Ach! — jęknął Julian.

— Wydało nam się, jemu i mnie, że najlepiej rzecz zakończyć odrazu, jak można najprędzej. Pobierzemy się zapewne przed końcem tego miesiąca.

Julian uczuł w sobie głuchy ból. Nie odpowiedział nic. Maud kończyła:

— Do tego czasu, rozumie pan, muszę się strzec przed zbyt dużą czułością moich najserdeczniejszych: tyłu zawistnych będzie miał ten związek! Maksymilian nikogo nie zna i nikogo nie będzie chciał widywać oprócz mnie; niema obawy gdy zamieszka w Paryżu. Ale ja z matką

i Jakóbiną muszę ten miesiąc przebyć w Chamblais... No! no! codzień przyjadę tu: rozumiesz... posag... tualety... przygotowywania... — rzekła, biorąc Juljana za rękę. — Urzędowo tylko zamieszkać w Chamblais; gdzie i Etiennetta będzie z nami przez pierwsze tygodnie żaloby. Tessierowie będą przyjeżdżali jako goście. Uważam to za wyborną kombinację... A cóż ty na to?

Juljan wstał przy ostatnich słowach i tak ciągle milczący przeszedł pokój wzdłuż. Ból dławił mu gardło, tamował mu oddech. Stał przed Maud.

— Więc... postanowione?

— Tak. Nie jest to chyba nowiną dla ciebie?

Powiedziała mu to hardo, oko w oko, w tej odpornej postawie, którą przyjmowała zawsze wszelkie zastrzeżenie przeciw swojej woli.

Ale on nie zastrzegał się. Siadł w kącie przy stole, potulny, zbity. Wpatrywała się weń jakiś czas, przygotowana do obrony. Później gdy on nic nie mówił, nie ruszał się z miejsca, postanowiła wzbudzić w nim męstwo, jak to tyle razy czyniła. Przybliżyła się do niego i cicho zaczęła:

— Bądź mężczyzną. Tylko ciebie kocham.

Zapewne nie słyszał, ogluchły swoją myślą. Zaszemrał:

— To niemożliwe!...

Ostry ból wbił mu się w serce: pierwszy raz związek tej kobiety, tego jego ciała, związek z innym i za jego zezwoleniem wydał mu się czemś potwornem, niemożliwem, nadnaturalnem.

— Co chcesz powiedzieć? — zapytała Maud.

Powtórzył:

— To niemożliwe... My tego nie uczynimy! To jest niemożliwe — powtórzył trzeci raz. — Widzisz Maud, ja cię kocham... Ja tylko ciebie mam na świecie... ty mnie przecie kochasz... A ja jestem twój sprzęt, cały

jestem twój... do ciebie tylko należę... nie chcę żyć poza tobą... My jesteśmy szaleni... My się mylimy!

Prawie szorstko mu odpowiedziała:

— Ja nie jestem szalona... To ty się błąkasz.

— Zrozum-że, — odpowiedział Julian — że to, co ty chcesz dać innemu, to jest naj... najdroższe... Mimo wszystko będziesz jego żoną. Tyś moim pragnieniom postawiła tamę właśnie w tem, co jemu dajesz... A ty mnie kochasz... I to do mnie powinno należeć. Ja to widzę jasno! jasno! jak ten dzień.

Natarczywie zbliżył się do niej:

— My jesteśmy szaleni, tak szaleni, ty i ja. Ja nie chcę, żeby inny ciebie posiadał, aby miał to, czego ja nigdy nie miałem. Tego nie będzie. Ja zmienię życie, będę pracował, ja cię królową uczynię, większą niż to bydle, które cię nie rozumie. Śmiejesz się z tego co mówię? A ja potrafię pracować, tak, aby ciebie mieć! Nie wiem co zrobię, a będę cię miał. Będę kradł, będę zabijał, a mieć cię będę! Zostań moja!... Zostań że moja! Nie chcę! Nie chcę!

Runął do nóg dziewczynie, całując jej stopy, wsuwając twarz pod jej suknię, całując jej kostki, zanurzając się w spódnicy. Nie płakał, ale płaczliwe łkanie wyrывało mu się z piersi. Na ramieniu uczuł dłoń Maud, odpychającą go od siebie. Urażony w swojej dumie wstał, widząc, że napróżno błaga.

— Skończyłeś? — zapytała Maud wzgardliwie.

— Nie, nie skończyłem. Zakończona tylko ta komedja małżeństwa. Ono nie dojdzie do skutku, słyszysz! Nie igra się tak z człowiekiem, jak ty ze mną igrasz. Dość mam tej roli! — Rozgrzewał się wciąż, drażniony milczeniem Maud. Ja nie chcę być... być... — tu mu wściekłość zadławiła głos — być tylko rozdrażniaczem!

— Nędzny!

Rzuciła mu rękę na usta; jakby chciała wcisnąć z powrotem te słowa, ale Julian złapał rękę i tulił do

ust. Drugą ręką obwinał kibić dziewczyny i przyciskając tuż do siebie, mówił jej wprost w twarz, tak, że czuła żar jego oddechu:

— Nie! Tego nie będzie. Musisz być moją... Ty myślisz, że ja cię puszczę... Nigdy... Jesteś moja... Ja ciebie chcę... Ja cię... nawet przemocą!

— Podły! Podły! — krzyknęła Maud. — Puść!

Jeszcze mocniej ją cisnął... Czuła jak ją niesie ku kanapie, jak ją opuści i przygniecie do poduszek. Myśl, że może być zgwałconą, tak rozjątrzyła jej dumę, że w tej sekundzie nienawidziła Juljana. Broniła się skrępowanymi rękami, broniła się konwulsyjnie ściśniętymi nogami, paznokciami, kąsała, nie wiedząc już teraz nawet przed czym się broni, wdrożona instynktownie w sposoby walki młodej dziewczyny z mężczyzną, choćby kochankiem. On pochłonięty rozwścieczeniem, nieczuły na jej kąsanie i drapanie gwałcił coraz więcej. Naraz Maud jęknęła. Jej ręka, którą Juljan przyciskał do gardła dla ubezwładnienia jej, odpięła broszkę i szpilka wbiła się w ciało: pociekła krew ze zranionego miejsca. Juljan ochłonął, puścił ogarę. Ochłonął na chwilę, lecz nim ją zdołał powtórnie uchwycić, już była na drugim końcu pokoju, ustawiając ochronną barykadę z mebli.

— Maud! To jest przecież szaleństwo! Dlaczego nie?

Nie śmiał się zbliżyć hypnotyzowany tą wstęgą krwi, która ciekła po jej białem ciele.

Maud, nie spuszczać go z oka, otworzyła okno:

— Zapewniam cię — odezwała się przerywanym od przytłumionego oddechu głosem — jeżeli... jeżeli się przybliżysz... wyskoczę... Jeżeli się zabiję, tem gorzej. Ale jeżeli się nie zabiję... Uratuję się i rozstaniemy się na zawsze... na zawsze... na zawsze. . Przysięgam ci...

Zrobił krok naprzód i równocześnie krzyknął przeraźliwie:

— Maud!

Była już na futrynie.

— Wierzysz mi nareszcie? — zapytała.

Odstąpił, zagłębił się w kąt kanapy, twarz ukrył w dłonie. Był pobity. Znadto ją kochał, była jego mściwą panią. Upokorzył się, w oczach ukazały mu się łzy, takie łzy, które płyną z oczu kobiecie po minionem niebezpieczeństwie.

Gdy się poważyl podnieść głowę, Maud już stała przy nim. I tym razem położyła mu rękę na czole, na znak pokoju. Tę precudną rękę, którą on zranił.

— Maud! Maud droga!

Nie miał już ani siły, ani woli, ani pożądanja. Chciał ją tylko mieć przy sobie.

Już rozsądny? — zapytała z cicha. Dobrze. Ja przebaczam.

Kłęcząc koło niego, długo całowała mu usta, osłabiając go tem do reszty.

— Wierzaj mi — zaczęła. — Trzeba być rozsądnym. Daj mi stworzyć tobie życie, jak i mnie. Tylko ciebie kocham.

Wstała, zaczęła nakładać rękawiczki. Chciał iść za nią.

Nie — rozkazała. — Do widzenia. Nie wychodź z domu. Napiszę do ciebie.

Był jej powolny.

Konstanty doczekał się południa; niespokojny, że pan nie dzwoni, zairzał do salonu. Znalazł Juljana na poły omdlałego.

— Pan spi?

— Tak, Konstanty. Daj mi pokój. Gdy będę chciał, zadzwonię.

Nie spał. Maud poszła, a on został ze swemi myślami. Cierpiał. Napróżno chciał na chwilę żyć, podążyć

w ślad za życzeniem Maud, napróżno wspominał jej słowa: „Świat należy do silnych... słabych należy kiełzać, jak konie“. Napróżno się pocieszał: „Miałem Maud w ramionach przed tym człowiekiem... Dawala mi takie pieszczoty, jakich jemu nigdy nie da“. Przyptyw zazdrości mówił: „Tak... ale to będzie jego żona“... I ranił go obraz Maud w objęciach innego. „Cierpię! cierpię!“ Cierpiał: na to nie pomogą żadne krzepiące teorie.

Ale równocześnie jednak poprzez ból i cierpienie wydzierał zeń rozpaczliwy krzyk przeciwko tej tyle razy zapoznawanej moralności, przeciwko tym nieuznawanym prawom.

CZEŚĆ TRZECIA

I.

— Obudziłaś się już?

— Tak jest. Wejdz moja droga. Proszę.

Etiennetta wbiegła czempredzej, aby uściskać leżącą jeszcze Maud. Zaczęły się pieścić, z tą delikatnością pieszczoty, demonstracyjnie przez kobiety używanej dla zaświadczenia przyjaźni, gdy nie rywalizują o męzczyznę. Zresztą od czasu zamieszkania razem w Chamblais ta ich przyjaźń poczęta jeszcze w klasztorze, tutaj rzeczywiście połączyła je wzajemną ufnością, zwierzeniami z najbliższych nadziei, wspólnością niepokojów. I tym sposobem zdecydowana, energiczna w swoim pochodzie życia Maud i chłostana od dziecka przez to życie Etiennetta zostały istotnymi przyjaciółkami. Gdyby je kto mógł słyszeć rozmawiające, byłby zachwycony ich dziecięcą prawie otwartością i szczerością i dzieciństwem w doborze tematów rozmowy.

— Powinnaś zawsze chodzić w żałobie — odezwała się Maud. — Czarny kolor najlepiej odpowiada twojej cerze i twoim włosom. Kocham się w twoich włosach. Te pukle to ze złota szczerego, prawda?

To mówiąc przyłożyła jeden z nich do ciemnego jedwabiu swoich włosów.

— Patrz. W porównaniu wydaję się prawie brunetką. Nigdy nie powinnam się pokazywać przy tobie. Gasisz mnie zupełnie.

— Tylko cicho bądź, proszę cię — odpowiedziała Etiennetta. — Czy się można porównywać z tem, no, albo z tem, albo z tem?

Przesunęła palcami po zwojach jej ciemnych włosów, które zaraz zajaśniały rudawym przeblyskiem, odkryła jej szyję, następnie piersi — i przyłożyła się do nich ustami.

— To ty jesteś moja piękność kochana, moja królewskość. Przy tobie robię wrażenie panny służącej. Ale to mi wszystko jedno. Kocham cię.

Ucałowały się powtórnie.

— A propos. Zdecydowałam się na to spadające peplum do wciętej sukni.

— To od Laferrière'a?

— Tak. Zwęzę je tylko w stanie. Zaraz ci wytłómaczę, jak.

Zaczęła objaśniać wśród ciągłego przerywania Etiennetty, która także miała w nocy natchnienie co do przeróbki modelu Laferrière'a. Był to naprawdę obraz godny Valencieunes'a te dwie dziewczyny na pół poważne, na pół rozbawione, w obszernej komnacie zamku Armidy, wypieszczonego, umeblowanego, jakby na wzorach muzeum.

Nie doszły jeszcze do porozumienia, gdy Betty weszła i przyniosła dziennik ranny.

— A mój list, Betty, masz? — zapytała Etiennetta.

— Tak jest, proszę panienki. Widziałam, że panienki nie ma w pokoju, więc tu przyniosłam dwa listy dla panny Etiennetty.

— No, no, od kogóż by to mógł być?... — zapytało zdziwione dziewczę.

Oczekiwała tylko od Pawła le Tessier'a. Pisał do niej codzień, choćby nawet wtedy, gdy był na śniadaniu lub na obiedzie w Chamblais. Również codzień odpisywała mu, ciesząc się z tej miłej świadomości, że przecie nie jest sama samiutka na świecie.

I dziś otrzymała dużą białą kopertę z wielkim drukiem: Senat — na wierzchu. Nie otworzyła jej jednak, wpatrując się z wahaniem w drugą, różową, długą, z marką zagraniczną.

— Cóż to jest? — zapytała Maud po wyjściu Betty.
— Od kogóż to?

— To od Zuzanny z Holandyi.

— Nie ciekawe. Mogłaby sobie Zuzanna dać spokój z wiadomościami o sobie.

Jakby wypowiedziała własną myśl Etiennetty. Teraz, kiedy już matka zmarła, jedyną przeszkodą do małżeństwa z Pawłem była ta szalona Zuzanna, która jadła, hulala i sypiała z całym Paryżem. Długotrwała nieobecność, jej milczenie, nie przerwane nawet śmiercią matki, zacierały po niej wspomnienie w Paryżu, co prędko zapomina. Miałabym teraz wyjść znowu na scenę?

„... Piszę do Ciebie z Amsterdamu, dokąd przyjechałam z trupą. Ale teatr już rzuciłam. Jestem teraz z jednym przemysłowcem bardzo układnym i bardzo eleganckim. Chcę go zaciągnąć do Paryża, jak również jego brata. On także jest bardzo bogaty, a ty byś była ogromnie w jego guście. Mam nadzieję, że mama dobrze się trzyma. Jeżeli czego jej brak, to niech tylko napisze do mnie: Hotel Mille Colonnes. Henryk jest dobry i mam wszystko, czego chcę...“

I w takim tonie rozuzdania ciągnęły się jeszcze dwie strony, a każde słowo raniło i poniżało Etiennette. „Mam nadzieję, że mama trzyma się dobrze... Henryk ma brata, który nic nie robi, a ty będziesz w jego guście...“ Oto, jak ona pojmuje rodzinę!

— Nie mam odwagi czytać tego, odezwała się do Maud. — Chciałabym, żebym sama tego nie była przeczytała.

Równocześnie ze wstydem złapała się na uczuciu ulgi przy myśli, że Zuzanna ma suchoty i że ją już czasem

miała za umarłą. A przecież z całego jej życia z tych lat dziecięcych, w których obie nie znały, co to jest życie, zostało jej dziś jedno jedyne wspomnienie: ta szalona Zuzanna. Bawiła się z nią, łobuzowała.

Głośno dodała:

— Biedactwo. Cieszy mnie, że wiem coś przecie o niej. Ona taka słabowita. Żeby jej tak rozsądku tylko dodać! Bo serce złote.

— Czy Paweł ma wiedzieć o tym liście?

— Jaby nie mówiła. Nieprzyjemnie mu być może. Jeżeli Zuzanna wróci, to się dowie aż nadto wczas. A kto to może wiedzieć, może nie wróci?

Etiennetta ucałowała przyjaciółkę.

— Prawda. Jak ty jasno patrzysz na wszystko. Ale ja cię zanudzam swojemi sprawami. Ty masz wiadomości?

— Nie — odpowiedziała Maud, przerzucając końcem palca listy i koperty, rozrzucone na koldrze w zagłębieniu między kolanami. Dostawcy, nieunikniony Aaron, zapraszający na śniadania inauguracyjne, John Arthur proponuje hotel przy ulicy Lincoln — to i wszystko, no, naturalnie i Maksymilian.

— A...?

— Ani słówka.

— Kiedyś pisała?

— Środa.

— Przeszło tydzień. To nie zwykle. Dąsa się...

Maud rzuciła się na poduszkę na wznak, ręce założyła pod głowę i zniżonym głosem rozpoczęła.

— Cóż chcesz, moja ty? Musi się dąsać. Ale mimo to na dwa tygodnie przed ślubem nie będę spędzała całych wieczorów na piąterku jakiegoś domu z tylnym wejściem przy ulicy de la Baume. Nie znoszę tyranji. Może cierpliwie czekać. Zresztą chce czy nie chce, nie odstąpię od tego, co mu pisałam: sama nie przyjadę ani na chwilę do Paryża. A zresztą radziłam mu: niech się

wyberze w podróż na miesiąc, dwa. Teraz może w zupełności sobie pozwolić. Po powrocie będzie miał wszystko gotowe. Ja będę vice-hrabiną de Chantel... i na siebie biorę przyszłość Juljana.

Chwilkę milczała, jakby w oczekiwaniu przyznania słuszności ze strony Etiennetty, a widząc, że ta nic nie mówi, co chwila rzucając okiem na list le Tessiera, podniosła się na łokciu i zapytała:

— Nie słuchasz mnie?

— Owszem — odpowiedziała dziewczyna. — Ale ty wiesz, że ja za głupia na to wszystko. Ty mi zawsze imponujesz, a czasem to cię nawet dobrze nie rozumiem.

— Przecież to jasne!

— No, no, no! Nie gniewaj się — zawołała Etiennetta, pieszczotliwie ocierając się o jej zgiętą rękę. — Naprzód, ja wiem, że ty masz rację, a ja jestem małym głupekciem. Ja, widzisz, to niczego na świecie nie pragnę, tylko kochać kogo i być kochaną. Reszta to mi obojętne. Ty tego znów nie rozumiesz. Ja jestem mieszczańką, żyłabym z trzech tysięcy franków gdzieś na prowincji. Gdybym ja tak, jak ty, kochała Juljana — nie zapierał się, kochasz go; dla niego popełniłaś kilka niedorzeczności, a to, jak na ciebie, wiele — gdybym go kochała, tobym wyszła za niego — zwyczajnie. Pod twoim wpływem Julian wy kierowałby się na człowieka. On jest leniwy, ale nie jest głupi. Nie byłabyś tak bogata, jaką będzie vice-hrabiną de Chantel, ale nie byłabyś rozłączona z człowiekiem, którego kochasz i nie żyłabyś wiecznie w atmosferze dramatu; bo ci dwaj twoi amanci, to nie nazbyt spokojne figury. Nie potrafiłabym żyć dramatem, o nie. Nadewszystko lubię zaciszną pospolitłość.

Wszystko to mówiła serdecznie, z przekonaniem, prawie pieszczotliwie i z tą mieszaniną pewności siebie i wahania, co stanowiło właściwy urok córki pani Matyldy Duroy.

Maud słuchała uważnie, a potem odpowiedziała nieco niecierpliwie:

— Wszystko to jest racja dla ciebie i dla wielu innych, ale nie jest racją dla mnie. Ja się nie chcę przez to wynosić nad ciebie — rozumiesz mnie, prawda? Ale poprostu ja czuję, że nie mogłabym być żoną Juliana. Ja nie mogłabym zejść do niższego szczebla społecznego. Rozumiesz mnie? Wolałabym raczej upaść jak... (chciała powiedzieć: „jak twoja siostra“, ale się wstrzymała na czas) kobieta... która zaczyna od klasztoru, a kończy na... Wolałabym iść na utrzymanie do Aarona, który mi jest wstrętny...

— A miłość... — rzekła z uśmiechem Etiennetta.

— Miłość? To, co ty nazywasz miłością, to jest tak zwane ognisko domowe! Grzeczny pan, np. Paweł le Tessier, bierze cię na kolana, pieści, a ty mu za to sporządzasz porcję grogu i podajesz pantofle. Mam wstręt do takiej miłości... słyszysz? wstręt! wstręt! Nie mam w sobie sentementu — no, trudno; czułości działają mi na nerwy.

— A cóż Julian? — zapytała Etiennetta trochę zdziwiona.

Maud wsparła się teraz na obu łokciach o kraj łóżka i wyszeptała gorąco, głucho:

— Julian! Między nami niema mowy o czułościach pantoflowych. Nie! Mówiłaś, że go kocham. Wiedz-że więc, że tak nie jest. Nie kocham go. Widzę go takim, jakim jest: z jego mierną inteligencją, próżnością, samolubstwem, lenistwem. Oh, znam ja go doskonale. Mimo to jest w nim coś wyższego. Coś, co jest piękne, silniejsze, subtelniejsze, wytworniejsze, jakby powiedzieć... nie wiem, nie mam określenia. To go odróżnia. On jest stworzony, ale stworzony cały: na kochanka. Rozumiesz mnie?

Opadła znowu plecami na łóżko, zamknęła oczy i zaczęła głosem zmęczonym:

— Wszyscy mężczyźni, nawet ten biedny Christeanu, który przyprawiał o rumieniec i młode i stare, nawet on mnie odpychał nieco od siebie. Maksymilian nie jest wstrętny — prawda — a jednak gryzłabym go z nienawiści, gdy mu muszę nadstawić czoło do pocałowania. Niema jak Julian. Lubię jego ręce, usta, oczy. Pragnę ich tak, jak nas pragna, przypuszczam, mężczyźni. Ty tego nie pojmujesz, może nawet nigdy nie pojmiesz, jak ja nie pojmem rojenia o pantoflach. Jednego jedyne go człowieka pożądam, ale pożądam rozpaczliwie. Skąd ja wzięłam taki temperament? Matka spokojna, jak gołąb, Jakóbina tylko w słowach wyuzdana. Chyba po ojcu, który był smakoszem, albo po jakimś na pół dzikim murzynie, pradziadku po kądzieli. W każdym razie cierpię przez to.

Na chwilę umilkła, potem dodała:

— Przypominasz sobie ten wieczór z grafologiem Belgiem, który czytał nasze pisma. Na mój charakter powiedział: „bardzo zmysłowa“. A ten niegodziwiec d'Espiens, który mi to wyczytał przez ramię, zanosił się od śmiechu: „Ah! Ah! Bardzo zmysłowa...“ Jednym spojrzeniem zmusiłam go do milczenia i nie mogłam się powstrzymać od powiedzenia mu: „Czego się pan śmieje — czy pan w to nie wierzy? Te wszystkie zmiętoszone lalki nawet nie wiedzą, co to jest namiętność.“

Dość długo milczała. Etiennetta, zaskoczona tem nagle wynurzeniem się duszy swojej przyjaciółki, myślała: „Jak ona musi być podniecona, jeżeli to wszystko gada, ona, co tak pysznie panuje nad sobą“. Zaś Maud w tej samej chwili zwróciła się do niej i zupełnie spokojnie zapytała:

— Co pisze senator kochany?

— Pisz, że, jak mówił, przyjeżdża dziś na śniadanie. Hektor także prawdopodobnie.

— Oczywiście. Wszak pani de Chantel przyjeżdża z Joanną — dodała Maud pobłażliwie.

Etiennetta, z uśmiechem na wargach, wstała i uściśnęła Maud.

— Pójdę dopomódz urodzie na przyjęcie ukochanego — rzekła.

— Twój ukochany nie powinien się uskarżać, a chcesz mojej rady: nie przeciągaj flirtu zbyt długo!

Dziewczątka już ode drzwi kiwnęło główką na znak zgody.

— A słuchaj mnie — zakończyła Maud — o Zuzannie ani słowa!

Zadzwoiła na Betty. Angielka zjawiła się i podała jej pantofle. Maud wyskoczyła z łóżka, zrzucając z ramion na dywan lekką tkaninę lnianą; angelka podniosła ją natychmiast. Podczas gdy w pokoju toaletowym przygotowywano kosmetyki — młoda dziewczyna, cała naga, wałęsała się po pokoju od komody, z której własnoręcznie wyjmowała czyste pończochy, koszule i majtki, do zwierciadła kominkowego, w którym wpatrywała się w rudawe przebliski swoich włosów. I ta czystość jej kształtów, nagość jej drobnych piersi, szerokość spadzistych bioder, cała niepokalaność postaci Djany były tak doskonałe, że biło od niej świętym bezwstydem marmurowej boskości.

Następnie w pokoju toaletowym rozciągnęła się na kanapie, a Betty klęcząc, rozcierała ją kosmatymi rękami, pilnikiem ścierała dokładnie paznokcie u nóg, delikatnie nacierała wszystkie zgięcia w ciele. Maud oddawała się z rozkoszą tym szybkim, łagodnym naciskom kobiecych rąk.

— Jeszcze Betty... silniej trochę...

Podczas tego półgodzinnego masowania Maud marzyła z upodobaniem, układała porządek dzienny: „Maksymilian... Julian... dwa bieguny mojego obecnego życia...“ Do dziś dnia trzymała Juliana w niewoli to podniecanych, to nasycanych zmysłów, nie dając mu czasu na refleksję lub bunt. Należy zmienić taktykę. Ile

razy udawała się do Suberceaux, czuła, że ją śledzą niewidzialne oczy. „To jest szaleństwem choćby raz tam być, gdy Maksymilian jest w Paryżu. Gdyby kto powiedział o tem... A on czasami jest taki pochmurny, nieswój, milknący naraz przy jakimś słowie, które go może naprowadza na jakieś wspomnienie. Musiał dostawać listy anonimowe. Ja mam tyle nieprzyjaciół. Ta wstrętna Ucelli, Aaron wściekły na moje małżeństwo, które go pozbawia ostatnich nadziei. Szpiegują mnie. Oni się mogą posunąć do przekupienia służby, a Betty wie o wszystkim“.

Pierwszy raz zadrżała na myśl o możliwości katastrofy. Jeżeli by to się stało, byłby koniec. Co się stanie z jej życiem, jeżeli to małżeństwo nie dojdzie do skutku? Straszny upadek w ciemnię nieznaną, nieznanne losy. „Oh nie! Nigdy. Przenigdy!“ Przez pasmo jej rozmyślań przesunęła się pokorna twarz Aarona. Wiedziała dobrze, czego chce ten człowiek. Raz przy jakimś proszonym obiedzie, siedząc koło niej skorzystał z sytuacji (nie mogła go zmusić publicznie do milczenia, ani zasłonić uszu) i wręcz wyznał swoje zamiary. Słyszy jeszcze: „Przyjacielem zawsze... wszędzie... Nie wiemy, co nam przyszłość wróży. Znajdzie mnie pani zawsze... zawsze... Proszę zapamiętać, że zawsze musiałem mieć to, co chciałem mieć...“ Nędzota! Pamięć o tej chwili pozostała u niej, jak wrażenie po nagłym a niespodziewanym dotknięciu wstrętnego zwierzęcia. A jednak w razie nieszczęścia pozostaje „to“, albo nędza. „Jesteśmy w przededniu pogromu“ pomyślała, przywołując obraz innych zmartwień, zwłaszcza pieniędzy, które ją trapić zaczęły od pewnego czasu. „Na razie dają spokój, wobec wyznaczonego oficjalnie dnia ślubu. Niechby to zawiodło — co za pogrom!“

Ale wnet zaczęła się pocieszać przeglądając się w wysokiem zwierciadle. Julian... Maksymilian. Zanadto pogrążeni w zależność. Zanadto kieruje ich myślą.

Prędzej przemieni im się barwa oczu, włosów. „A jednak byli i tacy, co się wyzwalali i zapominali o mnie“, wspominała o niedoszłych związkach, jak o dotkliwej obeldze. „To dla tego, że nie starałam się o ich miłość“ — pomyślała.

Betty uzupełniała już ostatnimi spięciami tualetę swojej pani, a Maud przez półotwarte okno błędziła wzrokiem po rozkwitłych ogromnych klombach przedpałacowych. Mimo przedwczesną porę, zacienione gęstwiny parku Armidy wiały już wonnem tchnieniem, a wśród zieleni szpalerów, jasno odcinały się białe kontury marmurowych posągów. Któraż z młodych dusz oprze się temu radosnemu wezwaniu natury do szczęścia i rozkoszy? Maud uśmiechnęła się uspokojona, pewna o siebie i przyszłość.

— Patrzajcie — mruknęła — Hektor już tu.

Hektor schodził ze schodów, za nim Jakóbina z otwartą parasolką. W delikatnych promieniach słońca cienie ich na białym marmurze schodów przybierały lekki błękitnawy ton. Równocześnie wyloniła się druga para: Paweł i Etiennetta cała złota od słońca. Tamci zanurzyli się w aleję parkową, a senator ze swoją dziewczyną usiadł na jednej z ławek koło basenu.

— Proszę zobaczyć, czy przyjechali państwo de Chantel. Nie potrzebna mi już Betty.

Na tej ławie gdzie legendowa baletnica Hero i jej kochanek pewno się czule pieścili, Paweł z Etiennettą gwarzyli przyjacielsko. On trzymał w swojej atletycznej ręce dłoń dziewczątka i opowiadał jej, co robił dla niej w Paryżu.

— Otóż, moja droga, wszystko jest prawie załatwione. Podnoszę z twojego majątku 20.000 franków, które, jak utrzymujesz, jesteś mi winna za zaliczkę. Przypuszczam, że je pozwolisz złożyć z powrotem, boć to twoje... Wszystkie trudności spadkowe usunięte, ponieważ twoja

siostra nie dała znaku życia podczas śmierci matki. Można przypuszczać, że nie będzie reklamowała swojej pretensji o spadek.

Etiennetta miała ochotę przerwać i wyznać wszystko o liście Zuzanny. Nie odważyła się i tem milczeniem zamknęła na zawsze możliwość powiedzenia prawdy.

— Mieszkanie zostaje na twoje imię, aż do terminu odnowienia raty t. j. na 18 miesięcy. Do tego czasu pobierzemy się i postanowisz w tej kwestji co ci się będzie podobało. Z mojej strony wszystko przygotowane. Krauss dał mi świadectwo, które wyrabia trzymiesięczny urlop. Wraz z wakacjami pół roku swobody. Ślub weźmiemy w Londynie, — jakiś czas w Vezeris u młodych Chantelów i Paryż z powrotem, uperfumowani magnackim zapachem przez ocieranie się o wysoką szlachtę — dodał z uśmiechem.

W żartobliwym rysunku kreślił plan, nad którym jednak dobrze przemyślał. Chciał się ożenić z Etiennettą pod egidą Chantelów i Rouvreów dla zatarcia pochodzenia panny Duroy.

„Tyle Duroyów na świecie. Zresztą co znaczy nazwisko panięńskie na drugi dzień po ślubie“.

— Jaki ty jesteś dobry — szeptala dziewczyna, wzdając po nim z pieśczołą rozmiłowane oczęta.

Nim zaś wstrząsnęła nowa fala uczucia, tego potężnego, niespokojnego, a naiwnego zarazem, które biją w czterdziestoletnich sercach. Drżał mu głos gdy odpowiadał:

— Bo kocham. A ty?...

— Wiesz dobrze, że kocham.

„Wiem, że mnie kocha“ myślał, pijąc radość jej błękitnych oczu, dysząc jej dziewczęcą wiosennością. „Kocha mnie, ale jak: A zwłaszcza, jak mnie będzie kochała? Teraz wystarcza jej uczucie córki względem ojca. A potem, czy żona pokocha mnie całym swoim ciałem, jak kochanka?“

Szarpała go niszcząca, mściwa namiętność serc młodszych, niż lata i wiek. Szarpała go coraz bardziej w miarę przybliżania się do dnia, w którym miał ją osiąść. Nie chciał się zadawałniać uludą uczucia. Pragnął drżenia tego dziewiczego ciała w uściskach i pieszczocie. Krwi za krew. Czyż to nie jest namiętność każdego kochanka?

Hektor z Jakóbiną wracał już z nad stawu. Paweł patrzył z zazdrością na wysmukłość jego postawy, giętkość, na jego gęste włosy, młodość, na jego trzydziestkę.

— Bydle! — powiedział sobie niezadowolony — mieć młodzieńczość i tracić ją nie na miłość, ale na takie świństwo, jak ten flirt.

I tak zasepiony swojemi czterdziestu pięciu latami, rzekł do Etiennetty trochę zakłopotanej i milczącej:

— Wrócimy, jeżeli chcesz?

Hektor i Jakóbina także mówili o miłości ale z innego tonu.

— Jeżeliby wszystkie dziewczęta — mówiła Jakóbina, siadając na jednej z ławek basenowych — tak samo myślały jak ja, tobyśmy zrobiły nowy 89 rok i wywalczyłybyśmy swoją wolność w otwartej walce.

— Jaką wolność?

— Wolność wychodzenia samej jednej, podróżowania samej jednej. Wolność powracania do domu, kiedy się chce, na przykład dopiero nad ranem. Myślisz, żeby mnie nie bawiła włóczęga po nocy? Wolność wydawania pieniędzy podług swojego upodobania, utrzymywanie kochanków. Tak kochanków. Wy przecie miewacie kochanki?

— Ale do małżeństwa to by się nie bardzo nadawały te dziewczęta z waszego 89 roku.

— Dlaczego? Wam się wolno żenić po dziesięcioletnim używaniu z kokotami. Tobo była tylko kwestja przyzwyczajenia. „Taka a taka panna miała nie tęga

przeszłość, ale dla tego będzie właśnie dobrą żoną. Lepiej się wyszumieć przed ślubem, niż po ślubie". To wszystko, co się o was mówi.

— Może się i doczekamy takich zwyczajów. Ja bo tam w nich nie zasmakuję.

— No bo ty będziesz za stary na wyciąganie dywidendy z tego interesu. Będziesz pan w położeniu tego przedwcześnie zamarłego trzeciego stanu Thiersa, co to nie mógł korzystać z widoku gilotynowania szlachty. Ja także. Dlatego też jestem przyzwoitą dziewczką, któraby przed ślubem nie dała nawet najmniejszej zaliczki na rachunek kapitału.

Hektor uśmiechnął się i popadł w zadumę. Teraz znów popatrzył na Jakóbinę i myślał nad jej ponętnością, myślał o Lestrangle'u z uczuciem połowicznej samczej zazdrości: bez ochoty posiadania, a z zawiścią do drugiego, z zawiścią dla zawiści.

— Więc małżeństwo z tym blondynem zadecydowane? — zapytał.

— Jesteś pan dyskretny?

— Aż zanadto; ku uciesze bliźnich.

— W zasadzie zadecydowane. Opowiem o tem, bo to zaspokoi pański dyletantyzm. Było to przedwczoraj. Blondyn, jak go nazywasz, był sam jeden zaproszony. Powiedziałam mamie: przecież i ja od czasu do czasu muszę się zabawić w kochanka. Każda z nas ma swojego. Wydekoltowałam się krzyneckę... a prócz tego mam pewien sekret, aby mężczyzna, będący przy mnie, tylko o mnie myślał, aby mną tylko oddychał. Zgadnij! Przy obiedzie Lestrangle oczywista palił się, palił coraz więcej, do tego stopnia, że nie mógł jeść i nie słyszał co doń mówią. Czy ty wiesz, co mnie między innymi skłania do niego, chociaż nie jest piękny? Podniecam go: to! Ogromnie podniecam. Ja go przepalam. Powiesz, że to wszystkie kobiety? Nie, ja przede wszystkim. Po obiedzie byliśmy w oranżerji. Wspaniałe miejsce na flirt,

ta wasza cieplarnia. Osłona palm. Siostra grała Berlioz'a. Mama ciągnęła pasjansa. Gawędziliśmy jak w oddzielnym gabinecie. Rozdenerwowałam odpowiednio Luc'a, a następnie wyznałam mu, że mi się sprzykrzyła moja urzędowa dziewiczność i że chcę zmienić fach, mówiłam coś o bezsenności, o zdenerwowaniu...

— Nie może być?

— Pod słowem, mój drogi. To było pyszne... Ale o ile mi się zdaje, to i ty się palisz, zimny powierniku! Lestrangle nie mógł wytrzymać. Czepiał mi się rąk, belkotał: „Jakóbino, Jakóbino!“ Jak szesnastoletni kochanek. Następnie przyznałam mu się, że w tej bezsenności, w tem rozdenerwowaniu myślę, o nim tj. o Lestrangle'u.

— I to jeszcze prawda?

— Jeszcze. Wówczas mój kochanek po ostatnim wysiłku panowania rozpoczął: „Jakóbino ja cię chcę. Wiesz, że mam wstręt do małżeństwa, jednak chcę się z tobą ożenić. Tylko ostrzegam: będę złym mężem. Ja muszę się ocierać o kobiety. Nawet po połączeniu się z tą, która mnie roznamiętnia, tak jak ty — może będę potrzebował tego. Brzydę się łańcuchem. Będziesz zazdrosna?“ Roześmiałam mu się w twarz. „Ja zazdrosna? Słuchaj Luc: wyznanie za wyznanie. I ja się nie rozpałam do małżeństwa. To nie mój wynalazek. Ale ponieważ bez małżeństwa upada się w randze, więc wychodzę za mąż. Stąd pojmujesz, jaki mam szacunek dla tej instytucji. Ty mi się podobasz, ja się podobam tobie: więc żeńmy się. Prawdopodobnie będzie nam dobrze, nawet poza temi drobnymi chwilkami szczególnie przyjemnymi, które tylko dobre do czasu — o tem wiem. Połączmy się dla tych drobnych chwilek i dla poważnych życiowych celów: ty ze swemi poważnemi poglądami wyzwoleńca nadajesz się do nich — a i ja także, choć robię wrażenie pustaka. Po za tem dla obojga zupełna wolność. Nie jestem taka głupia, abym uwierzyła

w to, że taki hulaka jak ty, którego już sama spódnica roznamiętnia, zaraz po ślubie ma się stać dziewiczym i wiernym. Będziesz o mnie myślał — ale nie przestaniesz się puszczać. To już twoja warjacka natura. Ja zaś teoretycznie pragnę zostać perłą wierności, Barberiną. Moje szczupłe doświadczenie uczy mnie, że w istotnem życiu niema Barberin. Po co mam obiecywać, kiedy nie uznaję tych obietnic? Mogę ci jednak jedno obiecać formalnie: oddawać mężowi co jest męzowskie i nie narażać go na śmieszność. Po za tem będę swobodna. Teraz na mnie kolej zapytać pana: czy będziesz zazdrosnym?“

— Cóż on odpowiedział?

— Zamyślił się przez chwilę, i odpowiedział mi: „Masz pani rację. Jedynie takie małżeństwo, jakie proponujesz, nie doprowadzi nas do rozwodu. Jesteś przepyszną kobietą i dziękuję ci za dowód, że należy mi cię poślubić“. Później dla przypieczętowania tych zaręczyn podałam mu usta, a chociaż pierwszy raz dawałam się całować (dla czego się śmiesz? — istotnie pierwszy) nie wyglądałam wcale niezręcznie. Oho! Uciekam i uwalniam pana! Jadą panie Chantel, a ja nie chcę, aby mi piękna Janka drapała po oczach. Bo ona jest i będzie zazdrośna. Zaręczam ci!

Nie czekając na odpowiedź wstała i dążyła ku domowi powoli, z wdziękiem kuszącym i wyzywającym. W tej samej chwili z dębowego ledwie zazielenionego lasu wynurzył się na drogę powóz państwa Chantelów. Na pierwszym planie widzieć było można nieruchomą sylwetkę Janki. Hektor przeczuwał zdala jej czarne, czyste jak onyks oczy utkwione w nim i znów naszła na niego troska, którą stale odczuwał przy myśli o tem łatwym zwycięstwie; wiedział, że to go prowadzi do małżeństwa: uczuwał żal za wolnością. Wyszedł naprzeciw powozu. Rozmyślał: te dwie dziewczyny, Jakóbina i Janka to dwa konsekwentne sposoby rozwiązania problemu małżeństwa dzisiejszego. Jeżeli się chce

szukać w tem małżeństwie chrześcijańskiej szlachetności, nierozzerwalnej wierności, płodności — szukać dziewczyny wyjątkowej, rzadkiego ptaka, białej gołębiczy, czy białej gąski: Joanna. Jeżeli się zaś to małżeństwo pojmuje podług współczesnych poglądów, jako rodzaj przyzwoitej fasady pałacowej — z tajnymi dostępniami od tyłów — to robić tak, jak Lestrangle: upewnić się z góry i zobopólnie porozumieć. Moralność nic nie traci, a swoboda wygrywa.

Dochodził do powozu. Owionął go serdeczny uśmiech Janki.

— Drożyzna moja mała — szepnął sobie. — Przecież ja ją mimo wszystko kocham!

Podwórcowy piasek zatrzeszczał pod kołami. Powóz zajeżdżał przed ganek pałacu Armidy. Hektor wyciągnął rękę. Janka wsparła się na niej, naturalnie krew ją oblała, zaczerwieniła się i zeskoczyła na ziemię. Pani de Chantel pozwoliła się prawie zanieść na schody; dziś znowu było z nią gorzej. Trzy miesiące pobytu w Paryżu, obcowanie w eleganckiej i pustej atmosferze domu pani Rouvre, wałęsanie się po szwaczkach, magazynach, spacerów w Łąsku, panią de Chantel nie zmieniły nic a nic, ani w ruchach, ani w surowym typie twarzy, ani w odwiecznej żałobie prowincjonalnej. Raczej pani de Rouvre uległa jej wpływowi, ubierając się czarno z niezbędnymi naturalnie świecidełkami, koronkami, błyskotkami. Maksymilian także nie pozbył się, idąc za radą Hektora, swojej rubasznosci żołnierskiej, jakkolwiek oddał się w ręce najlepszemu krawcowi w Paryżu. Ale kogo zmienił Paryż, to Jankę. Przebiegając z Maud ulicę de la Paix, a chcąc wywierać wrażenie na przechodzących, musiała z konieczności dostrzec w sobie to, co ją odróżniało od urodzonej Paryżanki.

To też Hektor patrząc dziś na jej kostjum, na jej udrapowany gors à la Gainsbourgh, na jej niezwykłą kibić, na ten chód silnej Wandeenki, na wrodzoną wyniosłość

arystokratyczną — z zadowoleniem zakresił w powietrzu jej sylwetkę od karku aż do ostatniego fałdu spódnicy.

— Prześlicznie!

— Pan wiecznie drwi ze mnie! — odrzekła Janka zasmuconym głosem. — To nie jest ładnie.

— Zaręczam pani — odpowiedział bywalec — że tualeta najbardziej paryska pod słońcem.

— Naprawdę! To się bardzo cieszę. Tak się bałam pańskiego niezadowolenia — dodała dziewczyna wprost ze serca. — Widzisz Maks, pan le Tessier chwali sukienkę.

Maksymilian uśmiechnął się, a myślał o czem innym. Wchodzili do pałacowego ogrodu, gdzie stał stół. Pani de Rouvre, Jakóbina i Etiennetta czekały już z Pawłem le Tessier. Maud nie było jeszcze, więc oczy eks-porucznika niespokojnie biegać zaczęły po pokoju. W chwili po wymianie grzeczności pociągnął Hektora na stronę:

— Maud niema?

— Nie, dopiero co widziałem ją w swoim oknie.

— Chcę z nią pomówić poważnie przed śniadaniem.

— Wiecznie zazdrosny? Pan jesteś niepoprawny — strofował go Hektor.

W istocie, w przeciągu ostatniego miesiąca sam już nie wie ile razy słuchał zwierzeń Maksymiliana po każdej tajemniczej denuncjacji.

— Przeciwnie! — odparł Maksymilian. — Obraziłem ciężko pannę de Rouvre i chcę się przed nią wytłomaczyć.

— Pan jesteś istotnie narzeczonym nieobliczalnym w swoich niespodziankach. No dobrze. Chodźmy, czekamy w przedsionku. Maud nie może nas minąć przy zejściu ze schodów.

Spotkali ją na progu, zapinała wstążkę swojej dziwacznej orchideowej sukni. Hektor odgadujący doskonale wynik rozmowy, silił się na wesołość:

— Oto, droga miss Maud, jegomość, który życzy sobie „chwilki rozmowy“, jak mówią dzienniki. Salonik pusty i może służyć dla interviewu, prawda?

Otworzył drzwi z przesadnie poważną grzecznością i umknął.

Maud niespokojna udawała wesołość.

— Istotnie Maksymilianie, masz mi co do powiedzenia?

Zebrała całą wolę, aby nie zdradzić niepokoju. W pierwszej chwili przez myśl jej przebiegło: „Juljan“.

Ale Maksymilian poważnie ujął jej dłonie i położył się skrońmi na nich.

— Przebaczenia błagam — zaczął cicho wzruszony. — Postąpiłem nie po przyjacielsku. Nie wart jestem pani.

Maud nic nie rozumiała.

— Cóżżeś pan zrobił takiego? Znowu zwątpienie we mnie?

— Ah, żebyś ty wiedziała, co ja przecierpię przez to zwątpienie. No, ale pomyśl tylko pani. Od dnia kiedy jesteś w Chamblais dostaję listy takie... wyłącznie o pani... o przyzwyczajeniach pani... taka mieszanina faktów, o których wiem, które widzę... jak ubiór... tualeta... jak, taka a taka przejażdżka, o której mi mówisz wieczorem... taka mieszanina tego wszystkiego i... oszczerstw.

— Które pan brałeś za oszczerstwa, nieprawdaż? — dodała Maud, usuwając rękę.

— Maud! — błagał Maksymilian. — Mógłbym zamilczeć o tem... Nie potępiaj mnie bo ja się przecie spowiadam. Posłuchaj, ja wszystko powiem, com zrobił. Cztery razy z rzędu odbierałem list pisany na maszynie, dziś o pół do szóstej wieczór panna de R. pójdzie na ulicę de la Baume, drugie drzwi na prawo od ulicy przy wejściu w przecznicę, do... Nie, nie ośmielę się nigdy powtórzyć tej niegodziwości, którą mi wypisali.

— Do kochanka! — dokończyła Maud. — Dlaczego nie możesz pan powtórzyć, jeżeliś w to uwierzył?

— Nie uwierzyłem... Cztery razy niszczyłem te listy i nie mówiłem ci o nich nawet. Wczoraj... No ja byłem szalony... ja...

— Kazaleś pan śledzić?

— Nie. Poszedłem na ulicę de la Baume. Na chwilę przed szóstą dorożka zatrzymała się przed bramą; wysiadła jakaś kobieta, figurę miała twoją... tak mi się przynajmniej zdawało. Rzuciłem się naprzód; drzwi się już zatrasnęły. Ah, Maud, jeżeli zgrzeszył przeciwko tobie... to ta godzina, więcej niż godzina, którą przestałem na chodniku przy ogrodowym parkanie, ta godzina zgładzi moją winę.

Maud słuchała już teraz w spokoju. Ale tajna zazdrość nurtowała ją: „Aha Julian się pociesza. Przyjmuje kobiety!”

— Kończ pan. O której-że godzinie wyszłam?

— Po siódmej. Skoro zobaczyłem otwierającą się żelazną bramę, straciłem głowę. Przyskoczyłem do tej kobiety... zatrzymałem ją za rękę... zmusiłem do odślonięcia się w świetle latarni.

— I to była? — zapytała Maud tak wzruszonym głosem, że bystrzejszy słuchacz na pewno by z niego wiele wywnioskował.

— Nie mam prawa wypowiedzieć jej nazwiska.

— Rozkazuję. Ja mam prawo poznać te nędzniczki, co mnie spotwarzają.

— Jest to pewna panienska, którą widziałem u was na balu... która się otwarcie umizgała do Juliana de Suberceaux.

— Julka Avrezac? — powiedziała Maud.

— Tak.

Nie wyrzekła już ani słowa. Maksymilian przyjął na swój rachunek to oburzenie, które tryskało z jej czoła, oczu, zaciśniętych ust.

— Przebacz mi! — i rzucił się na kolana, zanurzając twarz w spódnicy.

Maud uspokoiła się.

Powstań pan! — powiedziała prawie opryskliwie. — Nie lubię mężczyzn na klęczkach. Niech już tak będzie. Zapominam. Jeżeli to mogło pana wyleczyć, tem lepiej. Bo niepokoi mnie to serce pańskie... na przyszłość.

Podawała mu szyję. Dotknął ją płonącymi ustami, a ona trzymała tak ją przez chwilę nieruchomie, z jakąś żądzą zemsty. Nigdy jeszcze Maksymilian tyle od niej nie otrzymał, nigdy pocałunek Maksymiliana nie był dla niej tak bolesny.

II.

Od dnia śmierci Matyldy Duroy i wyjazdu Maud do Chamblais przerwały się schadzki jej z Julianem. Od tego czasu Suberceaux nie opuszczał klubu, odmową odpowiadał na najświetniejsze zaproszenia, omijał teatr i wszystkie te miejsca, gdzieby mógł przypadkiem sły-
szyć rozmowy o Maud i Chantel'u. Grał zawzięcie. Dzięki dwom cudzoziemcom, którzy co dnia stawiali na kartę całe polskie wsie, gra była wysoka. Zaczynano o piątej, grano aż do chwili, kiedy gospodarz wygłaszał partję. Suberceaux pierwszy przychodził, a ostatni wychodził z klubu; grał bez przerwy, z tem szatańskim szczęściem poćpieńców, którzy sami się boją tego szczęścia, gdy obładowani banknotami wracają do domu. Przez sześć dni wygrał prawie trzykroć sto tysięcy franków. Tylko ta niesłychana gorączka gry mogła go jedynie wyrwać z rozpacz, która go pochłaniała od chwili, gdy w tajemnych, dla niego tylko zrozumiałych znakach, otrzymał od Maud uwiadomienie o konieczności przerwania schadzek aż do czasu jej zamażpójścia.

Tak mu przechodziły noce i część dnia, poczem następował ciężki sen od szóstej rano. Ale fatalną prawdziwie chwilą dnia była dziewiąta godzina wieczorem: obiad skończony, wypalone cygara, partnerzy na przedstawieniu w foyer opery, albo przy pięknej pogodzie w Lasku, w klubowych ekwipażach. — On nie chciał ani

widowisk, ani koncertów kawiarnianych, ani Lasku, ani nic, coby mu przypominało światowe stosunki, ludzi, mogących zagadać o Maud i Maksymilianie. Długie minuty sączyły się jedna za drugą w głuchej pustce klubu, spowitego w wyziębły zapach tytoniowy. Myślał: „Co ona teraz robi? ... Czy on jest u niej? ... Co oni robią?...” Ciężła mu kamieniem ta pustka i cisza.

Jednego wieczoru, koło pół do dziesiątej, Hektor leśsier przesunął się przez salę do gabinetu kancelaryjnego. Nie wytrzymał, aby go nie zaczepić. Hektor z przyjemnością uściśnął mu dłoń: jakiś nieokreślony pociąg łączył jego dyletantyzm z tym wyśmienitym typem człowieka-zwierzęcia. Chętnie nadałby mu nawet, jak i Maud, prawo władania wszelką trzodą ludzką.

— Pan idzie pisać? — zapytał Julian.

— Tak... depezę małą. Za pięć minut jestem na usługi. Zaczeka pan?

Poczem dodał:

— Co pan robi w tem pustkowiu o tej godzinie, pan, taki bywalec?

— Oczekuję partji.

— Pojechał by pan lepiej do Lasku. Cudowny czas.

— Nudzi mnie Lasek.

— Iść posłuchać Yvetty.

— Nudzi mnie Yvetta.

Hektor zalepiając depezę odwrócił się nieco:

— No, a kobiety? — zapytał z uśmiechem.

— Co do kobiet — to mam wstręt do nich. Możebym i wyszedł, gdybym mógł się upewnić, że ich właśnie nie będę spotykał.

— No, no, co za pesymizm!

Oddalił się z depezą do skrzynki listowej, następnie usiadł wierzchem na kanapie i zaczął przy zapalonem cygarze:

— Bądź co bądź na tym padole płaczu kobieta wydaje mi się jedną z najistotniejszych rozrywek.

— Co do mnie — odpowiedział Julian, opierając się rękoma o kanapę i opuszczając z przygnębieniem na dół głowę — mnie już doprowadzają do nudności.

Nuda istotnie przesłoniła mu twarz. W tej ciszy dużych pokojów, w tem popołudniowym uśpieniu odpoczywającego Paryża, mówił dalej, raczej rozmyślał głośno, zadowolony, że ma życzliwe ucho do słuchania swego rozgoryczenia.

— O tak! Dojadły mi. Wszystkie teologiczne wycieczki przeciw nim są za delikatne wobec tego, co ja o nich myślę. Chciałbym zagładzić ten czas, który im poświęcałem. Zdaje mi się, że one zabiły we mnie wszystko: zamiłowanie do pracy, ambicję, chęć życia i pragnienie przyszłości.

Hektor nie miał zamiaru przerwać. Julian ciągnął po chwili milczenia:

— I powiedzieć, że się marzy o nich, o posiadaniu ich, o wzbudzaniu w nich pożądanego do samego końca tej dziecinady, dopóki się człowiek nie nauczy patrzeć na nie, dopóki nie przejrzy miłości. W kolegium jedynie tylko o nich myślałem. Nie byłem zbyt religijnym i wie pan co mnie najbardziej dręczyło? Oto, że nie będę nigdy posiadał wszystkich kobiet. Wszystkich! Potrzeba mi było wszystkich, aby mi życie było możliwe. A jednak byłem czysty, z tem wszystkim.

— To ciekawe — mruknął Hektor — takie rozdzielanie kochanka. Pan byłeś urodzonym amantem, fatalistycznym kochankiem. Ja w kolegium miałem już utrzymankę, każdy czwartek wieczorem przychodziła z Paryża, dziewczątka kochana, i dzieliła się ze mną moimi dochodami. I nic mnie to nie zasmucało. W życiu tak samo nie byłem kochankiem. Co prawda, nie jestem niezwyciężony.

— Nie kpj pan. Miałeś pan tyle kobiet, co i ja, a może więcej, bo... wierzaj mi pan, nie pozuję... czy pan uwierzy? Niektóre kobiety boją się mnie. Ośmieszyło by

mnie, gdybym każdemu opowiadał, ale nie jedna mi już mówiła: „Nie... stanowczo, pan jesteś za piękny...“ Piękność, to za marny środek w działaniu na nie. To ich własna broń. One zawsze będą silniejsze od nas... A zresztą... zawsze jest za dużo kobiet. Takie podobne jedna do drugiej, takie zwierzątka rozkoszy... wszystkie, najcnotliwszą podejmuję się przekształcić przez jedną noc. Ich czystość, ich uczciwość, to tylko poszanowanie względów, próżność, albo przyzwyczajenie. Ich dusza to ścieżka, którą można zawsze zaplamić swoim własnym zabarwieniem. Ciałami się różnią. I szczerze mówiąc, układanie całego programu życia, polegającego na wypieszczaniu się po największej możliwie ilości tych ciał — to głupi i nudny cel.

Wszedł służący dla uporządkowania papierów i gazet. Julian milczał dopóki tylko po pokoju snuła się liberja — potem na nowo rozpoczął:

— Co do mnie, to teraz — zbastowałem. Wyleczony jestem, zdaje się. Nie ciągnie mnie żadna. Na dnie rozputy dotarłem do czystości... Ot... dzisiaj przyszła do mnie jedna... debiutująca... przecie to najwyborniejsza zabawa dzisiejsza — nieprawda? Osoba młoda, mówią, że piękna. Zupełnie świeża. Przyszła, przesiedziała z godzinę; guwernantka na dole w powozie. Pocom ją przyjmował? Z lenistwa, dla zabicia trosk. Przeszło godzinę mi siedziała, przymilała się tak, jak tylko mogą się przymilać nasze najdroższe do bogatych bankierów, a ja ciągle myślałem: „Żebyś ty wiedziała, jak mnie to dręczy... jak nudzi“. No! — zakończył wstając i przybliżając się do Hektora — nie mówmy o tem. Mnie to denerwuje, a pana usypia. Idzie pan gdziekolwiek wieczorem? Jeżeli pan pozwoli, pójdę z nim, odprowadzę... Zabiję łatwiej godzinę przed partją.

Hektor wstał:

— Pójdę do opery. Mam się tam spotkać z przyjaciółką o tej porze. Chodźmy. Wybacz pan, jeżeli mnie

to przybiło trochę, co słyszałem dopiero co. Nawet zapytuję, czy pan przypadkiem nie gra przedemną roli?

— O, drogi mój, zaręczam.

— A jednak, piękny Julianie — rzucił Hektor, chcąc go ostatecznie wybadać — wpatrywałem się w pana, znam pana... I nie chce mi się wierzyć, aby wszystkie kobiety zubożniały ci.

Suberceaux wzdrygnął się.

— O kim pan chcesz mówić? — zapytał z chłodnym spojrzeniem.

Hektor przetrzymał uderzenie wzroku w milczeniu i ta jego swobodna równowaga przewyciężyła zły humor Juliana.

— A zresztą — odezwał się — ma pan słuszość. Jak cały świat, tak i ja wyłączam pannę de Rouvre z liczby innych kobiet. No, ale — dorzucił z wysiłkiem ironji — dzisiaj jest już ona poza granicami naszego uwielbienia. Data ślubuznaczona?

Starał się zapanować nad sobą, głos mu się jednak załamał:

— Ośmnastego, czyli za 9 dni.

— Ah! — wyrzucił Suberceaux.

Nie powiedział już ani słowa, wrósł na miejscu, zapatrzony w końce swoich kamaszków. Naraz podał rękę Hektorowi:

— Pożegnaj pana, drogi przyjacielu. Zapomniałem o pewnej sprawie, która mnie jeszcze czeka wieczorem. Do widzenia.

Nie zadał sobie trudu wyszukania innej wymówki. Hektor słyszał, jak ciężkie drzwi w sieni otworzyły się i zawarły. Później przez okno widział Juliana chodzącego szybkim krokiem pod ciężarem męczącej zadumy.

— Oto człowiek — pomyślał — przyparty do muru i który obmyśla losy dramatu. Co ja mam robić?

Rola Opatrzności nie bardzo się zgadzała z jego zrównoważonym sceptycyzmem. „Opatrznością być, to znaczy stwarzać szczęście jednych dla nieszczęścia drugich. Skąd ja mam do tego prawo?”

I zdało mu się, że jeszcze najlepszą alternatywą tego minimum zła jest małżeństwo Chantel'a z Maud.

— A następnie obiecałem sojusz Maud.

Zdecydował się napisać bilecik i wrzucić do skrzynki. Na bilecie: „Czuwaj przyjaciółko. W klubie spotkałem w stanie wzburzenia jednego z naszych przyjaciół, najpiękniejszego z przyjaciół”. Maud odbierze to jutro w Chamblais. Wyszedł i zakończył dzień w operze, zadowolony z tak rzadkiej emocji: przejrzeć do dna serce ludzkie i to w chwili namiętności.

Juljan tymczasem krokiem zmęczonym, skręcił na rogu Saint Honoré w ulicę Saint Philippe du Roule i odruchowo kierował się ku domowi. Przed bramą oprzytomniał.

— Wejść tam? Oh, nie!

Zwrócił się z pośpiechem na tę samą drogę i uciekał, jakby się bał zobaczyć w mieszkaniu swego sobowtóra.

Prosta i pusta ulica ciągnęła go długą perspektywą, oświeconą równymi rzędami świateł. Szedł, naprzód zdziwiony odgłosem własnych kroków na asfalcie, zdziwiony swoim cieniem, zdziwiony poczuciem istnienia. Bo zagadka życia, sterana w drzazgach codziennych, wydarzeń dnia, ogłusza nas w chwilach ciężkich przejść. Ten, który teraz szedł bez celu, jak wykolejona maszyna, pędząca tylko po to, aby ruszać kołami swemi, widział drugą jaźń żyjącą, myślącą, cierpiącą, a tą jaźnią był on sam.

— Za dziewięć dni... za dziewięć dni mężatką...

Wymawiał te słowa półgłosem i za każdym razem zdawało mu się, że mówi coś sprzecznego z istotą swego życia, z codzienną koniecznością rzeczy prawdziwych,

tak, jakby sobie mówił: „umarłem“, lub: „to jest sen, to są czcze widziadła, te domy, ta ulica, ten łoskot moich kroków“. I po każdym takim paroksyzmie myśli: „Maud mężatką... koniec... stało się...“, spazmatycznym wysiłkiem powracał do życia, jak duszący się w wodzie spazmatycznie szuka powietrza w środowisku bez powietrza. Jak marzenie, w sekundach przesunęły mu się lata, daty, słowa. Siła nadziei i zwycięstwa żądza, któremi pulsowała jego energia sześć lat temu, kiedy ambitny, chciwy sławy, pełen pożądań witał Paryż, — ta siła i żądza żyły jeszcze i buntowały go przeciw upadkowi: „To nie możliwe. Tego nie będzie. Ja nie chcę...“

Rozbita myśl sklejała okruchy rozumowań, broniła się dziecinny sceptycyzmem przeciw dziedzicznemu skrupułom sumienia i wychowania. „Posiadanie kobiety powinno być dla istoty uświadomionej tem samym, co załatwienie się z kubkiem dobrego likieru. Moralność, uczucie, dodane do tego aktu są tylko mrzonkami mniha, albo poety. Człowiek silny i rozsądny powinien używać na kobiecie, jak na innej ziemskiej przyjemności, dla własnego zadowolenia i dla własnego interesu“.

Ale dlaczego w tę godzinę męczarni jakiś silny popęd, niby żywioł natury pędził go do wprost przeciwej religijności i czystości?

„Jest prawo moralne nałożone na miłość. Widzisz dobrze, że cierpisz z innej przyczyny, a nie z utraty rozkoszy“.

Z innej cierpiał przyczyny. Nie teoretyczna zazdrość miażdżyła go. Naodwrot więcej niż kiedykolwiek uczuwał niesmak do ciała kobiecego, jak zresztą każda natura namiętna w chwilach kryzysu uczuciowego. Drepczyła go myśl, że Maud wyzwala się z niewoli pożądania go, że on-kochanek staje się jej niepotrzebny, podczas, gdy sam nie może jej odplacić takim wyzwoleniem.

Dziś doświadczał tego, pieszcząc w uściskach inną kobietę. Jego ciało, jego nerwy odmawiały posłuszeństwa. Ta nieobecna, mimo wszystko, władała nim; szalone pożądanie nawet na odległość utrzymało go w wierności.

„Ale i ona cierpi bez wątpienia“.

Było to osłoda jego zazdrości, że i ona ma swój krzyż.

„Nie podobna, aby tak brutalnie przestała mnie kochać. Cierpi... chyba że...“

Zwątpienie zgryzło go, przejęła go pospolita zazdrość o te całusy, które z jej ust bierze może inny mężczyzna. Szalała w nim mordercza nienawiść. I na nowo chwyciło go pożądanie ciała.

Wyrazistość wspomnienia: Maud... nagie ręce... poprawia fryzurę w dawnym pokoju Zuzanny du Roy... otrzeźwiło go nagle. „Gdzie ja jestem?“ Oświecił go jasny wylot mostu Europejskiego. Zadrżała w nim tajemna struna wspomnień o pieśczołach. „Cóż to, to samo miejsce?...“ Jak ranione zwierzę, szedł za instynktem do znanego miejsca.

Teraz musiał się poddać tej okoliczności świadomie. Ulicą St. Péterbourg skręcił w ulicę de Berne. Biedne prostytutki stały już tam na miłosnych czatach przy drobnych winiarniach z czerwonymi latarniami. Wieczór cichy, przymglony, rozkoszny i wesoły.

Przed domem Matyldy zawahał się. Brama była zamknięta, jak zresztą co wieczór. „Co powiedzieć odźwiernemu? Nie puści mnie do pokojów nieboszczki“..

Ale równocześnie przypomniał sobie, że zawsze go słuchano, ilekroć czuto w jego głosie akcent woli.

Wszedł do stróża. Stróżka była sama, zmywała naczynia. Osłupiała na chwilę, gdy Julian tonem rozkazu, który nie znosi odmowy, zażądał klucza od mieszkania. Paryski lud ma szacunek dla śmierci. Poza tem dla niczego innego.

— Zostawiłem tam pewną rzecz, którą chcę zabrać — powiedział Suberceaux — usiłując przyprowadzić do równowagi tę prostą naturę.

Stróżka dała klucz. Julian przebiegł wszystkie trzy piętra równie pospiesznie, jak za czasów schadzek. Nareszcie pragnął czegoś!

Śmierć właścicielki nie zmieniła w niczem mieszkania pani Duroy. Stwierdził to, zapaliwszy świecę, stojąca jak zwykle na niskim kredensie w przedpokoju. Ani jeden sprzęt, ani jedno malowidło, ani jedno obicie nie ruszono z miejsca; tylko mdła woń opustoszałego mieszkania przepelniła powietrze, walcząc z tym delikatnym zapachem, który na długo pozostaje po ciałach kobiecych tam, gdzie się one rozbierały i ubierały, gdzie spały. Przedewszystkiem w „pokoju Zuzanny“ unosił się jeszcze ten zapach rozproszony w powietrzu, w fałdach firanek, w kołdrze nie zasłanego łóżka, we flakonikach, w toaletowych gracikach, których Maud nie zdołała zabrać.

Julian wszedł tam ze ściśniętym sercem, pozapalał kandelabry na kominku, odnowił tę drogą miłosną atmosferę, która taką wesołością jaśniała podczas zimowych spotkań. Pragnął się rozkoszować goryczą. Ale hallucynacja ominęła go. Ani na sekundę nie miał tego złudzenia, którego pożądał. Cierpiał tylko jeszcze srożej pewnym rodzajem cierpienia cichego, bez łez.

Wkrótce powstał, odruchowo szukając broni, przedmiotu, rzeczy, którą by mógł sobie śmierć zadać.

— Żle mi.

Ogarnął go wstręt do życia. Rzucił się na łóżko, zerwał kołdrę, gryzł prześcieradło. Ogarnął nim szat zniszczenia, zniweczenia przeszłości. Druzgotał łóżko, jak dziecię druzgocze mebel, o który się potrafiło. Nagle z pod wezglowia wyłonił się szmat batystu, koszula Maud, panińska, nieprzejrzysta, choć cienka, jaką powinna być bielizna daleka od celów miłosnych, prze-

nikliwy zapach ambry i paproci, zmieszany z zapachem jej ciała, uderzył mu w nozdrza i naraz ośladnęło nim uczucie miłości, zwykłej ludzkiej miłości, którą skrywał tajemnie przed sobą.

— Maud, droga Maud!

Krzyk ten wyrwał mu się wśród lkań. Osamotniony, ogłuszony, złamany, zanurzył się cały w tej jedynej żyjącej dla niego, choć bezdusznej pamiętce po Maud.

I nagle poprzez rozpacz odżyły w nim w jednej chwili dziecięce wierzenia. A więc mgliły się one pod chorobliwa, zakurzona powłoką życia. Modlił się; do imion świętych, mieszał imię tej, której uwielbienia godne ciało sprofanował. I w ten sposób, jak każda organizacja na nowo wierząca, zaczął deptać wszelkie rozumowania i w jednym spazmie wiary chciał wyżebrać wszystkie łaski, które się sprzeciwiają wierze i moralności. Jak za lat chłopięcych czynił śluby Najświętszej Pannie i św. Patronowi dla uzyskania łaski, czy wyproszenia przechadzki, tak teraz obiecywał im poprawę życia: „Ożenię się, będę pracował, będę żył z nią świecie... Ale oddajcie mi ją!...“

Tragedją były rozpaczne jęki tego młodego, pięknego człowieka, wyrzucane z ust, zatopionych w bieliznie dziewczęcej, w tej bieliznie, co miała służyć za ochronę wstydlivosti, a która służyła jako środek namiętności w lubieżnych pieszczotach.

Jedenasta biła, gdy schodził na dół. Odźwierna czekała nań na progu mieszkania. Wetkniętym w rękę luidorem uspokoił wszelkie jej wątplivosti. Jakoś rażniej stapał teraz po bruku ulicznym: przez uzdrawiające łyzy, przez smutek i rozpacz dotarł do dna sumienia, a tam w gruzach zwątpienia natknął się na resztki moralności i wiary, na strzępy niezniszczalnej nadziei, która mimo wszystko drzemie w każdej zrozpaczonej duszy.

„To stać się nie może. Ona nie pójdzie za Chantela“, szeptało mu jakieś potężne przeczucie wbrew wszelkiej

rzeczywistości. Jak się to stanie, jak to dojdzie do skutku: przez niego, czy bez niego? Nie wiedział. Czuł tylko, że ma prawo wmieszania się do rozbicia tego związku, ale nie wiedział nawet, o ile i czy wogóle z prawa tego skorzysta.

Cierpiał ciągle, ale bólem zdrewniałym i głuchym, bólem, który nie rozumował, który zaledwie odbijał się o jego świadomość. Od tej chwili wpłynął w koryto swojego codziennego życia. Poszedł do domu, ze zwykłą starannością przebrał się, wyszedł. Ktoby go ujrzał we fraku, w lekkiej zarzutce, z kwiatkiem w lewej klapie, z cygarem w ustach, krokiem prawdziwego bulwarowca przechodzącego ulicą Saint-Honoré, wstępującego następnie do klubu i siadającego przy stole do zwykłej partji, przy koszyku z liczmanami, ani by przypuścił, że ten elegancki pan żyje od piętnastu dni w stanie ciągłej gorączki, a od szczęściu w atakach szaleństwa, że ten pan przed dwiema godzinami konał z rozpaczy nurzając się ustami w szmacie batystowej.

Partja była już w toku. Siadł na kilka chwil do poniterki, a następnie przyjął bank. Trzymał go całą noc, okupując każde prawo zatrzymywania kilkoma tysiącami luidorów. Zakończono grę koło piątej, poniterowie rozeszli się z tą zwykłą radością poniterów po zwycięskiej walce z bankiem. Bo tym razem wszyscy wygrali, wytrącając Julianowi z kieszeni trzysta tysięcy franków, całotygodniowy jego dorobek.

Zawsze grał spokojnie, ale dziś spokojem podbił najbardziej zawistnych. Z absolutną równowagą patrzył, jak cała fortuna jego topniała. I gdy już wyszedł z klubu, gdy dotarł do domu, całemi piersiami zaczerpnął świeżego wiosennego powietrza.

Co tu mówić. To niepowodzenie napelniało go raczej jakąś radością. W jego fatalistycznej wyobraźni wyrobił się bezwiednie taki aksjomat: „jeżeli tej nocy przegram, to ich małżeństwo nie dojdzie do skutku!“ Przegrał tyle,

ile tylko mógł przegrać, powrócił do domu jako właściciel tego, co miał na sobie; ale powrócił instynktowym właścicielem tej wiary: „małżeństwo ich nie dojdzie do skutku“. Nie dociekał, jak to się stanie; był spokojny, czuł, jak mu w mózgu kiełkują chaotyczne jakieś plany jednodniowe, jak te jednodniowe kwiaty, co przez jedną noc wyrastają, przekwitają i mrają. Położył się spokojny do łóżka i zasnął cicho, a koszula Maud wiała mu w nozdrza zapachem.

To była dusza urodzonego gracza, zawzięta i dziecinna zarazem, zabobonna i płocha, dusza kobieca, dusza władcy świata, jeżeli losy zdobędą mu świat.

III.

Dzielnica Saint-Sulpice, serce tej części miasta, którą municypalny spryt zmienił w ostatnich czasach do niepoznania, zdołała zachować jeszcze swój kościelny charakter. W cieniu wież, porównanych przez Wiktora Hugo do potwornych klarnetów, w cieniu wielkiego seminarjum, gdzie dotąd jeszcze tkwi kamienna posadzka, zwilżona łzami Madony — w półcieniu tajemnych zakątków kryje się handel świecko-duchowny, żyjący z księży i z wiernych: przekupnie posągów, handlarze świec, stuł, mszałów, brewiarzów, horae diurnae. Same ulice noszą eklektyczne nazwy: Saint Placide, Princesse, Cassette, Vieux-Colombier. Jest to także dzielnica specjalnych zajazdów dla podróżnych księży, pokornych zakonnic, prowincjonalnego jakiego biskupa, lub pobożnej rodziny. Numery w tych hotelach mają pozór szpitalów, bielone belki przeciągnięte przez powały, łóżka o spiczastych krawędziach z perkalowemi firankami, z kłęcznikami, krucyfiksami. Taka religijna atmosfera tam panuje, że dziwnem się wydaje, dlaczego przechodząca pokojowa nie nosi czepeczka, habitu, krzyża i długiego różańca na piersiach. Zamiast restauracji prawdziwy refektarz, serwisy ciężkie, duże karafki, czyste obrusy, choć pocerowane. W post należy uprzedzać, jeżeli się chce jeść beafstack na śniadanie, a w dodatku służący, podając go, rzuca na gościa nieufne spojrzenie. Biuro

hotelowe umeblowane mahoniem, ozdobione wazonami ziół, które na południu nazywają miotłami. Na stole: La Croix z krwawiącym się Chrystusem na krzyżu, L'Univers, La Revue du Monde catholique.

W jednym z takich hotelów des Missionaires mieszkała pani de Chantel z dziećmi. Zajmowali apartament na drugim piętrze z widokiem na Notre-Dame des Champs i częściowo na klasztorne ogrody, gaiki, klomby, sadzawki i posągi świętych. Pokoje pań łączyły się ze sobą. Maksymilian miał numer zwrócony na seminarjum.

Napewno ten klasztorny pokój nie gościł jeszcze dotąd ani jednego podróżnego z tak burzącymi się i gwałtownymi uczuciami. Pokój ten widział, jak całe godziny Maksymilian trawił na wpatrywaniu się w portret Maud, jak się rozplýwał we wspomnieniach kilku rokosznych chwil, spędzonych z nią, albo, jak w godzinach gorączki i zawodu targała nim żądza ucieczki do swojego zacisza w Vézeris.

Prawdziwe uczucie poznaje się po tem niesłychanem osamotnieniu, które otacza naszą duszę. Hulaka, dotknięty tą tajemniczą słabością, będzie szumił dalej, ale będzie zawsze sam wśród ludzi. Wyobraźmy sobie teraz stopień tego osamotnienia w duszy odludka, osamotnionego z powodu okoliczności zewnętrznych i upodobania własnego. Oprócz dwóch lat przebytych w Saint-Cyr i trzydziestu miesięcy służby w pułku, resztę życia Maksymilian spędził w Vézeris wśród rodzeństwa, chłopów i nauczyciela klerykała.

Na lata służby wojskowej przypadła u niego kryzys męźnienia, ale już przed powrotem do Vézeris nabrał niesmaku do kobiety, jako do płatnego narzędzia rozkoszy płciowej — i to skłoniło go do wstrzemięźliwości. Żądza posiadania kobiety kochanej stała się dla niego monomanią w ostrych rozmiarach. Cierpiał przez jej nieobecność; gniewało go, że jej tu niema, gniewała go

własna niezręczność, która mu przy niej dławiała słowa, odbierała odwagę prośby o pieszczotę z obawy narażenia na wstręt. Z drugiej strony cierpiał nad zanikiem woli, nad nieładem energii. Niezachwiana świadomość zdrowego umysłu mówiła mu, że do niczego nie doprowadzi takie małżeństwo, do którego się z góry idzie pod ciężarem ofiary. Tyle razy w chwilach samotności rozmyślał nad swoją przyszłością małżeńską, jako połączeniem woli i przewagi umysłowej z cichą uczciwością kobiecą! I oto zaręczył się z kobietą, noszącą takie wybitne znamię rasy władającej, jaką zapewne nosiły także Rzymianki — te, które zaczęły kochać swoich mężów, pochmurnych, wzgardliwych niewolników, uwielbiających swoją niewolę. Maksymilian, pobudzany wewnętrznym instynktem godności osobistej, gwałtem zmuszał się do milczenia. „Chcę być takim... Chcę słuchać!...“

Ale czego nie mógł przydusić i zmusić do milczenia, to tego krytycznego głosu, który go pędził ze Saint-Amand do domu, który nurtował nim, gdy z Hektorem le Tessier wchodził do opery, który go ostrzegał podczas obiadu w Chamblais i który bez przerwy szeptał: „Nie takiej ci trzeba kobiety. Szaleństwem jest z twojej strony wyszukiwanie żony ze świata sztucznego, który ci jest obcy. W dniu, w którym ją pokochałeś, pochłonał cię błąd, wywołałeś katastrofę.“ Ten ustawiczny głos mącił mu wszystkie jaśniejsze chwile i zgrzytem wżerał się w melodię radości, która mu się cisnęła do serca po wizytach w Chamblais, po upojeniach obcowania z Maud. A czasami nawet przy niej ulegał takim napadom, gdy zaniepokojona grą jego twarzy pytała: „O czym pan myśli?“ W tej gorączce zmysłów, spadły na niego oszczercze listy. Przysięgał Maud, że ma w niej wiarę, że nie chce wątpić, ale jak czytać bez męki listy tak dokładne, opisujące szczegółowo jej toaletę, godziny jej wyjazdów, spacerów? Cierpiał, walczył ze

sobą, szukał ostoi przeciw zwątpieniu w słowach Hektora: „Niema w Paryżu ani jednej światowej dziewczyny, którąby w opinii nie łączono z jakimś towarzyszem złych zabaw. A panna de Rouvre jest zbyt piękną, aby uniknąć potwarzy. Uzbrój się pan w cierpliwość, opancerz swoje serce...“

Mimo wszelkie rozumowanie, mimo nienaganne postępowanie Maud, które mu mogło służyć dowodem, pomimo pogardy, jaką każdy uczciwy człowiek ma dla anonimów, mimo własne życzenie — wątpił, choć nigdy nie powiedział sobie: „wątpię.“

Cokolwiek by się mówiło i pisało o podłości listów bez podpisu — nie dojdzie człowiek, choćby najzimniejszy, nigdy do tego, aby bez wzburzenia przyjął wiadomość o zdradzie ukochanej kobiety, choćby miał dla niej szacunek nieopisany. Bo list anonimowy w najlepszym razie przypomni kochankowi tę straszną zagadkę: „co ja wiem o jej myślach?“ Bo o najbardziej szczerzej i oddanej kobiecie człowiek rozsądny wie jedynie to, że nigdy nie wie wszystkiego.

Maksymilian zapoznał się z dręczącym wewnętrznym mozołem — trud myśli, która kłos za kłosem zbiera z pola pamięci drobne wspomnienia, układa, wiąże narzeczcie w jeden olbrzymi snop, który zaczyna mu ciężuć, gniesć.

Pamięć jego pracowała wytrwale, jak niestrudzona żniwiarka. Saint-Amand... pierwsze spotkanie... „Matce brak na wychowaniu... młodszej siostrze także... Ona piękna i umie być dobrze ułożoną, ale nie ma pozoru dziewczęcia.“ I już teraz przypomni sobie, że od chwili tego dnia jesiennego ciągle potrzebował zewnętrznego zapewnienia dla wiary w Maud. Cieszyło go, gdy słyszał od matki: „jakie to miłe kobiety te panie de Rouvres.“ Joanna milczała, ale Maksymilian wyczuwał, że nie lubi ich towarzystwa. No, ale Janka taka dzika. — Mijają

długie miesiące: samotność... ale zwątpienie nie ustępuje, jak nie ustępuje myśl o niej. Przyjazd do Paryża, wizyta na ulicy Kleber; Maud taka władczyni, zdająca się nie słyszeć i nie widzieć tego, co się dzieje naokoło... „Czysta, w tym brudzie? Czy to możliwe?“ I znów rośnie niewiara, dławi potęgującą się miłość. Idzie za nią, jak cień... Przedsiónek opery: Suberceaux, ze zmienioną twarzą, jednym uderzeniem wzroku zmusza Maud do opuszczenia ramienia Maksymilianowego, zamieniają tajemne słowa. Maud uspokaja go. Wystarcza mu każdy pretekst, bo jest przy niej, w jej atmosferze, a jakie to teraz dziecinne się wydaje, to jej tłumaczenie! Widoczne kłamstwo, on teraz wie, że Julian nie szaleje za Martą Reversier... Nowy moment: obiad w Chamblais; niezatarta sielankowa wyprawa na staw. On się odważa na pierwszy pocałunek — ona się wrywa. Dlaczego? Z niewinności — czy też to odruch wstydu? Tak myślał wtedy. Teraz zimny rachunek roześmiał mu się w twarz. On teraz wie, że w świecie tych zawodowych kusicieli młoda dziewczyna, nawet uczciwa, nie obraża się o całus. Więc? Uczuł, jakby pchnięcie sztyletu w piersi. „Więc ona innego kocha i dlatego odczuwa wstręt do pieszczoty z kimkolwiek.“ On na przykład? Nie dotknąłby się innej kobiety. Gdy jednak konsekwencją swojego rozumowania dochodził do tego straszliwego punktu przekonania, uczuwał potrzebę zatracenia owej świadomości, potrzebę niewiary w ową piekielną prawdę. Więcej niż przerażające byłoby odczucie wstrętu, czy też przymusu u tej najukochańszej, u tej jedynej. Prędzej zdrada, niż przymus! Usilnie rozpoczynał wtedy taką pracę: „Przecież ona taka dobra dla mnie, tak się stara przypodobać. Czyż się nie wyrzekła świata podczas mojej nieobecności, nie żyła zdala od ludzi? Albo i to, czyż mi nie mówiła, co sądzi w gruncie rzeczy o tym świecie swoim?“ I kwitły mu wtedy błogie godziny.

Nastał okres przygotowywania się do małżeństwa, czas wypoczynku moralnego. Na śniadaniu już był w Chamblais, spędzał tam popołudnie; wieczornym pociągiem z powrotem do Paryża. W pogodny dzień chodził piechotą ze stacji do pałacu Armidy ścieżynkami leśnymi na przełaj, a Maud wychodziła naprzeciw aż do bramy wiodącej z parku do lasu... Ta jasna, kochana sylwetka, wyraźnie wycięta na zielonem tle drzew! Ta droga twarzyczka, ten ciepły uścisk długiej wytwornej ręki, powrót z nią do Chamblais! To były najmiłsze chwile! Albo i te samotne pogawędki w cieplarnianym zakątku. Nie lubił tylko w tych chwilach obecności czy to pani de Rouvre, Etiennetty, czy Jakóbiny. Nie mógł swobodnie wyznawać, że ją wielbi...

Po takim rozkosznym dniu wracał do swego klasztorного hotelu koło jedenastej wieczorem. Upojenie, szal! Sen go nie nęcił. Chciał, leżąc, przeżyć po raz drugi dzień cały. Wtedy nie wątpił i był pewny swojej Maud aż do chwili, kiedy nowy anonim nie wtrącał go w otchłań zabójczej myśli i niewiary.

A co mu podwajało mękę — to męka samotna. A musiał pozostać samotnym. Bo i jakąż by mu pomoc przyniosła matka lub siostra, ze swojemi sercami równie gwałtownemi, a niższą bądź co bądź umysłowością? Patrzyły na jego ból, nie śmiejąc prosić o zwierzenie i spowiedź, choćby już ze samego szacunku dla głowy domu, ze szacunku wrodzonego u ludzi rasowych i rodowych. Cierpiały więc tylko, patrząc na jego cierpienie. Prawie jedynym przedmiotem ich rozmów była troska Maksymiliana, jego melancholia i bezwiednie okazywane roztargnienie. Pani de Chantel, natura szlachetna, zamknięta w swoim czystym życiu, nie mogła nawet i prze czuć istoty cierpienia syna. Sama kochała niegdyś namiętnie i tłomaczyła sobie jego ból nadmiarem uczucia i niecierpliwością miłosną. Takie przypuszczenie nie dziwiło jej czystej duszy, bo w swoim czasie, aczkolwiek

w stosunku do swego męża uczuwała tak samo miłość krańcowo namiętą, miłość niewolnicy; i do dziś dnia oplakuje męża nie mniej, niż nazajutrz po śmierci.

Joannie i tego doświadczenia brakowało. Nie mogła więc tembardziej tłumaczyć sobie duchowej rozterki brata. Wiedziała tylko, że cierpiał dla Maud — i, jak u prawdziwej kobiety, zaczęła w jej sercu kielkować głucha nienawiść do tej, co skradła jej brata. Borykała się z tem uczuciem po chrześcijańsku — chciała kochać Maud. Nie mogła. Ilekroć widziała Maksymiliana w bólu i męce, zaczynała nienawidzić „tamtą“ jakąś instynktowną, nienawiścią, jaką n. p. uczuwa jedna rasa do drugiej. A równocześnie uczuwała, że sama zaczyna kochać, że zaczyna ją przenikać szczerzy żar tego nieznanego ognia, że odbiera wrażenie ślepcy, któremu naraz z oczu spada ta zasłona, co go od światła dziennego oddzielała. Nie miała jeszcze odwagi przyznać się przed matką, a czuła, że przyznać się trzeba kiedykolwiek. Kochała tak, jak brat i matka: gwałtownie, z przeświadczeniem, że albo się stanie to, czego pragnie, albo życie całe złamane...

Matka i siostra poza wspólnemi zwierzeniami miały jeszcze modlitwę. Ile to chwil popołudniowych spędziły w cieniu kościoła Notre Dame de Victoires. Jak gorąco prosiły o szczęście dla tej głowy domu! Joanna do tych prośb dodawała jeszcze nieśmiało swoją własną, o szczęście swoje własne. Wydawało jej się ono takie odległe, takie niemożliwe, a jednak jakaś silna, jakaś młoda ufność szeptała w niej: „to przyjdzie!“

Maksymilian nie modlił się. Podczas, gdy Julian de Suberceaux w chwilach nieszczęścia doszukiwał się strzępów dawnej wiary z czasów dzieciństwa, ten czysty, prawy, religijnie wychowany Maksymilian nie mógł się już modlić, nie mógł już wierzyć...

Zaledwie dorósł, odpadła mu wiara, tak, jak innym opadają włosy — zupełnie bez przyczyny, bez bólu.

Dziwne jest to tchnienie wiary, co w jednych wstępuje, innych opuszcza, co staje w sprzeczności z wychowaniem, dziedzicznością. Maksymilian był tak do gruntu pozbawiony wiary, że nawet nie przeczuwał potrzeby modlitwy: nieomylny znak ateizmu.

Nie mając więc ostoji moralnej w swoich troskach, musiał upaść. Ostatni anonim dobił go. Pisano go na maszynie, brzmiał tak:

„Pan najwyraźniej zamyka oczy na nieszczęście własne. Zaślubiasz pan potwora. Ostatni to list, jaki ci pisze osoba życzliwa. Strzeż się! Jeżeli nie jesteś pan dzieciakiem, albo szalonym, przyjdź dziś, we czwartek, między piątą a szóstą na ulicę de la Baume, pod dom z niewielką bramą żelazną, drugi z rzędu od przecznicy Percier. Co panu szkodzi to uczynić. Nikt nie może wiedzieć, czy prawdę piszę, a tym sposobem upewnisz się pan zupełnie...“

Dosyć zręcznym psychologiem był ten pan tajemniczy, czy pani, który się podpisywał: „Roztropność“; ostatnie dwa argumenty przekonały Maksymiliana. Pierwszy działał na uczucia niższego rzędu: „Nikt nie będzie wiedział“. Drugi jaśniał nadzieję wyzwolenia; była to szczypta morfiny, pokazana choremu na nerki: „małe ukłócie, a przestaniesz cierpieć...“ O piątej był już na ulicy de la Baume. Widział ją wchodzącą, tę, którą na pewno brał za Maud; przeczekał pięć kwadransów przed żelazną bramą. Pięć kwadransów wizji: „Maud w objęciach Suberceaux'a!...“ Pięć wieków! Nie! To nie było ani długie, ani krótkotrwałe, to poprostu nie było czasem, wszelkie objawy trwania znikły, w każdej pojedynczej sekundzie przemęczył się całym swoim męczeństwem. I nareszcie wyobraźmy sobie tę nadludzką radość zmartwychwstańca, jaką musiał przeżyć Maksymilian, gdy się naocznie przekonał, że kobieta owa nie była Maud. To go nie tylko upewniło, ale rozjaśniło wszelką mistyfikację: kogo innego brano za Maud. Osta-

tni anonim prawdę powiedział: Maksymilian nie mógł się lepiej upewnić.

No i nawet nie trafem stała się historia romantyczna. Nie trafem, bo Julian, jak na przezornego fachowca przystało, poza Maud miał zawsze w odwodzie drugą artystkę do dublowania roli kochanki. Te posłuszne dziewczeczki skrócały mu ciężkie chwile tęsknoty za Maud. Tak się i dziś stało: dał depezę do swojej powiernicy, pani Duclera i Juleczka Avrezac stawiała się na wezwanie, uszczęśliwiona tą zupełnie nieoczekiwaną schadzka.

A Maksymilian powrócił do swoich Misjonarzy pijany radością. Matka ze siostrą czekały nań z obiadem, który jadali zwykle we wspólnym refektarzu z zakonnicami w czepcach i z atletycznymi brodacami w sutannach.

Maksymilian ucałował obie panie z taką szaloną radością, że ta radość udzieliła się i im. Cieszyły się omal tak, jak i Maksymilian. Zapanowało ciepło i pogoda. Nie mała musiały się zgorszyć zakonnice w czepcach i brodacze w sutannach, gdy przy tym pokutniczym stole na deser z hukiem otworzono butelkę pianistego trunku, który na etykietce nosił dość oryginalny napis: „Autentyczny szampan św. Józefa.“

W Maksymilianie zamarło zwałpienie. Uczuwał prężną potrzebę wyznania się przed Maud, czuł, że musi paść jej do nóg i wyznać wszystko. Nie mógłby pod żadnym pozorem zataić tego przed nią. Uczynił też to nazajutrz — i cały dzień przeszedł mu w spokoju. Piękna, cicha, miesięczna była noc, gdy po tem wyznaniu kładł się do łóżka. Marzył o Maud. Świt poranny wyblękitnił szyby, gdy zasypiał.

Była to ta sama chwila, gdy Suberceaux wracał do domu zrujnowany a spokojny i z całym zaufaniem wma-
wiał w siebie: „Małżeństwo to nie dojdzie do skutku...“

IV.

Nazajutrz, gdy Julian obudził się, miał tylko jedną świadomość: „małżeństwo to do skutku nie dojdzie“. Reszta była chaosem, nocą, jak u każdego zdecydowanego monomana, — człowieka, który rano wstaje, ubiera się i zupełnie swobodnie idzie przed siebie, aby ukraść lub zabić... Juliana w taki sposób pchała przed siebie konieczność wywołania katastrofy, która by rozłączyła Maksymiliana z Maud. Biegunem jego myśli było teraz: „Chamblais, pociąg ranny... codzień jeździ...“ Nawet nie wiedział kiedy i kto mu mówił o tem. Nie mógłby zdać sobie sprawy, że słyszał to od Hektora le Tessier. Ubrał się dość szybko, nie namyślał się, nie cierpiał nawet. Rozpacзлиwa newralgia jego duszy jeżeli się już nie uspokoiła, to bądź co bądź zdrętwiała, przygłuchła. Gdy zaalarmowany wczesnem dzwonieniem służący zapytał z niepokojem, czy nie jedzie przypadkiem na pojedynek odpowiedział prawie wesoło:

— Nie, Konstanty. Jadę tylko na wieś.

To była prawda. W tej chwili nie wiedział o żadnym dalszym celu.

Wkładając zegarek do kieszonki, machinalnie szepnął: „kilka minut po dziewiątej, trzy godziny spałem.“ Kierunek jego myśli pracował tylko w sferze jego bezwiednego popędu: przypomniał sobie, że pociągi odchodzą na północnym dworcu w pięć minut po każdej półgodzi-

nie. „Przybędę trochę zawczasie... około pół do dziesiątej... Tak, zobaczę Chantel'a...“

Instynktownie natrafiał na swój najgłębszy cel. Życzenie bezwiednie formułowało się w przekonanie. Widzieć Maksymiliana... na co? Zabić go, czy błagać? Przekonywać?... Nie wiedział jeszcze.

„Trzeba, abym go zobaczył...“

Przybył na dworzec na kilka minut przed odjazdem pociągu. Ludzi mało. Był sam jeden w przedziale. Pociąg ruszył. Julian począł układać plan; właściwie biernie podlegał jasnowidzeniu tego, co się ma stać. Za pół godziny niespełna będzie w Chamblais na dworcu... Mały dworzec czerwono-żółtawy... prawie na pustkowiu, w okolicy płaskiej... monotonne lasy. Przypominał sobie również poprzeczną drogę do pałacu, leśną ścieżką prowadzącą do bramy, obitej łątami... Tamtędy pójdzie Maksymilian. Czy pójść czekać nań na tę drożynę? Przyzwyczajenie do wytwornej poprawności mówiło mu: nie. Czekać na drożynie, jak złodziej? „To jest niemożliwe... Trzeba czekać na dworcu... A jeżeli Maksymilian pojedzie dziś powozem wprost z Paryża...?“

Jakiś stanowczy instynkt mówił mu: nie.

Napewno czuł, że Maksymilian przyjedzie pociągiem. „Zobaczę go.“ Teraz już wiedział, jak się wszystko stanie: wmiesza się na dworcu między ludzi, potem zbliży się Maksymiliana. Znają się przecież... Co z tego wyniknie?

Na razie dalej nie przewidywał. W głębi duszy spodziewał się, że Chantel okaże zniecierpliwienie. To będzie pretekst do pojedynku. Ach, bić się z nim raz przecie! Zabić! Zabić! Zakończyć wszystko i nie zaczynać na nowo. Jedno pchnięcie szpada.

Kierunek jego odruchowych popędów zmienił się: teraz widział przed sobą szmat białej koszuli, złożone w krzyż szpady. Więcej nic. Znowu nic...

Kto przechodził pragnienie bicia się z człowiekiem prawdziwie nienawistnym, ten rozumie w innym zwierzęcą żądzę krwi. Kilka cali żelaza zagłębione w pierś przeciwnika i... koniec. Droga wolna.

Juljan pragnął namiętnie tej chwili. Z lubością rozkoszował się tem pragnieniem. Ze smutkiem przeszedł od tego snu do zimnej rzeczywistości. Przybył do Chamblais. Na Maksymiliana musiał czekać do następnego pociągu, mimo to nie czuł nudy: tak go przykuła ta jedyna i ostateczna myśl. Błądził po sali, wpatrywał się w fasadę, w lasek.

W ostatnich minutach oczekiwania zdało się Julianowi, że całe to spotkanie, pierwsze ich słowa były już z góry ułożone, wyreżyserowane, jak wejście na scenę dwóch aktorów. Postanowił być poprawnym, panem sytuacji, wyzyskać pierwszą oznakę zniecierpliwienia ze strony przeciwnej jako powód do przerwania rozmowy, powrócić do Paryża, wyszukać dwóch sekundantów, zapewniając sobie prawo propozycji broni. Zresztą był pewny, że skoro tylko pojedynek dojdzie do skutku, musi zabić Chantel'a, nietyle z tego powodu, że wyśmienicie strzela, ile z powodu morderczej stanowczości, jaką przeczuwał w sobie na chwilę spotkania. Bo jakąż w rzeczywistości niepomierną wyższość nad przeciwnikiem ma ten, który w każdym razie woli to, co będzie, od tego, co jest, bez względu na rezultat taki, czy owaki.

Ale rzeczywistość lubi igrać z planami, zrodzonymi we śnie lub gorączce. Tak się stało i z Julianem. Mimo całe przygotowanie i ułożenie spotkania z Maksymilianem, mimo półgodzinne oczekiwanie na chwilę decydującą, zaskoczył go chaos wychodzącego tłumu i stało się, że nie on Maksymiliana, ale Maksymilian jego dostrzegł pierwszy stojącego nieruchomo, niewrażliwego, jak widmo nieszczęśliwego przeznaczenia na samym progu drogi do Maud. To było pierwsze wrażenie Maksymiliana. W tej chwili jednak uprzytomnił sobie: „Ale je-

żeli... to chodzi o tę przedwczorajszą sprawę... mała Avrezac..." Szalona dziewczyna poznała go zapewne i poskarżyła się kochankowi, który teraz przychodzi po satysfakcję. Nie zauważył na razie ani opóźnienia żądania, ani oryginalności w wyborze miejsca. Nie miał wątpliwości, że idzie o tę sprawę. W Maud, jej niewinność wierzył teraz przecież, więcej, niż kiedykolwiek, wierzył, bo wszak sam się naocznie przekonał, że nie Maud, ale Julka Avrezac jest kochanką Suberceaux.

Zbliżył się do Juliana:

— Pan na mnie czeka?

I tak to nieoczekiwane pytanie podziałało na Suberceaux, że na chwilę się zmieszał, na sekundę i stracił wypróbowaną postawę wyzywającego. Natychmiast jednak przyszedł do siebie i oblekł twarz maską spokojnej ironji.

— Cieszę się, że pana spotykam, panie Chantel — odpowiedział. — Szanowny pan zapewne do...

— Do Chamblais, tak jest panie. Mam jednak chwilę czasu — i jeżeli pan sobie życzy, możemy przystąpić bez zwłoki do...

— Jak panu się podoba — odpowiedział Suberceaux.

Kilku z przyjezdnych znikło już, zdążywszy powsiadać do dylżansów publicznych. Maksymilian i Suberceaux udali się w stronę lasku. Nie mówili do siebie nic, jakby ich przytłaczał ogrom horyzontu, jakby ich podsłuchiwał nagi krajobraz. Człowiek nigdy się nie czuje szczerym i zdolnym do wynurzania, dopóki go otaczają szczerze i obszerne ramy naturalne. Dopiero gdy doszli do drożyny, łączącej lasek z pałacem Armidy, zwolnili kroku.

— Panie — rozpoczął Maksymilian — przed wszelakiem wyjaśnieniem, jakie mieć miejsce może, czuję się zmuszonym do wtajemniczenia go w sferę moich uczuć, to mi pozwoli łatwiej wyrazić szczerze ubolewanie nad tem, co zaszło. Działalem pod naporem gwałtownego stanu uczu-

ciowego, który nie może rozumować... pan to powinien pojąć... Wobec tego... przepraszam osobę, o której rzecz... Skończyłem.

Jest coś ironicznie tragicznego w tych nieporozumieniach, które przeznaczenie nasuwa ludziom w chwili i bez tego tragiczne.

Juljan nie pojął, o czym mówi Maksymilian, ale ani mu przez głowę nie przeszło, aby się to tyczyło jakiej innej kobiety, prócz Maud. Julietta Avrezac tak była daleka od jego myśli, jak i każda inna kobieta poza Maud de Rouvre. Pojął tylko, że ex-oficer przyjmuje ton tłumaczącego się, ale, przyzwyczajony do górowania nad innymi, nie mógł się tem zdziwić zbyt znacznie.

— A więc, szanowny panie, jeżeli tak się przedstawia sytuacja pańskich uczuć, to co pan właściwie zamierza zrobić u pani de Rouvre? — zapytał z wysoka.

Tym razem Maksymilian domyślił się nieporozumienia.

— Myślę kategorycznie — szorstko odpowiedział — że nie mówimy o jednej i tej samej osobie. Co do mnie, mówię o młodej panience, którą pan przyjmowałeś u siebie, lub która w każdym razie wychodziła z domu, gdzie pan mieszkaśz o szóstej godzinie kilka dni temu.

— Julietta Avrezac?

— Ta.

— No dobrze, ale cóż ten smarkacz ma do naszej sprawy?

— Jakto! Więc pan nie wie o niczem? Nie mnie w udziale powinno przypadać informowanie pana. Osoba ta padła ofiarą mojej omyłki. Z mojej omyłki powinienem się tłumaczyć przed panną Avrezac, a że nie zdołałam jej spotkać, przeto pana obarczę moją prośbą. Teraz, kiedy już załatwiona sprawa z ową panienką, mam honor zapytać z mojej strony, czem mam panu służyć i dlaczego spotykam go na mojej drodze?

Suberceaux wczuwał się w rosnące rozdrażnienie Maksymiliana, czyhał na pierwsze obraźliwe słowo, go-

towy do podjęcia zajścia. Czyhał tak znacząco, że Maksymilian spostrzegł to. W Maksymilianie kipiała żądza walki samczej tu w tym lesie, kipiała tak, jak przed godziną w Julianie. „Jedno zajście między nami, a Maud skompromitowana...” Ta myśl go opamiętała. Postanowił nie bić się z Julianem i to postanowienie przyjęło formę decydującą, kategorię, jak wszystko, co u niego było postanowieniem.

— Zresztą mniejsza o to — dodał. — Powiedziałem wszystko, co miałem powiedzieć.

— O, to nie wszystko, mój panie — odpowiedział szybko Suberceaux. — To nie koniec. Jakto? Pan sobie pozwalasz czuwać koło mojego domu, narażasz pan kobietę na niecne szpiegowanie...

— Chwilę spokoju, panie — przerwał prosto Maksymilian. — Proszę nie szukać ządzierki. Zgoła nie mam ochoty bić się z panem. Bez obelg więc! Pan ma o mnie to samo wyobrażenie, które ja mam o panu: żaden z nas nie cofnie się przed szpadą. Nie będę się jednak bił z panem aż do poślubienia panny de Rouvre. To jasne, nieprawdaż? Gdy tylko panna de Rouvre zostanie moją żoną, jestem na pańskie usługi. Wierzaj mi pan i zostaw mnie w spokoju.

Było to powiedziane tak prosto, a jasno, że Julian ucałował, iż nie może obstawać. W tej chwili czuł na sobie rękę karzącą wszystkie charaktery małe, które nie mogą wygrać sprawy w instancji własnego sądu: „Jeżeli publicznie odmówi mi satysfakcji, to nie on przecie będzie skompromitowany.“

I teraz, kiedy pojedynek wymykał mu się z rąk, na nowo wpadł w dawną rozpacz nad przeszłością swoją.

I dwaj ludzie w milczeniu szli jeszcze przez chwilę wzdłuż alei. Mimo wszystko Maksymilian pragnął, aby Suberceaux mówił jeszcze, bojąc się uspiionych wahań straszliwych. Jakby na komendę, równocześnie zatrzy-

mali się i spojrzeli na siebie. Pojęli, wyczytali w tem jednym spojrzeniu, że teraz muszą wyznać wszystko, co im na dnie duszy leży — i że to wyznanie jest im niezbędne. W tem wymownem przeświadczeniu ich oczu była obietnica ostatecznego rozejmu. Było to zjednoczenie chwilowe dwóch męskich dusz nieprzyjaznych, nienawistnych, przeciwko męce od jednej i tej samej kobiety. Taki rozpustnik, jak Suberceaux i taki świecki kleryk, jak Maksymilian de Chantel, na chwilę porozumieli się.

— Panie de Chantel — rozpoczął Suberceaux prawie niesłyszalnie, bez ironicznej maski światowca — nie chodź pan do Chamblais!

Niepokój, a nie gniew drżał w głosie Maksymiliana, gdy poprostu spytał:

— Dlaczego?

— Nie każ mi pan mówić. Po co? W tej chwili pan mi wierzysz, jestem pewny. Wracaj pan do Paryża, wracaj pan do siebie na wieś. Staraj się pan zapomnieć o tem, coś tu pan widział i coś przedsięwziął.

Maksymilian posuwał się jednak ciągle naprzód. Suberceaux położył mu rękę na ramieniu ruchem, który wykluczał wszelką groźbę, przymus, a akcentował tylko chęć przekonania.

— Pan nie możesz poślubić panny de Rouvre. Widzi pan, ja to mówię bez nienawiści. Wierzaj mi pan. Pan idziesz ku katastrofie. Wracaj pan, nie chodź dalej.

— Boże mój! — jęknął Maksymilian.

Tak straszliwie cierpiał, że nie mógł zapanować nad sobą.

— Wracaj pan do siebie — mówił Suberceaux — odejdź pan. Zostaw mnie samego wobec Maud.

Straszliwy krzyk zdusił gardło Maksymilianowi.

— To nieprawda jest... pan kłamiesz... Teraz będę się bił z tobą... teraz... zabiję cię... nędzniku!

Suberceaux kiwał głową:

— Po co się bić nam? To jest koniec, teraz, jak pan wie, Maud jest moją...

I jednym obrotem ręki, wyćwiczonej do walki, powstrzymał uderzenie Maksymiliana, który się już był rzucił na niego. A równocześnie:

— Ccć... ona...

Ośłoneczniona, miękka plama wynurzyła się z zakrętu ulicy i szła naprzód. Obaj podążyli naprzeciw. Naraz Maud spostrzegła ich.

Zadrżała; nie wiedząc o zewnętrznej i przyczynowej stronie ich spotkania — przeczuła, że nadeszła godzina, w której ci dwaj ludzie zejdą się i nastąpi wyjaśnienie wobec niej samej. Ta godzina nadeszła. Zebrała całą energią, całą zimną krew i szła jak do walki, zdecydowana przebrnąć przeszkodę, jeżeli zajdzie potrzeba. „Może Maksymilian nie wie o niczem, wtedy nic straconego... Jeżeli wie — koniec. Dobrze! Tem gorzej: będzie skończone. A mimo wszystko pozostanę sobą“. Zostać sobą, było to nie abdykować ze swoich praw wolnych i awanturniczych, zdecydowanych z góry na wszelki rezultat. „Ani ten, ani ten nie ugnie mnie“, myślała wpatrując się z oddali w obu mężczyzn. I zasłonięta nieprzejrzaną obojętnością, czekała na ich walkę o siebie... przed sobą. Najbardziej zmieszany był Suberceaux, który dotkliwie przewidywał, że jego nadzieje idą w niwecz: „Nigdy mi Maud nie przebaczy.“

Maksymilian przyszedł do siebie:

— Maud — zaczął co chwila przerywanym głosem — idąc tu, spotkałem pana de Suberceaux.

Suberceaux, blady ze wzruszenia, próbował mówić: ruszał jednak tylko ustami, nie mogąc wydobyć dźwięku. Maud spojrzała nań — i cofnął się od tego spojrzenia.

— Cóż on panu mówił? — zapytała dziewczyna, kładąc na Maksymiliana słodczy pełne spojrzenie.

— Powiedział mi... chciał mi powiedzieć przynajmniej, boć mu nie dałem dokończyć, żeś pani była

jego... (urwało mu się słowo w jakimś suchem załkaniu) jego kochanką...

Ona podeszła do Suberceaux i zapytała:

— Tyś powiedział to?

Nie zaprzeczał... Powtarzał tylko jej imię:

— Maud...

Bez słowa wyrzutu, popatrzyła mu w twarz jeszcze — patrzyła długo oczami mieniącymi się od nienawiści do pogardy. Później podniosła parasolkę i uderzyła go w twarz aż do krwi, łamiąc parasolkę na dwoje.

— Precz! — rzekła, rzucając kawałki na ziemię.

Drżał, jak dziecko przed karą. Ból uderzenia wydał mu się słodczą — pieszczotą jej brutalność. Ale spojrzenie Maud odjęło mu wszelką moc. Machinalnie podniósł kapelusz.

— Precz — powtórzyła Maud.

Wolno włożył kapelusz pogięty, powalany ziemią. Było coś bolesnego, straszego w tej poniewierce męskiej godności osobistej pod przemagającą gwałtownością kobiecą. Oburzeniem wezbrało serce Maksymiliana na ten widok. Suberceaux nie widział zaś ani Maksymiliana, ani miejsca, gdzie był, Maud jedną widział i całe upokorzenie mało go obchodziło. Myślał tylko w kółko: „Maud rozgniewana... jedyna nadzieja przebaczenia — posłuszeństwo, szybkie posłuszeństwo“.

— Precz!

Nie prosił więcej; pokornie, jak bite bydło, odszedł bez pośpiechu. Maud i Maksymilian patrzyli na niego — nie obrócił się, nie spojrział za siebie... Tak to było straszne, że Maksymilian w swojej godności męskiej cierpiał za tego mężczyznę, który tak zbezczeszczony, zбитy przez kobietę szedł w ohydny upadku, do jakiego prędzej czy później każdego zapędzi niszcząca miłość. Maud i Maksymilian zobaczyli go jeszcze raz na zakręcie zgiętego, do niepoznania zgnębionego. Zostali sami. Gdyby nigdy nawet Maksymilian dotąd nie uczuwał abdykacji swej

woli, ta chwila, ten widok Suberceaux przekonałaby go. Skupił teraz w sobie całą energję, wyprostował się i wymówił nie zbyt drżącym głosem:

— Na mnie kolej odejść, tak?

Spojrzeni sobie w oczy na chwilę. Nie wiedzieli o czym mówić, a czuli, że mają sobie coś do powiedzenia, że tak się nie rozstaną. Maud bezwątpienia myślała: „Odemnie zależy mieć go na nowo... próbować?” Ale na tę duszę awanturniczą a heroiczną wytworną, widok Suberceaux zgnębnionego i uciekającego podziałał w ten sam sposób, jak i na Maksymiliana. Obrzydło jej kłamstwo.

— Posłuchaj mnie pan, proszę, panie Maksymilianie. Słowo jedne, nie więcej. Nie chcę cię okłamywać: kłamał ten człowiek, nigdy mu nie była kochanką. Uwierzysz mi pan gdy dodam, że kochał mnie i ja go kochałam... kochałam go może do wczoraj. Więc koniec ze wszystkim, czy tak? Nie chcę panu się tłumaczyć i zatrzymywać pana wbrew woli.

Niema szczerego kochanka, któryby na te słowa nie ujrzał śwatełka nadziei.

— No więc, odezwał się Maksymilian.

I jego oczy, jego tułacze, zakochane oczy błagały o wyjaśnienie szczegółowe.

Pierwszy raz może Maud zrozumiała do jakiego stopnia złudną była ta godność osobista, którą sobie przypisywała w seku oszustw. Nie było sposobu prawdą załatwić sprawę z Maksymilianem. Trzeba było kłamać, jeszcze kłamać.

— To o było między nami — zaczęła w szczerem pragnieniu otwartości — nie pytaj mnie pan. Nie mogę panu powiedzieć. Lepiej odejdz pan i nie myśl o mnie.

Okropność rozstania bladeścią pokryła twarz Maksymiliana. Ciał jeszcze się łudzić nadzieją. Oboje wolno ruszyli kupałacowi.

— Maud, w życie twoje wszedłem dopiero od niedawna. Przeszłość nie należy do mnie i nie mam do niej prawa. Jeżeli... jeżeli on kłamał, dlaczego zabraniasz mi myśleć o tobie.

Spojrzała nań — i ją ogarnęło to wahanie. Była to chwila złowieszcza, w której się rodzą przeznaczenia. Maksymilian ponowił:

— Gdybym na tyle kochał, żebym przebaczył?

Ten wyraz: przebaczył, spoliczkował Maud.

— Nie chcę przebaczenia — odrzekła. Rozejdźmy się. Pamiętaj pan o tem, że ja panu powiedziałam: „żegnaj“ w chwili, w której mogłabym może odzyskać pana. Nie myśl pan o mnie nieprzyjaźnie. Obiecuje mi to pan?

Maksymilian pojął powagę tych słów, pojął, że to pożegnanie formalne, że trzeba się rozstać.

— Obiecuje to pani — powiedział poważny, wzruszony.

— Żegnam.

Koniec. Widział ją odchodzącą: Jakiś czas jeszcze majaczyła niepewna plama w leśnej gęstwinie i znikła. Wtedy, dopiero wtedy uczuł, że sen się prześnił, że Maud już niema.

Maud nie istniała już dla niego. Spadła zasłona z jego oczu. Zamiast Maud widział teraz jakąś dziewczynę, taką samą, jak inne dziewczęta z tego straszego świata bez moralności, bez wiary. Wyraz Hektora le Tessier: półdziewica! przeszył mu się przez pamięć i wywołał na ustach gorzki półuśmiech. I ona, to bóstwo, ta wybrana — ona także pół-dziewica. Bo teraz pojął wszystko naraz, może przygotowany do takiego radykalnego zwrotu swojemi ciągłemi udrami. Kochać taką duszę... pożądać takie splugawione ciało — nie! Tak to niemożliwe było dla jego prostej i prawie że świętej duszy, że nawet przez głowę mu nie przeszło biec po kilka

kroków do pałacu, na nowo ją posiąść, pożądać. Całą istotą nie kochał jej już, nie pragnął: w tej chwili mogła należeć, do kogo tylko jej się podobało, nie gnębiły go już ani zazdrość, ani pożądanie. Męka nawet... i ta konała. Ta, w którą wierzył, którą kochał, umarła. Nie żyła dla niego ani narzeczona, ani ukochana: płakał po niej, jak po umarłej.

I całe życie płakał.

Tego samego wieczoru Maud de Rouvre powróciła do Paryża. Jak zwykle, zdecydowała się na to szybko i bezwzględnie. Pozostawiwszy Maksymiliana w ogrodzie, powróciła do pałacu Armidy, zatarasowała się w swoim pokoju i tam obliczała, co jej zostało. Tak oblicza wódz po klęsce resztki swoich pułków. Po co się łudzić? To była klęska, pogrom najdroższych nadziei. O odzyskaniu Maksymiliana nie chciała myśleć. Jeżeli wobec niej samej, przy niej zawahał się na chwilę, to teraz samotny już się zdecydował. „Zapomnieć nie zapomni mnie nigdy, ale i nigdy nie wróci!“

Straciła Maksymiliana, co robić z życiem? Walczyć dla małżeństwa dalej, to możebne. Tylko, że szanse zwycięstwa mocno nadwyreżone. „Moga się cieszyć, ani słowa, ci co na mnie czyhali: Aaron, Ucelli i ci najemnicy.“ Przez chwilę wpadła w apatię, zniechęcona do planów nowej walki. „A jednak mogłabym wyjść jeszcze za mąż. Zaczynać na nowo! a z czym? Gdzie znajdę pieniądze? Kto będzie dawał 300 luidorów miesięcznie? Majątek osobisty cały zjedzony“. Powrót do Paryża, było to ogłoszenie bankructwa, licytacja ostatniej własności na korzyść cierpliwych dotąd, uspiionych widmem bogatego zamążpójścia wierzycieli — sekwestr.

„Oh... nigdy!...“

Więc co robić? Przypuszczenie małżeństwa z Julianem odrzucała z góry. Zanadto zagrała w niej urażona duma, aby mogła dać przystęp popędowemu pragnieniu;

na nim, a nie na Maksymilianie chciała się teraz mścić. „Tak... wyrządzić mu krzywdę“. Pałała żądzą złamania jego serca za to cierpienie, które uczuwała teraz dzięki jego zdradzie. Tak — pomyślała naraz: zemsta jest tu, tuż; zemsta połączona z rozwiązaniem wszystkich trosk materialnych, z zabezpieczeniem przyszłości. „Utrzymanką Aarona...“ Tak się stanie. W tej walce trzech mężczyzn o zwycięstwo, zyska ją najzawziętszy, najzreźniejszy, ten, którego powolne intrygi zniweczyły wysiłki pozostałych. „Utrzymanka Aarona“. Głośno wymawiała te ohydne wyrazy, wyobrażając sobie, jaką rozpacz zagnieżdżą one w duszy Juljana. W jednej chwili postanowiła wszystko. Przedewszystkiem należy jechać z powrotem do Paryża na kilka dni, przyspieszyć małżeństwo Jakóbinę z Lestrangem, następnie pożegnać Francję, dwa, trzy miesiące zabawić z matką za granicą. W Paryżu nie osiedzie na stałe, aż po uzyskaniu stałej i zabezpieczonej przyszłości.

„Przykre będą te kilka lat, ale ja go już poprowadzę... żyda. Żonaty jest, ale może się rozwieść. Kto to odgadnie? Nie będą rzucać okiem na przeszłość bankierowej z ośmiolet tysiacyami franków rocznego dochodu“.

Zadzwoiła na Betty.

— Spakuj rzeczy, Betty. Dziś będziemy nocowały w Paryżu.

A gdy minutę później pani de Rouvre, nieświadoma niczego, zaniepokojona wpadła do pokoju, zasypując ją pytaniami, Maud odpowiedziała krótko:

— Jedziemy, bo trzeba jechać, zrozumiano? Trzeba. Wytłomaczę to mamie w Paryżu. W tej chwili zbywa mi na ochocie. Proszę mi wierzyć na słowo. Trzeba. Spiesz się!

— No, ale Tessierowie... obiad?...

— Sami zobaczą, że nas niema. Zresztą zatelegrafuję.

— A pani de Chantel i Janka?

— Pani de Chantel i Janka nie przyjadą.

Serja pytań i zadziwienia rosła w miarę, jak jedna osoba dowiadywała się za drugą. To ją rozjątrzało. Etiennetta domyśliła się, nie pytała przyjaciółki. Jakóbina powiedziała tylko:

— Mnie to zupełnie nie dziwi. Oczekiwałam awantury. Moje manatki gotowe. Odetchnęłam!... Co zamysłasz robić w Paryżu? — zapytała Maud nie bez ironji.

— Zrobię to, co mam zrobić — odpowiedziała Maud.

— Naturalnie. Wstrzymaj się jednak z tem aż do chwili, kiedy będę sakramentem uświęconą żoną Luc'a... Potem, to już twoja rzecz.

V.

„Wychowana przez matkę, która ani na chwilę nie ustawała w dawaniu ci przykładu pobożności najszczerzej, wyrosła w ognisku domowym, któregoś nie opuszczała nigdy, pielęgnowana w niem w towarzystwie twojej starszej siostry — dziś dziecię moje wychodzisz z tego ogniska w objęcia męża; i nigdy bardziej biała szata, wstydliva zasłona i wieniec wonny oblubienicy nie były tak wymownymi symbolami czystości serca dziewiczego, jak te, które teraz niesiesz w ofierze małżonkowi swojemu. Zaiste jak miło jest takiemu, jak ja przyjacielowi domu poświęcać cię na małżonkę, jak przyjemnie jest kapłanowi łączyć taki związek, który wdziękiem, młodością i niewinnością panny młodej tak żywo przypomina biblijne związki Rebeki i Ruth...“

W te słowa przemawiał czcigodny mąż, Leverdet, biskup de Sfax, stary przyjaciel pani de Rouvre, a cierpkiego smaku tych pochwał, poza Hektorem le Tessier jedynie, nie odczuwał zapewne nikt z tego wytwornego, ale niezbyt skupionego orszaku ślubnego, który napełniał nawę kościelną Saint-Honoré d'Eylau. Młoda para: Jakóbina de Rouvre i Luc Lestrangle zachowywali się zupełnie poprawnie. Ona nieruchomością ruchów tamowała swoją urwisowską naturę; on trochę rozdenerwowany, trochę bledszy niż zwykle, trochę przygnieciony powagą świątyni, ale nie na tyle, aby nie myśleć o bli-

skiem posiadaniu tego trzpiota, spowitego w atłasy i tiule.

Orszak sam, w którym Paryż polityczny walczył o lepsze z Paryżem salonów, mało zwracał uwagi na powagę miejsca, na nastrój uroczystości, na samą powagę biskupa.

Jak na balu, grupowano się podług doboru sympatyj. Powieściopisarz Espiens przy pani Duclerc; jej mąż, jak zwykle nie był obecny. Dora Calvell weszła do kościoła w towarzystwie panny Zofji i odrazu zaczęła wyszukiwać odpowiedniego zakątka, w tej samej chwili Valbelle pożegnał Henryka le Tessier: zderzyli się przy konfesjonale i oddali się niewinnemu flirtowi, który się wzmógł u nich w ostatnich czasach, gdy Valbelle zaczął malować portret Dory. Marta de Reversier pociągnęła do swego nowego zwolennika, jakiegoś hrabiego Rothenhaus, austriackiego attaché, niskiego, płowego, który już kilka zwycięstw buduarowych zawdzięczał umiejętności gry w lawn tennis, za którą również uzyskał tytuł „roi de Puteaux“. Magdalena de Reversier blada, nieruchoma, z hysterycznie wlepionymi w ołtarz oczami, nie mówiła nic, lecz patrzyła, patrzyła zawzięcie na nowożeńców.

Tymczasem biskup mówił:

„W wielu miejscach pisma świętego Bóg mówi, że nie potępia, owszem błogosławi miłość, aby tylko miłość ta w ostatecznym celu swoim zwracała się do Boga. Chrześcijańska małżonka winna w małżonku swoim kochać bezpośrednio swego Stwórcę i Pana...“

„No, w tem małżeństwie Stwórcy i Panu nieszczególnie będzie reprezentowany“, pomyślał Hektor le Tessier.

Zaś popatrzawszy w tej chwili na tuż obok stojącą Julkę Avrezac, dostrzegł, jak twarz jej się rumieni, jak nareszcie zasłania się delikatnie rękoma. Spojrzał dalej i w ostatnich rzędach ławek dostrzegł Juljana de Suberceaux. Ubrany był jak zwykle elegancko, ale twarz miał

bladą i znekane czoło; twarz zbiedzona gorączką podobna była do twarzy umierających po szpitalach.

„Czego on tu chce?“ pomyślał Hektor.

Nie wypytując Maud o szczegóły, Hektor wiedział jednak o tem, co zaszło. Maksymilian tego samego dnia bez wyjaśnień napisał mu, że wyjeżdża z matką i siostrą do Vézeris. Wyrażał ubolewanie, że nie ma czasu na osobiste pożegnanie i wymagał od Hektora przyrzeczenia przyjazdu latem do Poitou. O Maud ani słówka, ani wzmianki jej imienia.

Ten gwałtowny wyjazd wywarł na Hektorze niespodziewane wrażenie. Uczuł pustkę po Jance. W pierwszych dniach silił się na głuchotę duchową, jeśli tak można powiedzieć, aby nie odczuwać rzeczywistości. Później zaczął się strofować: „To jest niedorzeczne wprost. Przecież ja jestem pewny, że ta mała jest mi obojętna, że zapomnę o niej“. Przeszło ośm, dziesięć dni, a drażniące uczucie pustki nie mijało. „Niema co, myślał, trzeba zapomnieć“. I nie zapominał. Pewnego wieczoru, gdy zły, niezadowolony ze siebie powrócił do domu, zastał list pisany charakterem obcym, który odgadł w tej chwili. Pisała: „Ja wiem, że czynię coś bardzo złego, ale ja mam bardzo wiele zmartwienia. Istotnie. Ja muszę wiedzieć, czy mam wstąpić do klasztoru“. Hektor w tej chwili był sam: rzucił się na list i okrywał go tysiącami pocałunków. Później zaczął reagować: „Jestem osioł jak jaki student. To jest idjotyczne w moim wieku i z moją znajomością młodych dziewcząt“.

Ale sumienie protestowało: „Nie! Ta nie przypomina innych, ty sam wiesz. Ty jesteś naprawdę jej jedyną myślą. Ona to jeszcze nigdy nie kochała. Ona nie rozdaje swego serca i ciała na los szczęścia. Wyrz: „klasztor“ nie użyła tutaj dla efektu; takiem będzie jej życie istotnie, jeśli ty jej nie zechcesz...“ Uczuł dla niej krańcową czułość. I w tej chwili nieznośną mu się wydała myśl, że ta droga dusza cierpi przez niego.

Tego samego wieczoru napisał do Maksymiliana, zapowiadając bliski przyjazd do Vezeris. Nie odważył się jeszcze na ostateczną decyzję. W gruncie rzeczy jednak był przygotowany. Wiedział, że się ożeni. I oto dlaczego dzisiaj na ślubie jednej z tych, które on chrzcił imieniem „półdziewic“, on jeden z całego grona uderzony był dysharmonją między zasadami chrześcijańskiego małżeństwa (w które on sceptyk i dyletant życiowy wierzył), a obyczajami środowiska, w którym żył i rósł.

Siwobrody biskup rozpoczął w tej chwili zwrot do pana młodego:

„Pan należysz do tego wyboru młodych ludzi, którym państwo nadało ze swego ramienia część swojej władzy. Przyzwyczajony do kierowania ludami, pan wiesz, że zasada szczęścia leży w porządku ogniska domowego, w poważaniu związków małżeńskich...“

Kościelny tłum zaczął konstatować, że mowa jest za długa. Rozmowy toczono coraz swobodniej; grona sąsiadujące z Valbell'em i Dorą zamieniały się przyciszonymi śmiechami. Hektor myślał: „Co za komedia: Lestrangle — władca ludów! To jest w tym samym stylu, co i niewinność Jakóbiny i świętość ich związku. Na co ten kłamliwy przepych? Na co te kwiaty-symbole „fizycznej niewinności“ na czole tej błaznicy? Na co publiczna przysięga wierności tych ludzi, którzy się z góry decydują na czerpanie rozkoszy z każdego nadarzającego się źródła? Na co ta uroczyść chrześcijańskiego małżeństwa u ludzi pozbawionych najmniejszego rysu piękna w chrześcijańskim małżeństwie?“

Biskup z kolei przeszedł do życzeń licznego potomstwa. Nowa piła! Ta mała ruda „oblubienica“ i ten zawodowy kobieciarz z góry wszak byli zdecydowani na ograniczenie potomstwa na kilka lat przynajmniej. Byli zdecydowani na to tak, jak byli zdecydowani na poddanie się pierwszemu kaprynowi płciowemu, jak byli

zdecydowani na rozwód przy pierwszej lepszej sposobności, gdy uprzykrzą się sobie. Płodność, wierność i nierozzerwalność, to, co niegdyś tak wyniosło i uszlachetniło małżeństwo, co z tego pozostało w tem złączeniu dwojga samolubów: młodej, rozbudzonej świadomą grą zmysłów dziewczyny i męża, wystawionego na pogardę żony i rodziny?

Nareszcie mowa biskupa przeszła w życzenia pomyślności — i rozpoczęła się symboliczna liturgia ślubu ku większemu na teraz zaciekawieniu widzów; śledzono ceremonję wkładania obrączek, wsłuchiwano się w „tak“ nowożeńców. I gdy te „tak“ już wymówiono, gdy biskup powiedział: Ego autem marito vos in Spiritu sancto, przez ten sceptyczny, albo ateiczny tłum przebiegło jednak wrażenie, że stało się coś nowego, że Lestrangle i Jakóbina zostali „zaślubieni“; tak to poczucie Sakramentu przez dwadzieścia wieków chrystjanizmu zrosło się z człowiekiem.

Wraz ze mszą i przez cały jej ciąg trwały rozmowy, nieuważa i roztargnienie. Kwesta dała powód do uwag i uśmiechów, jak się dzieje przy wejściu bohaterów na scenę. Drużbami byli dwaj koledzy ministerjalni Lestrangle'a; drużkami Marta de Reversier i Maud. Podczas gdy ona pod rękę ze swoim towarzyszem przechodziła od rzędu do rzędu, wszystkie oczy zwróciły się na nią. Od czasu wyjazdu do Paryża przed nikim nie mówiła o zerwaniu małżeństwa i nikt nie śmiał jej pytać. „Zadziwiająca komedjantka“, myślał Hektor, patrząc na nią. „Gdybym nie był tego pewny, czyż mógłbym przypuścić, że jest porzucona, zrujnowana, narażona na najgorsze skutki?..“ Jak zawsze: władczyni, piękna do tego stopnia, że podziw rósł wśród najgorszych wrogów, tak drażniąca nerwy, że mężczyźni, rzucając datki, oblewali się krwią. Hektor wciąż patrzył... Podeszła do Juliana de Suberceaux: pieniądz zadzwęczał na tacy; nikt nie dopatrzył się wzruszenia na twarzy kwestarki.

ale on, w chwilę później osłabł i padł na kolana przed klęcznikiem.

Za Hektorem odezwał się głos:

— Obszedłem cały kościół. Niema Etiennetty. Nie widziałeś jej?

Był to Paweł le Tessier. Dopiero co przyszedł i stanął za bratem.

Nie — odpowiedział Hektor. — Nie widziałem. Należy zapytać Maud.

— Pójdę do zakrystji. Myślę, że już rychło się skończy ta rodzinna uroczystość.

— Za pięć minut... Ale akt w zakrystji potrwa długo.

Długi, ciemny korytarz prowadził do maleńkiego pokoiku, istotnej prowincjonalnej zakrystji, gdzie państwo młodzi mieli z towarzystwem zamieniać pocałunki i serdeczności. Towarzystwo zdobyło się jednak na cierpliwość, ze względu na to, że kurytarz był dostatecznie ciemny. Sympatyczne pary wyszukały się dotykiem, rozbiły się na osobne gronka, rozmowy półgłosem... Niektórzy zapominali się zupełnie, biorąc przedśionek kościoła za przedpokój balowy i lekko całowali sąsiadki, jakby zmuszeni do tego parciem tłumu. Rothentaus w obecności pani Duclerc i Julietty Avrezac opowiadał Marcie Reversier o balu malarskim, gdzie gołą dziewicę obnoszono na tarczy po sali, a następnie zmuszono ją do oddania „tańca brzuchem“.

— Wszystkie dzienniki mówią dziś o tem — mówił z oczyma pożerającemi wspomnienia tej swawoli — nadzwyczaj jestem z tego zadowolony. To było ciekawe.

Obok nich szedł Hektor le Tessier trochę na uboczu rozmawiając ze Suberceaux; Valbelle w towarzystwie pani Avrezac, Pawła le Tessier i dr. Kraussa zmuszał Dorę do wypowiedzenia własnego poglądu na sprawę małżeństwa.

— Co do mnie — odpowiedziała mała, pokazując w uśmiechu cudną emalię zębów — zapewniam pana,

że mi się nie spieszy. Mnie tak dobrze spać samej jednej w łóżku!

— No tak, odpowiedział Valbelle... Ale są i inne metody poza łóżkiem na dwoje. Czytała pani Fizjologię Balzac'a?

— Balzac? A co to jest? Prawie na pewno wiem, że to jest znowu taka książka z rycinami, jaką mi pan dał oglądać wczoraj u siebie w pracowni. Wie pan, ja już więcej nie chcę patrzeć na takie rzeczy.

Pyszna nieświadomość Dory ubawiła niesłychanie jej przyjaciół. Valbelle wyjaśnił jej treść „Fizjologii małżeństwa“, o której mówił. Krauss, śmiejąc się w swoją ryżą brodę, proponował nowsze wynalazki:

— System najnowszy: łóżko, które można zwięzać lub rozszerzać, zależnie od potrzeby. Nie zna pani? U nas w Ameryce dużo już...

— No, to już zanadto kwakierskie — odparła Dora — zanadto pachnące Armją Zbawienia. To tak jak te nocne koszule...

Urwała naraz i spiekła raka. Słuchacze naturalnie nie omieszkali uśmieć się.

— Chodźmy dalej — odezwał się młody malarz, zanurzając rękę pod jej pachę. A ona zmieszana zaczęła mu czynić wyrzuty:

— Pan zawsze drwi ze mnie. Panu sprawia przyjemność, gdy ja się ośmieszam wobec wszystkich. Com ja winna temu, że jestem głupia.

— Odpowiem tyle — odparł Valbelle — najwięcej kocham panią wtedy, gdy mówisz głupstwa

— Naprawdę?

Czarne jej oczy mdlały pieszczotą i miłością.

— Naprawdę w tej chwili uwielbiam panią.

A gdy już wchodzili w arkadę zakrystyjną, tak się wcałował w jej brunatny kark, że młoda kreolka jęknęła cicho.

Maud rozdenerwowało mieszczaństwo uroczystości, opuściła szybko matkę i siostrę, Lestrangle'a i krewnych i przeszła do małej dzwonnicy, tuż obok, gdzie równocześnie pobiegł i Aaron. Przyjęła go z lodowatą uprzejmością. On, jak zwykle spłaszczony, usłużny, próbował pozwolić sobie na drobną poufałość. Przywołała go do porządku.

Bełkotał, jak zwykle zmiętoszonym głosem:

— Szczęśliwy jestem... Mam nadzieję, że sam będę mógł być uczestnikiem powtórnej takiej uroczystości.

Widząc, jak twarz Maud ściągnęła się, zaczął niespokojnie:

— Pani jednak nie zmieniałaś planów?

Oczy mu błyskały najpodlejszą żądzą.

Maud odpowiedziała:

— Mówiłam, że przyjmuję nasz targ.

Schylił głowę przy tem słowie. Potem szybko wyrecytował:

— Ostatnie czynności załatwione dziś rano. Podpisałem kontrakt kupna hotelu na ulicy Alphonse de Neuville. Po powrocie będzie pani mogła tam zamieszkać.

— A więc — odpowiedziała Maud — jak było ułożone: jutro wieczorem jadę z matką do Spaa. Pan przybywasz za ośm dni. Tam się spotkamy. Teraz żegnam.

Wyszedł wyprostowany i arogancki, nie patrząc na Maud. Nie widział jej i nie słyszał tych przez wargi wypowiedzianych słów:

„Marnota! Ty zapłacisz za bankructwo mojego życia. Drogo mi zapłacisz!“

Opanowała się natychmiast, widząc Pawła le Tessier zdążającego ku dzwonnicy.

— Pan zapewne chce wiadomości o Etiennece? — zapytała.

— Tak jest... nie widziałem jej... niespokojny jestem trochę. Czy nie zasłabła?

Nie. Otrzymała jakiś list w chwili wyjścia. Musiała się udać, gdzie ją proszono.

— List, od kogo?

— Nie bądź pan zazdrosnym. Nie mogę powiedzieć ściśle od kogo, bo nie wiem. Ale od kobiety.

Uspokojony, ucałował jej rękę. Maud mówiła prawdę przez pół, Etiennetta dostała list wzywający od Zuzanny, która się znalazła w Paryżu, nie ku wielkiej uciesze młodszej siostry.

Pomału opróżniła się cała zakrystja; pani de Rouvre, Jakóbina i Lestrangle złączyli się z Maud.

— Uf — odezwała się panna młoda — gdyby taką łaźnię trzeba było przechodzić przy każdorazowem zdradzeniu męża, to wszystkie żony byłyby wiernymi.

Hektor le Tessier zbliżył się do Maud.

— On chce z panią mówić — powiedział jej do ucha. Zbladła. Może ze złości, ale nie z przestachu.

— Co za on? Julian?

— Julian. Jeżeli mu pani nie da chwili rozmowy, będzie za tobą szedł aż do domu. Ośmielam się radzić pani rozmówienie się tutaj. Tu tak jakby nikogo nie było. Czeka na panią przy wyjściu z korytarza.

— Dobrze, pójdę.

Spotkała go na progu ocienionego korytarza.

— Maud... ja cię jeszcze chciałem zobaczyć... chciałem... musiałem... Patrz — przecie ja tak cierpię! Tak cię kocham!

Głos mu się łamał, a zęby drgały.

— Słuchaj — odpowiedziała Maud i patrzyła wprost na niego. — Nigdy nie będę twoją. Nigdy, nigdy, dlatego, żeś złamał słowo i byłeś podłym. T raz. A następnie: za ośm dni zostanę kochanką innego. Słyszałeś? Teraz precz!

— Maud, ja się zabiję. Przysięgam ci, że jeśli mnie porzucisz, to ja się zabiję.

Popatrzyła nań oko w oko i tym głosem cichym, tym samym, którym mu kiedyś mówiła: „kocham“ — wyrzekła:

— A więc się zabij!

W godzinę później śniadano w ubranej zielenią halli przy ulicy Kleber. Orkiestra hiszpańskich gitarzystów przygrywała do tańca z poza zasłony krzewów i kwiatów. Tańczono w tualetach spacerowych. Nie zdołano tylko zatrzymać Pawła le Tessier, który pobiegł szukać Etiennetty na ulicy de Berne. Hektor został, wsunął się w zagłębienie jednego z okien i z zadowoleniem patrzył na uwijających się w świetle kinkietowem bohaterów dramatycznej intrygi, którą już tyle razy obserwował. Milczący, nie mieszający się z ludźmi, rozmyślał:

„Powiedzieć, że lubiłem ten świat, że smakowałem w dowcipie tych panów, pożądałem tych kobiet...“ Dwudziesty rok, pierwszy bal, tajemnicze wzruszenie, jakie w nim wywołała Paryżanka, podziw wobec klasycznych piękności i wytworności... Później z latami szło przyzwyczajenie, z latami i z balami, wieczorkami, premierami i z całą tą atmosferą. „I teraz człowiek dochodzi do przekonania, że to wszystko: dowcip panów i piękność pań — to jest szczypta, to jest nic — i że cały ten czas z nimi przeżyty jest wykreślony z życia.“ Niegdyś szukał podrażnienia zmysłów w spojrzeniach kobiet, w oczach dziewczątek. „Oh! Jakże ja mam dosyć tego wszystkiego. Niema przecie ani jednej, do którejbym się teraz zbliżył!...“ Nie bawi go już nawet widowisko tego wytwornego i przerafinowanego świata. Nic mu już nie zależy na tem, czy Dora całe poobiedzia spędza u Valbella, czy Julka Avrezac pędzi w objęcia Juljana, czy Reversierówny i inne żebrzą o towarzystwo mężczyzn i bezpłodne podrażnianie zmysłów. O ile upadek dziewczyny przez namiętność jest istotnym dramatem, o tyle zabawy prostytutckie tych kochanych kocia-

ków nadają się za ledwo do libretta wodewilowego. Ta która jedyna z nich miała swoją duszę, Maud, mój piękny Sfinks, ta idzie w nierząd, jak tyle innych! ' Tak, nierząd. Nierząd czyha na wszystkie półdziewice w zawrotnych punktach życia, przed czy po ślubie, jako naturalny upadek opuszczonej, czy jako zemsta nieszczęśliwej w małżeństwie — zawsze i koniecznie. Konsekwencja ta wydała się Hektorowi najprostszym mechanizmem. „Bo jeżeli ta skromność, zalecana przez Kościół i leżąca w istocie płci kobiecej przestaje być zasadą przy obcowaniu kobiety z mężczyzną, to obcowanie owo musi przejść w dysharmonję obopólnych interesów i rozwiązanie jej leży jedynie w prostytutce.”

Uczuł gorzki niesmak przy tych rozmyśleniach. Poprzez skoczne tony penetras, poprzez śmiech kobiet, dowcipy salonowców, poprzez przepych zielonego bogactwa dekoracji salonowej, w oczach jego majaczył mu się grobowy kamień mogiły, w którą nieublaganie upaść musi społeczeństwo, co dobrowolnie niszczy czystą miłość, niszczy dziewictwo, niewinność, zabija małżeństwo. „Tak, w tym świecie już wieje prostytutka: iam foetet.” Napadła go ochota ucieczki z tego świata, pożegnania się z nim, nie dotykania się tego błota. podeszwami swojego obuwia. I równocześnie, jakby ziemię obiecaną, ujrzał w swojej duszy obraz zakąta prowincjonalnego, jakiś tajemniczy, nieznany, gdzie czeka na niego miłość czysta i prawdziwa dusza dziewicza.

Nie żegnając się, chyłkiem, jak z płonącej widzowni teatralnej, wyszedł z halli. Schodząc ze schodów, z których nieraz zstępował z uśmiechem pobłażliwego sceptyka, pomyślał:

„Oto droga, na którą już nie wejść chyba”.

Po jego wyjściu uczta trwała jeszcze czas jakiś. Kilka zapalonych par tańczyło do upadłego. Maud rozmawiała z powieściopisarzem Espiens, gdy ją zawołano:

— Panna Etiennetta prosi panienkę.

Maud spotkała się z nią w jej pokoju, który zajmowała od powrotu z Chamblais. Etiennetta rzuciła się na szyję przyjaciółce.

— O, droga moja! Moja droga! Co ja mam za zmartwienie!

Maud posadziła ją na kolana, wypieściła, wyczuła jak najczulej. Kochała tę przyjaciółkę, to zdrowie duchowe, kochała ją z domieszką zawiści o to zdrowie, z pewną nostalgią za tą fizyczną nieskazitelnością, którą zachowała Etiennetta.

— No cóż, moje maleństwo drogie, Zuzanna chora?

— O nie, nie! Jeszcze gorzej.

Przez łzy opowiedziała historję onegdajszej orgji balowej, o pijanej dziewicy, nagiej obnoszonej, przez tłuszcze pijanych mężczyzn, o zaskarżeniu, aresztowaniu i skandalu, jaki wyniknął dnia następnego, o komentarzach bulwarowych.

— Masz, patrz — rzekła, pokazując dziennik — wszystko tu jest: moja siostra, moja matka, a nawet mój ojciec.

Zręczny reporter istotnie dla wyzyskania sensacji opowiedział o przeszłości Matyldy Duroy, w przejrzystych domyślnikach zaznaczając stanowisko pośła Asquin.

— No, ale o tobie tu nic niema — szepnęła Maud ze szczerem współczuciem.

— A cóż to zmienia postać rzeczy? Rozumiesz, o mnie się nikt nie troszczy. Niemasz już mojego snu najdroższego! Biedny Paweł.

Szczerą była. Największem zmartwieniem było dla niej cierpienie człowieka kochanego.

Maud szukała wyjścia dla pocieszenia dziewczęcia:

— Zanadto kocha cię Paweł, aby podobne wypadki, za które zresztą nie odpowiadasz, mogły nań wywrzeć wpływ.

— On? Biedny! Toć wiem, że nie będzie mnie mniej kochał. Ale małżeństwo już niemożliwe. Paweł sam mi przyzna rację, gdy się nie zgodzę na nie. Jakby skorzystali z tego jego przeciwnicy polityczni! Pawłowi zaszkodzić! O nie! Nigdy!

Maud nie zdobyła się na odpowiedź. Zapytała tylko:

— Co zrobisz?

— Cóż mam robić? Powrócę sama na ulicę de Berne i będę pracowała.

— Dajże pokój — odpowiedziała Maud, wzruszając ramionami. — Nieznośne to jest wszystko, to prawda, ale nie daje powodu do zerwania z Pawłem, który cię kocha i którego ty kochasz. Robiliście wszystko, co do was należało, aby się pobrać. Przeszkadzają wam okoliczności od was niezależne, więc będziecie na tyle naiwni i poddacie się bez walki? Zostawcie to czasowi. Zapomną o wszystkim. Zresztą Paweł także zrezygnuje z godności publicznych, opuści Senat i Bank, mówił mi o tem nieraz. Wtedy się pobierzecie. A teraz kochajcie się.

Etiennetta opierała się uparcie:

— Nie. To co ty mówisz, może to jest rozsądne, może to jedyna moja nadzieja; wierzę, że Paweł ożeni się ze mną, skoro weźmie dymisję i wtedy zgodzę się. Ale do tej chwili nie chcę, no nie, chcę być jego kochanką. To jest idiotyczne, to jest głupie, jak chcesz, tak nazwij. Nie chcę, nie mogę, czuję, że w tej chwili przestałabym go kochać i byłabym nieszczęśliwa.

Chwilę całą milczały... Która miała słuszność? Nie wiedziały. Obie miały już poczucia skrzywione, wrażliwe jedynie na popęd własnego temperamentu.

— A z czegoż ty będziesz żyła, moja droga — zapytała Maud.

Etiennetta uśmiechnęła się przez łzy:

— Będę grywała na gitarze po salonach. Pamiętasz, w lutym, gdy przyszedł cię prosić o protekcję? Cztery

miesiące ledwo upłynęły, a ile wypadków, ile zmian w naszym życiu!...

Padły sobie w ramiona na to wspomnienie. I może to była pierwsza chwila, w której w czystym uczuciu zmieszaly się w jedno łzy Maud ze łzami Etiennetty Duroy.

28. maja. Godzina 4.

„Maud, jestem Ci posłuszny. Zabiję się. Zresztą postanowiłem to już w ten dzień, w którym tak srogo odprawiałaś mnie w Chamblais. Jeżeli się opóźniał z wykonaniem, to nie z obawy przed śmiercią, albo nadziei łaski Twojej: Ja chciałem Cię jeszcze widzieć, Maud... A gdym się dowiedział, że mnie już nie chcesz widzieć, czekałem na ślub Jakóbiny, żeby Cię zobaczyć mimo wszystko, żeby z Tobą mówić.

„Nie gniewaj się na mnie za to, com Ci zrobił. Ja tyle wycierpiałem przez ten miesiąc dla Ciebie, a nic za to nie chcę. Należęć będę do Ciebie do ostatniej chwili, do tej sekundy, kiedy na skroni uczuję chłód rewolwerowej lufy, jak należałem do Ciebie od chwili pierwszego poznania. Dopiero przed śmiercią spostrzegam prawdę, którą mi życie zakrywało: nie byłem stworzony do walk, w które prowadziłaś mnie. Byłem stworzony na to, aby Cię kochać, kochać całym sercem wiernie i zawsze.

„Ty mnie już więcej nie chcesz; przeszkadzam Ci w życiu. A więc przebac mi, uwalniam Cię od siebie. Nie żądam od Ciebie, abyś mnie żałowała, abyś płakała po mnie, ale myśl o mnie przyjaźnie; w nagrodę za moje posłuszeństwo przy ostatnim Twoim rozkazie. Nie proszę Cię o miłość pozagrobową: wiem, że mnie już nie kochasz. Ale błagam Cię, nie wymazuj ze swej pamięci tego, żeś mnie kochała. Błagam, myśl o mnie bez nienawiści. Widzisz, ja odchodzę tak prosto, a tyle cierpiałem!

„Co do mnie, wiem, że ten czas, w którym kochałaś mnie, był całym moim życiem i to mnie tak najzupełniej zaspakaja, że nie mam urazy do Opatrzności. Mimo dzisiejszą agonję, wiem, że miałem najpiękniejsze życie. Maud droga!... To się nie może zatrzeć: były chwile, w których dawałaś mi się, a miłość poznałaś za moja sprawą! To się nie może zatrzeć! Powtarzam to i wydaje mi się to tak cudownem i porywajacem, że zapominam o cierpieniu.

„Ale gdy pomyślę, że jutro będziesz należała do innego, że inny będzie na Ciebie patrzył i inny się będzie Tobą pieścił, taki ból czuję w sobie, że chcę go zagłuszyć bólem rewolwerowej kuli w skroni. Oto dlaczego chcę umrzeć i tulę się do myśli o tej śmierci tak namiętnie, mimo całą nieświadomość zagadki tego, co się stanie. Bo ja, Maud, wierzę w życie przyszłe; wiara ta naszła na mnie wraz ze wszelką inną wiarą w chwilach ostatnich udręczeń. I ja chcę, ja się ośmielam powiedzieć Ci: myśmy zblądzili, myśmy czynili źle, myśmy postępowali wbrew sumieniu. Zasługujemy za to na karę. Ale ja się modłę, by kara spadła tylko na mnie.

„Żyj, mój Sfinksie najukochańszy, srogi i najlaskawszy, umieram cały Twój. W chwili, za chwilę, gdy się będę zabijał, ja będę tęsknił za Twojemi ustami, oczami, za zapachem Twoich włosów, ramion Twych i ja umrę z Tobą, w Tobie, cały w Tobie. Kocham, ja kocham, ja Cię kocham.

Juljan.

VI.

Zaczynała się jesień tego samego 1893 roku, kiedy Paweł le Tessier pojechał do Vezeris prosić o rękę Joanny de Chantel w imieniu młodszego brata. Hektor sam był w Vezeris już drugi raz, licząc od wiosny.

Paweł przyjechał tam w jasny wrześnieowy poranek. Był to czas winobrania. Na każdym zakręcie drogi spotykał pełne wozy, ciągnięte przez parę ujarzmionych wołów.

Zabudowania pałacowe w Vezeris mieściły się między miasteczkiem tej samej nazwy, rzeką Vienne i małym dopływem tejże rzeki, który przecinał na dwoje pałacowy park. Zamek zbudowany był w stylu Ludwika XIII, dwupiętrowy, otoczony wraz z podwórcami murem, w murze ciężka archaiczna brama, na prawo i na lewo oficyny, stajnie.

Przyjęła senatora pani de Chantel w oficjalnym salonie, na parterze. Tutaj dopiero, pod baldachimem białych i szarych sufitów, na tle starych, malowideł była w swoim stylu, ze swoim szczególnym wdziękiem i powagą, jaką nadaje ludziorodowa arystokracja. Żaloba jakoś dziś zniknęła: kostjomy pań weseliły się jaśniejszemi tonami wstążek i koronek. Joanna po powrocie z Paryża może pod wpływem Hektora zaczęła się więcej przystosowywać do współczesnych wymagań mody, ale nie na tyle, aby zatracić ten charakter, który on z lu-

bością nazywał „typem młodej Wandejanki“. Maksymilian zmienił się trochę. Włosy zaczynały mu się już srebrzyć gdzieniegdzie. Postarzał o jakie 10 lat, choć niktby nie umiał określić istoty zmiany: może w wyrazie oczu, może w tej szczerbie naokoło ust, która najłatwiej zdradza głębokość przeżytych smutków.

Zaraz po śniadaniu udano się na zwiedzanie gospodarstwa piechotą. Pani de Chantel została w domu, Joanna zaś towarzyszyła panom. Odziana w ciemną brązową sukienkę, i w kapelusz słomiany, które moda przepisuje paniom jej wieku, szła naprzód z Maksymilianem. Paweł odezwał się do brata:

— Ona bardzo wyładniała. Czy równie i pod względem moralnym przekształciła ją?

— O nie, odezwał się z uśmiechem Hektor. Niech zawsze będzie tą drogą białą gaską, która mi zabrała serce... z małą domieszką sztuki w upiększaniu swego opierzenia i trochę namiętności. No a cóż z twojami uczuciami słychać?

— Nic nowego. Dzieciak jednakowo uparty. Nastawiać. Tak, tak bracie. W czterdziestym roku życia wać? Nie mam odwagi, boby mnie mogła przestać przyjąć człowiekiem, który codzień kilka godzin spędza z kochaną i kochającą dziewczyną, precudowną — i najwyżej pocałuję ją w czoło lub policzek.

— Ale awantura Zuzanny zakończona. Nie mówią już o niej.

— Zakończona... w szpitalu, gdzie dogorywa ta biedna...

Hektor uściśnął mu dłoń i serdecznie powiedział:

— Ufaj przyszłości. Wszystko przemienie, zapomni się. Nadejdzie czas, że tej drogiej Etienneecie będziesz wdzięczny za tę nieskazitelność kobiecą, za to, że ślub wasz nie będzie cczą ceremonją. Ty wiesz dobrze, że nie mniej od ciebie szanuję postęp w społecznych instytucjach. Ale na lata przelomowe człowiek rozsądny po-

winien sobie zachować schronisko w moralności tradycyjnej. Tylko nieroztropni palą za sobą mosty.

Joanna i Maksymilian dotarli do zakrzewionego wzgórzka i tam czekali na gości. Gdy ci się zbliżyli, Joanna odezwała się do Hektora:

— Chcę pochwalić się przed p. Pawłem całym widokiem. Niech kocha nasze strony.

A oczy jej palące się miłością mówiły mu: „To się ciebie tyczy, mój drogi opiekunie, to ty masz kochać te strony moje“.

Na widok ten składały się ogromne równiny, lekko falujące. Cichy wdzięk tego krajobrazu odczuwa się dopiero z czasem. Maksymilian objaśniał Pawła:

— Ta rzeczka, która tak pięknie opływa wzgórzka, zwraca się przy wiosce pod prostym kątem: to jest skromny dopływ Vienne'y. Płynie z południowej strony naszego majątku aż do tego zakrętu. A ta wioska ma swoją historję, pustoszo ją za czasów wojen angielskich i protestanckich. Nazwę nosi: Azay-la-Bataille. Pójdziemy tam.

— Zostały jakie ślady obrony? — zapytał Paweł.

— Zobaczysz pan. Dwa olbrzymie kamienie zatarte. Nic z nich nie można wnioskować.

Mówił poważnie, bez radości, bez uciechy, bez śmiechu. Tak było zawsze. Tak się zaparł w sobie, z taką żywiołową żądzą milczenia o przeszłości, że zmuszał do dyskrecji nawet członków rodziny. Gdy Janka wysunęła się z Pawłem naprzód, wyznała mu to otwarcie; ani ona, ani matka nie odważyłyby się dać poznać Maksymilianowi, że odgadują istotę jego zmartwienia.

— Rozpaczałyśmy, wyjeżdżając z Paryża. Maksymilian nic nam nie powiedział. No, a jest przecież głową domu, nie prawdaż? Zarządził powrót do Vezeris, byliśmy posłuszne. Oh! Jakże smutne tu były chwile. Jak kobieta mogła wyrządzić Maksymilianowi taką krzywdę, jemu, co ją tak kocha!

Po chwili milczenia zapytała:

— Wyszła za mąż?

— Nie, odrzekł le Tessier. Może kiedyś wyjdzie. Na razie niema jej w Paryżu i nie należy do towarzystwa. Nie wypada mówić o niej.

— Ah! — odpowiedziała Janka; nie zaczerwieniła się, bo nie zupełnie zrozumiała, o co idzie. Następnie zadumała się na chwilę i dodała:

— Biedna!

Dochodzili do wioski d'Azay. Robotnicy odpoczywali po obiedzie wśród wina. Wszyscy byli w charakterystycznym stanie podchmielenia.

Smutny i spokojny Maksymilian ciągnął historie miejscowości:

— Wszystko, co zostało ze zamku, to dwa kamienie. Legenda mówi, że wraz z basztą spaliło się tysiąc ludzi. Dziś, jak widzicie, warzywa tu rosną. Ziemia tu jest najlepsza i może wprost dlatego, że ją taki cmentarz użyźnia.

Przechodził właśnie jakiś chłop-staruszek, wyniszczony od pracy, wypalony od słońca. Maksymilian przyzwał go:

— Ojciec Wawrzyńcze, prawda, że tu dobra ziemia naokoło zamku?

— Oou, Panie hrabio! I jaka! A to o tę bitwę, co była przed Rewolucją jeszcze.

Rozkochanem okiem patrzył na tę ciężką i bogatą ziemię, krwią użyźnioną. Ta cała olbrzymia płaszczyna, co ongi służyła za widownię legendowych bojów, dziś znowu powróciła do potrzeb codziennego bezziemnego życia: złościła się zbożami, czerwieniła winem.

Janka także się wpatrzyła w tę ziemię; śmiała się jej dusza do ziemi tej, do słońca, do przyszłości — i w egoizmie własnego szczęścia zapominała o troskach tych nawet, których najbardziej kochała, zapominała o przeszłości, o tragedjach, o krwi.

Ale Hektor i Paweł zapatrzeni w milczącego Maksymiliana, zmarłego w swoich marzeniach, odczuli to marzenie i współczuciem zabiły im serca...

Dlaczego na niwie duszy ludzkiej nie może natura krwią trosk i cierpień użyźniać nowych żniw: nadziei, miłości?

La Roche 1893—1894.

KONIEC.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA »KULTURA I SZTUKA« WE LWOWIE

wyszły dotychczas następujące powieści KAROLA MAYA:

Przygody w północnej Afryce; wydanie drugie

Na morzu Faraona; wydanie drugie

Ognista ręka

Kapitan Sureouf

Abdan Effendi

W krainie Burów

Biblioteka Główna UMK



300046239288

w druku zaś znajdują się następujące tomy:

Testament Apasza

Opowiadania geograficzne

Nadzwyczaj barwne opisy Maya, które w tłumaczeniach obieżyły świat cały i zjednały sobie miliony czytelników — nadają się znakomicie jako lektura dla największych nawet smakoszków literackich.

... Pierwsze strony opowiadania pociągają już ku sobie, a dalsze, dokładniejsze ich czytanie wprost nie pozwala nam się oderwać od książki. Czytając opowiadania, mamy wrażenie, że razem z autorem podróż odbywamy, że dzielimy z nim ból, radość strach i odwagę, że przechodzimy niebezpieczeństwa lub ich unikamy, że zawieramy przyjaźń lub wchodzimy w przykre kolizje z półdzikimi ludami, zamieszkującymi te krainy tajemnicze. Każdy wypadek opisany jest jasno, zarówno pod względem pobudek, jak przebiegu i warunków jego, a zmyśnione zdarzenia takiej jasności posiadać nie mogą. Trzeba choć w części przeżyć zdarzenie i przeniknąć je psychologicznie, aby je opisać tak, jak to czyni May. Zresztą poza tem nadaje temu opowiadaniu nadzwyczajnej świeżości, kolorytu i złudy rzeczywistości... jego lokalny charakter opisów: są tam skarby wprost z geografii kraju i ludoznawstwa, począwszy od opisu fauny i flory, lub strojów i powierchowności ludzi, a skończywszy na ich charakterze i temperamencie. uwytatniającym się w ich wierzeniach, zwyczajach i obyczajach, a wynikającym z odwiecznych praw i warunków ich kultury lokalnej. Pod tym względem mają też powieści Maya wartość nieocenioną, zarówno dla dojrzałego, jak i młodego wieku. Czytelnik ani się spostrzeżga, kiedy gromadzi różne wiadomości jakich — podanych w ten sposób — gdzieindziej nie znajdzie, nie potrzebuje się ich uczyć mozolnie dla zysku, ot, aby je niebawem zapomnieć, jak każdą rzecz sztucznie tylko przyswojoną. Tłumaczone dobrym językiem polskim, stają się powieści podróźnicze Maya nader cennym nabytkiem naszej literatury przyswojonej, a szata zewnętrzna odpowiada wszelkim oczekiwaniom.